CHOROBA PAPIEŻA FRANCISZKA. POWAŻNIEJSZA, NIŻ SĄDZONO

POLSCY ŻOŁNIERZE NA UKRAINIE? „SPRAWA OTWARTA"

KATASTROFALNE SKUTKI EKSPERYMENTU NOWACKIEJ

SIECI

ROKITA, BUDZISZ: CO PLANUJE TRUMP? CO ZROBI ZEŁENSKI? ZACZĘŁA SIĘ WIELKA GRA

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

9 (639) 2025
24 lutego – 2 marca 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

EKSKLUZYWNY WYWIAD Z

MARTĄ NAWROCKĄ

ŻONĄ KANDYDATA NA PREZYDENTA RP KAROLA NAWROCKIEGO

MÓJ MĄŻ KOCHA POLSKĘ

„UWAŻAM, ŻE ZASŁUŻYŁ SOBIE NA MIEJSCE, W KTÓRYM DZISIAJ JEST I NIE DZIWIĘ SIĘ, ŻE GO ZAUWAŻONO ORAZ DOCENIONO. CZUJĘ OGROMNĄ OSOBISTĄ SATYSFAKCJĘ, ŻE WŁAŚNIE W NIM WIELE OSÓB WIDZI PRZYSZŁEGO PREZYDENTA POLSKI"

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
09
9 772544 269502
Numer w sprzedaży do 3 III 2025 r.

NARODOWY BANK POLSKI

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

Złoto Polaków
450 ton złota

dla bezpieczeństwa polskich rodzin

450
ton złota

100
ton złota

2016 Wzrost rezerw złota w trakcie kadencji prof. Adama Glapińskiego **2025**

Polska z 450 tonami złota w rezerwach NBP znajduje się w światowej czołówce największych posiadaczy złota wśród banków centralnych, wyprzedzając m.in. Wielką Brytanię, Hiszpanię oraz Austrię i zbliża się do Europejskiego Banku Centralnego.

nbp.pl

eprasa.pl 9f5052c56e

Rządy PiS ocaliły Polskę

Pierwsze posunięcia administracji Donalda Trumpa w sprawie wojny na Ukrainie są więcej niż rozczarowujące. Zarówno sam prezydent, jak i większość jego otoczenia opisują krwawy konflikt w sposób dla nas nie do przyjęcia. Bo przecież my to widzieliśmy na własne oczy i wiemy, kto na kogo napadł i kto ma jakie intencje, także w perspektywie historycznej. To Putin jest dyktatorem i mordercą, a nie Zełenski. Prezydent Ukrainy mógł uniknąć wojny tylko poprzez kapitulację. A i tak jego kraj zapłaciłby wysoką cenę, bo wiemy, że Kreml planował „denazyfikację" kraju, w tym eliminację, a pewnie i eksterminację elit państwowych.

Mimo uzasadnionych polskich pretensji do Kijowa, który w pewnym momencie mocno uderzył w polski obóz patriotyczny (zapewne licząc na punkty w Berlinie), nie możemy zgodzić się na pisanie historii na nowo, wbrew faktom i zgodnie z propagandową narracją Kremla. Mamy też pełną świadomość, że rozstrzyga się nie tylko los Ukrainy, lecz także nowy globalny układ sił, w cieniu którego będziemy żyli przez najbliższe lata, a może i dekady.

Ale jeszcze nie wszystko stracone. Być może to jednak nie będzie nowe Monachium. Ludzie, którzy znają Donalda Trumpa, podkreślają, by nie brać dosłownie jego wypowiedzi, by zachować stalowe nerwy nawet w obliczu jawnie prowokacyjnych słów. Jako wytrawny negocjator amerykański prezydent może też szykować w kolejnej fazie rozgrywki, pojawią się jakieś niespodzianki, zwroty akcji. Jeśli przekona się, że Rosja zgodnie ze swoim DNA próbuje go oszukać, być może zawróci z fatalnej drogi ofiarowywania Putinowi całej puli już na wstępie rozmów, bez jasnego stawiania własnych, twardo zdefiniowanych warunków. Być może ustępstwa wobec Moskwy mają charakter wycinkowy, a ich źródłem jest osobista niechęć do ukraińskiego przywódcy.

W tej sprawie z pewnością nie możemy liczyć na Europę, która najpierw przymykała oko na kolejne etapy rosyjskiej agresji przeciwko sąsiadom, a później zrobiła naprawdę niewiele, by pomóc Ukrainie. Nawet teraz siedzi przy stole i jest po prostu bezradna. Nie jest w stanie zdobyć się nawet na pakiet pomocy finansowej dla Kijowa, co dałoby Zełenskiemu odrobinę swobody manewru.

Niestety po upadku rządów niepodległościowych Polska nie jest już motorem mogącym dać Europie impet w tej sferze. Tusk uśmiercił politykę regionalną (bukaresztańska dziewiątka, trójkąt lubelski, forum z Bałtami, V4, wreszcie Trójmorze – dziś wszystko martwe), nie jest też na tyle podmiotowy, by choćby słuchano jego opinii w chwili krytycznej. Im bardziej się puszy, tym śmieszniej wygląda.

Pozostaje pracować nad stanowiskiem USA, wykorzystując dobre kontakty polskiej prawicy z obozem MAGA, zwłaszcza prezydenta Andrzeja Dudy i Mateusza Morawieckiego. Ale trzeba też dalej się zbroić, bo rozpoczyna się bardzo niepewny czas. Z tego punktu widzenia ośmioletnie rządy obozu Jarosława Kaczyńskiego były okresem krytycznym. Bez tej „pauzy powagi i niepodległości" w historii niepoważnej III RP, bez rozpędzonych na wielką skalę zbrojeń (możliwych dzięki sukcesowi gospodarczemu i finansowemu) dziś bylibyśmy po prostu bezbronni, zdani wyłącznie na łaskę mocarstw dogadujących się ponad naszymi głowami. Być może to te osiem lat uratowało polską niepodległość. Wszyscy, którzy się temu przysłużyli, zasługują na słowa uznania.

Dziś Donald Tusk mówi o jedności, „wzywa wszystkie siły polityczne i liderów do zawieszenia sporów na temat wojny i pokoju na Ukrainie i jedności wobec zagrożeń ze Wschodu". Ale to puste słowa, bo jak można szukać jedności, jednocześnie organizując i napędzając proces kryminalizacji, a ostatecznie likwidacji opozycji? Możliwie głęboki podział społeczny jest podstawą władzy Tuska, jego sensu istnienia w polityce co najmniej od jesieni 2005 r. Innej polityki prowadzić nie umie, nie może i w istocie nawet nie chce. W czasie tak poważnej zawieruchy to fatalna wiadomość dla Polski. Ale na szczęście można to dość szybko zmienić. Szybko, bo już w maju, w czasie wyborów prezydenckich. Szansa jest, i to namacalna.

Jacek Karnowski

Reklama | 01/0225/F

eprasa.pl 9f5052c56e

SIECI

spis treści

27 Nadchodzi Nawrocki 2.0
Marek Pyza

40 Apartheid po polsku
Piotr Gursztyn

43 Tortury nie wyglądają tak jak w filmach
Rozmowa Jacka Łęskiego i Andrzeja Rafała Potockiego

NA POCZĄTEK

5 **NA OWSIAKA**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **O PÓŁNOCY W PARYŻU**
Krzysztof Feusette

9 **REKONSTRUKCJA CORAZ BLIŻEJ**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **JESZCZE NIE SKOŃCZYŁEM!**
Daniel Obajtek

13 **GEOPOLITYCZNO--HISTORYCZNA LOGIKA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA BOGUSŁAWA SZOSTKIEWICZA**
Michał Korsun

16 **UROK STARYCH ŻARTÓW**
Jan Pietrzak

16 **KOMISJA ZAWINIŁA – ŚWIADEK UKARANA**
Samuel Pereira

17 **NIEREFORMOWALNY PASAŻER NA GAPĘ**
Arkadiusz Mularczyk

18 **AUTOBUS Z NAPISEM „KONIEC”**
Ryszard Makowski

19 **KONSEKWENCJE WYBORÓW**
Wojciech Reszczyński

20 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

TEMAT TYGODNIA

21 **Z MARTĄ NAWROCKĄ**
rozmawia Marcin Wikło

KRAJ

27 **NADCHODZI NAWROCKI 2.0**
Marek Pyza

31 **MISJA POKOJOWA CZY WOJENNA?**
Konrad Kołodziejski

34 **RATOWANIE TRZASKOWSKIEGO**
Stanisław Janecki

36 **KATASTROFALNE SKUTKI EKSPERYMENTU NOWACKIEJ**
Dorota Łosiewicz

38 **SWÓJ DO SWEGO PO SWOJE**
Maciej Walaszczyk

40 **APARTHEID PO POLSKU**
Piotr Gursztyn

ŚWIAT

43 **TORTURY NIE WYGLADAJĄ TAK JAK W FILMACH**
Z Shaunem Pinnerem rozmawiają Jacek Łęski i Andrzej Rafał Potocki

48 **ZAMĘT ATLANTYCKI**
Marek Budzisz

51 **TRUMP NIE WIE, JAK SKOŃCZYĆ WOJNĘ**
Jan Rokita

54 **CZEGO OBAWIAJĄ SIĘ NIEMCY?**
Aleksandra Rybińska

56 **CO ZROBI FRANCISZEK?**
Goran Andrijanić

OPINIE

58 **UE I NATO W EPOCE KONFRONTACJI**
Jan Parys

HISTORIA

60 **„PŁUG” – BOHATER NIE TYLKO DRUGIEJ KONSPIRACJI**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

63 **PORTRET RODZINNY WE WNĘTRZU**
Jolanta Gajda-Zadworna

66 **PIERWSZA KLĘSKA CYWILIZACJI ŚMIERCI**
Robert Tekieli

67 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

68 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

KUCHNIA

70 **MOJE SMAKI: DOMINIKA REICH**
Jolanta Gajda-Zadworna

71 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 **CHAOS I ORTODOKSJA**
Aleksander Nalaskowski

73 **SĘDZIA TOFIK, TRENER SANTOS I POLSKI PAPIEŻ**
Ryszard Czarnecki

74 **KLOCKI Z BETONU**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl 9f5052c56e

BRONISŁAW WILDSTEIN

Na Owsiaka

Od wielu lat powtarzam, że Polska nie jest zapyziałą prowincją, która reprodukuje wyłącznie postawy i rozwiązania utrwalone już w metropoliach, ale stanowi laboratorium nowych trendów, które na Zachodzie rozwiną się dopiero za czas jakiś. Zdobycie władzy przez PiS w 2015 r. było jednym z pierwszych uwieńczonych sukcesem aktów „buntu narodów", który wstrząsa dziś Ameryką i Europą. W efekcie to w Polsce europejska oligarchia testuje metody zabezpieczenia swojej władzy nazywanej liberalną demokracją. Wykonawcą tego jest Donald Tusk.

Rząd liberalny rezygnuje ze sprawczości i ogranicza się do reprezentowania dominującego establishmentu oraz zabezpieczania jego materialno-ideologicznych interesów. Władza polityczna w tym systemie sprowadza się do panowania, a więc czerpania korzyści ze swojej roli i utrwalania *status quo*, czyli redukcji demokratycznego ustroju do nieznaczącego pozoru i zablokowania politycznej oraz ideowej konkurencji. Kontestatorzy są dyskredytowani i represjonowani, a punktem dojścia ma być ich pełna delegalizacja oraz karna odpowiedzialność. Na to radykalne rozwiązanie, które wiąże się jednak ze sporym ryzykiem, tchórzliwy establishment zachodni nie jest jeszcze gotowy, toteż próbuje przeprowadzać je etapami, dokonując tego, co prezes Święczkowski nazwał „pełzającym zamachem stanu". I to rozwiązanie wypróbowywane jest właśnie w naszym kraju. Opozycyjnej partii odbierane są środki materialne, w stan oskarżenia pod kryminalnymi pretekstami postawieni są poszczególni jej politycy, ale skala represji ciągle jest ograniczona.

Realne problemy społeczne załatwiane są strategiami marketingowymi. W tej mierze Tusk sytuuje się w awangardzie obecnego establishmentu.

Konsekwencje powodzi zostały w dużej mierze spowodowane przez rząd 13 grudnia. Premier przyzwyczajony, że imperatywem jest uspokajanie społeczeństwa robił to, gdy kataklizm już się zaczął, jego ekipa ze względów na klimatyczną politykę nie opróżniała zbiorników i generalnie bała się podjąć zdecydowane działania, widząc, że ich poprzednicy za walkę z pandemią są ciągani po sądach.

Jak zawsze odpowiedzią na realne problemy była ze strony Tuska piarowa operacja. Przekształciła ona realną klęskę w wizerunkowy sukces. Klasyczna propagandowa strategia z objazdowym kabaretem sztabu antypowodziowego zwieńczona została odwołaniem się do Jerzego Owsiaka jako zbawcy, który zlikwidować miał skutki powodzi.

Zewnętrznemu obserwatorowi pomysł taki wydawać by się mógł absurdem. Zamiast interweniować, państwo swoje środki przekazuje fundacji, która nigdy nie zajmowała się tego typu sprawami. I było oczywiste, że prawicowa opozycja, która nie znosi Owsiaka jako politycznego i ideologicznego sojusznika władzy, będzie sprawę tę akcentowała. Tym samym jednak zamiast analizy realnej odpowiedzialności rządu za rozmiar i skutki powodzi sprawa przekształci się w narodowy plebiscyt na temat Owsiaka, który od trzech dekad kreowany jest na świętego III RP. W efekcie krytyka władzy w kwestii powodzi prezentowana była jako eksplozja niewdzięczności wobec ideowca, który całe życie poświęcił „zdrowiu i życiu dzieciaków".

Nieco podobna operacja przygotowywana jest obecnie jako wielka ofensywa gospodarcza rządu Tuska, której twarzą ma być rzutki, młody biznesmen Rafał Brzoska.

Koalicja 13 grudnia rozmontowała cały poważny plan rozwojowy wdrażany przez poprzedni rząd. Ośrodkiem jego był CPK, elektrownie atomowe, udrożnienie Odry, rozbudowa infrastruktury portowej na Bałtyku tudzież inne ważne przedsięwzięcia. Zostało to unicestwione, aby pokazać, że wszystko, co robiło PiS, było złe. W ramach „ofensywy fachowców" funkcje menadżerskie przejęły rządowe sitwy, biurokracja oglądająca spektakl ciągania po sądach za konstruktywne działania zrobi wszystko, aby nic nie robić, a Polska ma pogodzić się ze swoimi miejscem w unijnym podziale pracy, zgodnie z którym Niemcy produkują, a my zbieramy u nich szparagi. Skutki takich działań zwykle ujawniają się po latach, w tym przypadku jednak skala destrukcji powoduje, że widzimy je już dziś.

W odpowiedzi Tusk podjął kolejną akcję (ileż to już ich znamy), która ma uczynić polską gospodarkę „wielką". Twarzą jej uczynił Brzoskę. Przedsięwzięcie ma wyłącznie reklamowy charakter, ale próba odsłonięcia tego będzie piętnowana jako atak na młody polski biznes, który pod wodzą Tuska dokonuje cywilizacyjnego skoku. Jakakolwiek krytyka propagandowego picu potępiana będzie jako atak na dynamicznych przedsiębiorców, którzy unowocześnić chcą Polskę, a nie robią tego wyłącznie z powodu oporu klerykalno-moherowej koalicji.

Liberalna demokracja odbiera obywatelom wolność duchową, narzucając jako jedyną dopuszczalną lewicowo-liberalną ideologię i niweczy sprawczość zbiorową, redukując politykę do pozoru. Zostaje ona zastąpiona marketingowym spektaklem, a w tym Tusk jest prawdziwym nowatorem oraz mistrzem.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9f5052c56e

Sygnalista nadaje

Heroiczna walka z pisowskim dipstejtem trwa! I są sukcesy. Pani dwojga nazwisk, która miała być demokratyczno-walczącą szefową CBA, okazała się pisówą. W imieniu ludności Miasteczka Wilanów i Jagodna oraz całej pozostałej uśmiechniętej Polski solidaryzujemy się z decyzją premiera, który wyrzucił ją ze stanowiska za to, że na komisji ds. Pegasusa lekceważąco odnosiła się do naszych ulubionych osób poselskich Zembaczyńskiego i Sroki. Jedyne, na co się nie zgadzamy, to tak łagodny wymiar kary. Domagamy się też wywalenia na zbity pisowski pysk jej męża, który jest ważniakiem w policji awansowanym przez pana ministra Siemoniaka. W dobie walki z trumpizmem-kaczyzmem w uśmiechniętych służbach demokracji walczącej nie ma miejsca dla ludzi zaślepionych legalizmem.

Pisowska jaczejka zalęgła się też w Polskiej Akademii Kosmicznej, której zadaniem jest obrona Tenkraju przed atakami rakiet Elona Muska. Jedna (a może więcej, bo nikt tego nie wie) spadła na nasze głowy, jakby Polską dalej rządził PiS. Sabotażyści nie tylko jej nie zestrzelili, lecz także nie poinformowali ministra obrony Tygrysława Kosiniaka-Kamysza. Oficjalne wytłumaczenie jest takie, że informacje wysłali na stary adres e-mail. Może to prawda, ale też potwierdzenie tego, że rację mają nasi niemieccy przyjaciele, nie korzystając zbytnio z internetów. Czas wziąć z nich przykład i wrócić do faksów oraz pieszych gońców. Zwłaszcza że te wszystkie e-maile, internety i inne sztuczne inteligencje za bardzo czuć Trumpem i Muskiem. My tego nie potrzebujemy. Wystarczą nam faksy i naturalna głupota, z którą jeszcze nikt nie wygrał.

Media donoszą: nauczyciele czują się oszukani przez rząd w sprawie podwyżek. A my pytamy: kogo to obchodzi? Ważne, że nie rządzi PiS. I ważne, że w Związku Nauczycielstwa Polskiego ciągle rządzi człowiek, który niesamowicie nam imponuje. Sławomir Broniarz, prezes ZNP od 1998 r.! Co za facet! Jak on to robi?

À propos rozwiązań analogowych. W Sopocie przy ul. Syrokomli 5 odbyła się doniosła ceremonia obierania ziemniaków, której osobiście dokonał premier Donald Tusk. Szef rządu dał przykład obywatelom, że obieranie ziemniaków powinno się odbywać w salonie, a nie w kuchni (tam obierają tylko pisiory). Zdjęcie premiera Polski obierającego kartofle zostało z uwagą odnotowane na Białorusi. Tamtejsze ośrodki analityczne przedstawiają różne interpretacje tego ważnego komunikatu, ale przeważa jedna. To sygnał wysłany do Aleksandra Łukaszenki, który też często fotografuje się z kartoflami w roli głównej. Ale przy wykopkach, a nie obieraniu. Intrygująca różnica!

Ciekawa i ważna obserwacja. Obieranie ziemniaków odbyło się w tym samym pokoju, w którym pan premier fotografował się ze swoją rodziną na tle ołtarzyka. Dewocjonalia wprawdzie później zniknęły, ale pewnie wrócą, bo trwa kampania prezydencka i szef rządu znowu cytuje słowa Jana Pawła II. Teraz nam to nie przeszkadza i nic nie mówimy o rozdziale Kościoła od państwa, bo wiemy, że po 18 maja już nie będzie musiał tego robić.

Nieco gorzej poszło w Paryżu. To znaczy szczytowanie trochę nie wyszło, bo nasza zjednoczona i solidarna Europa miała dać odpór ***Trumpowi***. No i nie dała. Na dodatek na wspólnym zdjęciu nie widać naszego pana premiera, który przecież jest jednym z czołowych liderów europejskich. Wiemy to,

eprasa.pl 9f5052c56e

bo czytamy „Gazetę Wyborczą", Onet i inne takie media, gdzie nie ma prawackiej propagandy oraz dezinformacji rozsiewanej w internetach przez Muska i pozostałych Zuckerbergów (ten to nawet kiedyś był fajny, ale teraz zdradził). To wszystko wina włoskiej pisówy Meloni i trochę tego miłego pana z Niemiec, który jeszcze jest kanclerzem. Włoska pisówa złośliwie się spóźniła, a miły pan z Niemiec musiał wyjść wcześniej, bo spieszył się na spotkanie z rodziną (więc usprawiedliwiony).

Nie ma tego złego, czemu premier Tusk by nie zaradził. Aby pisiory nie podnosiły zbytnio głów, do ukarania pójdą ***Morawiecki***, ***Błaszczak*** i ***Ziobro***. Ten ostatni za to, że lekceważy państwo (jak pięknie powiedział marszałek Hołownia, słynny pogromca Mentzena). Błaszczak za to, że sabotuje rządową koncepcję rozwoju Polski wschodniej polegającą na oddaniu jej Federacji Rosyjskiej (dobry pomysł, bo tam głosują na PiS). A Morawiecki za wybory kopertowe. Będzie miał za to postawione zarzuty, o czym poinformował już minister sprawiedliwości, który to wie dzięki temu, że podlega mu w pełni niezależna i apolityczna prokuratura.

Fajny wyjazd miał też Rafał Trzaskowski, bo do Helsinek. Lepiej byłoby tam latem, teraz zimno, ale to pokazuje determinację naszego kandydata w wyborach prezydenckich. Wieśniak Nawrocki jeździ po jakichś Wyszkowach, Legionowach czy innych Brodnicach. A nasz Rafał – jak nie Helsinki, to Monachium. Tam wygrywa się wybory, a nie w jakimś Pierdziszewie, gdzie ani jedna osoba nie mówi po francusku. W Helsinkach Rafał mówił ładne rzeczy o bezpieczeństwie i pokazywał, jakie piękne schrony przeciwlotnicze zbudowali Finowie. Od razu pojawiły się głupie komentarze i nieuczciwe pytania o to, dlaczego Rafał nie wybudował takich w Warszawie. Odpowiadamy nieukom. Po pierwsze, były inne priorytety: kładka, strefy relaksu i toaleta w parku Skaryszewskim. A po drugie, po co nam schrony, skoro są w Helsinkach?

Bardzo dobry pomysł Rafała ze stworzeniem grupy rekonstrukcyjnej Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego. Dzięki temu pomysłowi wielu emerytowanych generałów, zasłużonych weteranów ćwiczeń „Tarcza" może prowadzić bardziej aktywny tryb życia. A w ich wieku aktywność fizyczna i umysłowa jest przecież niezbędna, aby jak najdłużej zachować sprawność i nie być obciążeniem dla najbliższych. Niech dziarscy seniorzy w mundurach będą wzorem dla całego naszego starzejącego się społeczeństwa. Proponujemy nazwę „Siwe pantery" dla grupy doradców ds. bezpieczeństwa powołanej przez Rafała Trzaskowskiego.

Po latach pisowskiej nagonki na naszych zachodnich sąsiadów stosunki polsko-niemieckie znów są przykładem wzorowej przyjaźni. Z ciekawą inicjatywą wystąpił rząd federalny RFN wraz z rządami landowymi, aby wesprzeć Polskę kadrami ciemnoskórych, wysoko wykwalifikowanych inżynierów i lekarzy. Szczególnie chirurgów, wirtuozów posługiwania się nożem. W Eisenhüttenstadt z rozmachem powstaje ośrodek, dzięki któremu skorzystamy z napływu znakomitych specjalistów, których nie chce u siebie bratni naród niemiecki. Danke, liebe deutsche Freunde! Na was zawsze można liczyć.

„Ze względu na dobre stosunki Brandenburgii z sąsiednimi województwami w Rzeczypospolitej Polskiej Centrum Dublińskie ma być obsługiwane z naciskiem na powroty do Polski. Aby przyspieszyć procedury, Centralny Urząd Imigracyjny Brandenburgii będzie ściśle zaangażowany w koordynację szczegółów transferów z właściwymi organami w Polsce" – z radością czytamy oficjalny komunikat wydany przez naszych niemieckich przyjaciół. I spieszymy z ważnymi informacjami organizacyjnymi: z Centrum Dublińskiego w Eisenhüttenstadt do Jagodna jest ok. 230 km, do Miasteczka Wilanów niestety aż 500 km. Liczymy, że w podwózce tych miłych gości pomogą aktywiści z Grupy Granica.

Słyszeli państwo o gościu, który nazywa się dr Mariusz Filipek? My też nie, ale taki człowiek istnieje. Jest pełnomocnikiem rządu ds. deregulacji. Gdy o nim myślimy, budzi się w nas ocean współczucia. Nikt o nim nie pamięta, nikt go nie zaprasza, nikt go nie kocha. Wyszło to w czasie epokowego spotkania szefa rządu ze środowiskiem prywatnej inicjatywy. Premier Tusk zwrócił się z apelem: „Pomożecie?", a klasa biznesowa odpowiedziała, że tak. I tym sposobem deregulacją zajmie się teraz pan Brzoska od paczkomatów. A Filipka nie było na tym spotkaniu, bo ktoś nie wiedział o jego istnieniu i nie wysłano mu zaproszenia. Przykra sprawa, nie lekceważmy jej.

A Filipek tak bardzo się starał. Mało kto to zauważył, bo prawie nikt nie obserwuje go w mediach społecznościowych, ale pojawiła się tam ważna informacja od niego. Biedny chłopina napisał:
„0 zł wynagrodzenia za 12 miesięcy pracy
50 zmian w 37 ustawach – I pakiet w Komitecie Stałym RM
200+ propozycji do II pakietu
100+ spotkań z org. pracodawców i przedsiębiorców w 2024".
Zorganizujmy może jakąś zbiórkę na niego, aby miał z czego żyć?

Fot. Michael Candelon/Shutterstock, Andrzej Wiktor (2x), Julita Szewczyk

eprasa.pl 9f5052c56e

KRZYSZTOF FEUSETTE

O północy w Paryżu

Scholz: To co robimy?
Tusk: Może ciasteczko?
Macron: Najlepsze, francuskie.
Tusk: O, to nawet nie wiedziałem. Panie kanclerzu, proszę bardzo...
Scholz: Wypad mi z tym ciastkiem! Ja za tydzień mam wybory! Ja się muszę odchudzać! Ja muszę ćwiczyć! Proszę bardzo, wam też dobrze zrobi: raz, dwa, i rączki w górę, hände hoch, hände hoch...
Tusk: Tak jest. Ja też jestem za tym, że trzeba działać. Może wodę?
Scholz: Wodę to lej u siebie. Co to znaczy, że wy nie przyjmiecie od nas migrantów?
Tusk: No wybory mam za trzy miesiące. Więc jakby można, to bym prosił odsyłać po 1 czerwca...
Macron: Nieładnie się, chłopcze, zwracasz do pana kanclerza. Jak pan kanclerz mówi, że odeśle, to odeśle. A w przyszłym roku to i my ci odeślemy, kogo trzeba. Przerzucisz ich przez granicę, a potem powiesz, że zapora nieszczelna. Zresztą, co ja ci będę doradzał, jak ty sam lepiej kłamiesz niż my z Olafem razem wzięci, co nie, Olafie?
Scholz: Dobra, trzeba coś ustalić. Powie się, że będziemy działać, ale więcej nie możemy zdradzić.
Tusk: Chwileczkę, to ja sobie zanotuję...
Macron: Ale co?
Tusk: No żeby nic nie mówić.
Scholz: Złoty chłopak, nie tylko z owłosienia. Zawsze podziwiałem pańska chwytność i wyskok. Pan mi przypomina mojego spaniela na polowaniu. Ja do kaczki: trach-trach, a on przynosi.
Tusk: Nie, no kaczkę to ja zawsze przyniosę. A nawet na tacy, he, he. Dobre, co, Emu?
Macron: Słucham?
Tusk: Dobre, co, Emu?
Macron: Czemu „Emu"? Jak struś? Że chowam głowę w piasek? Chcesz w mordę, karakanie?
Tusk: Ale po co? Myślałem, że taki skrót od „Emmanuel". Może ciasteczko? Francuskie, najlepsze...
Scholz: Powtarzam pytanie: co robimy?
Tusk: Może żelka? Zostały mi z samolotu.
Macron: A poproszę. To może głos zabierze pani wysoka komisarz...
Wysoka Komisarz: A gdzie ja wysoka?
Macron: Faktycznie.
Scholz: Ma pani coś do powiedzenia?
Wysoka Komisarz: To znaczy... my, jako Unia Europejska...
Scholz: Do brzegu...
Wysoka Komisarz: ...uważamy, że koniecznie są takie działania, które zapewnią bezpieczeństwo wszystkim Europejkom i Europejczykom, niezależnie do ich orientacji seksualnej...
Macron: Bardzo ładnie. A w kwestii bezpieczeństwa?
Wysoka Komisarz: W kwestii bezpieczeństwa wprowadzamy obecnie regulację dotyczącą dostępu do pigułki dzień po dla par jednopłciowych.
Scholz: To niedużo. I lepiej nie mówić o tym Trumpowi.
Tusk: To jest przecież ruski agent.
Scholz: Nie rozumiem.
Tusk: No tak mi mówili.
Macron: Ale kto? Ruscy?
Tusk: No nie. Np. żona Sikorskiego. To znaczy nie wiem, czy ruski agent, ale na pewno jak Hitler, Stalin i Mussolini razem wzięci.
Scholz: A Sikorski to kto? Ten od hołdów i cygar z Ławrowem?
Tusk: Tak jest.
Scholz: To jak wy się chcecie teraz dogadać z tym Trumpem?
Tusk: Prezydenta mamy normalnego.
Macron: No nie wiem. Żonę ma za młodą, moim zdaniem.
Scholz: Czyli że pan, panie Tusk, poza tym, że też jest pan Donald, nie ma żadnych szans na porozumienie z Amerykanami?
Tusk: No nie wiem. Broniłem TVN, może pamiętają?
Scholz: Nie sądzę. I bardzo dobrze. Bo ja mam dla was rolę.
Tusk: W jakim sensie dla nas? Dla Polaków?
Macron: Z pana to taki Polak, jak ze mnie de Gaulle.
Scholz: Dla was osobiście. Nie brakuje wam jakiegoś niemieckiego odznaczenia do kolekcji? Ostatnio to chyba za wzorową postawę po Smoleńsku otrzymaliście, co? Ja dam nowe, niech będzie: Order Żelaznej Miotły. Wy lubicie takie skojarzenia, co? A to „Norymberga", a to „demokracja walcząca", a to „żelazna miotła".
Tusk: Może ciasteczko? Dziękuję, że pan kanclerz o tym wspomniał. Mnie się nawet ostatnio przypomniało, że nasz pierwszy król...
Scholz: Ulrich von Jungingen?
Macron: Wałęsa? Nie, ten, no, Walezy?
Tusk: Bolesław, ale nie Wałęsa. Chrobry. I jego kanclerz mianował królem. Czy tam cesarz. To znaczy nie od razu, tylko po zjeździe.
Macron: Alpejskim?
Tusk: Gnieźnieńskim. Od Gniezna, naszej pierwszej stolicy.
Scholz: Ale co nas to obchodzi? Jak rozumiem, ten szczyt został zwołany po to, żebyśmy się pochylili nad sytuacją Ukrainy?
Macron: Czego?
Scholz: Ukrainy.
Macron: ... się pan napije, panie kanclerzu?
Tusk: Może ciasteczko?
Scholz: A poproszę. No więc ja mam dla pana, herr Tusk, ajne propizicionen. My, Niemcy, to znaczy, my, Europejczycy, nie możemy pozwolić na to, żeby Trump nam mówił, jak mamy żyć. Gdyby Ukraina, jak liczyliśmy, szybko się poddała, dawno byśmy mieli w Europie pokój. Potrzebujemy kogoś, kto będzie tego Trumpa kąsał, podgryzał, a jak trzeba, nawet obsikiwał nogawki. Niech wie, że my wiemy, że on wie. Panie premierze, mianuję pana antydonaldem Europy.
Tusk: Bardzo dziękuję za zaufanie. Tylko co konkretnie miałbym robić?
Scholz: Znajdzie pan co bardziej ograniczonych tępaków wśród swoich podwładnych i dziennikarzy. Pokaże im pan zdjęcie Trumpa, zawoła: „Bierzcie Rudego!".
Tusk: A jak źle zrozumieją?
Macron: To przeprowadzicie się do Berlina. Prawda, Olafie?
Scholz: Naturliś. To co, może przećwiczymy? Bierz Rudego!
Tusk: Wrrr... wrrr... Ała! No i się ugryzłem!
Macron: To może ciasteczko?

eprasa.pl 9f5052c56e

Rekonstrukcja coraz bliżej

Przed rekonstrukcją rządu minister Leszczynie na pewno nie wzrosną notowania u wyborców. Za jej odwołaniem było aż 53 proc. respondentów

Tuż po wyborach prezydenckich ma nastąpić rekonstrukcja rządu. Tak przynajmniej zapowiedział Donald Tusk. Choć premier rzadko dotrzymuje słowa, to jednak czasem lubi poprzestawiać swoje pionki, może więc dotrzyma tej obietnicy. „To będzie zmiana systemowa, będzie mniej ministrów, rząd będzie jednym z najmniejszych w Europie" – zapowiedział szef rządu. Ministrowie mają więc kilka miesięcy, żeby zapunktować.

I tak np. branżowy serwis „Puls Medycyny" uznał minister zdrowia Izabelę Leszczynę za najbardziej wpływową osobę w systemie ochrony zdrowia. Statuetka sprawiła pani minister dużą przyjemność: „Nagroda, którą otrzymałam, to wyróżnienie, na które zasługują wszyscy pracownicy ministerstwa zdrowia. Ci, dzięki którym mamy najlepszy program leczenia niepłodności w Europie, którzy przyczynili się do wzrostu liczby porodów naturalnych ze znieczuleniem okołoporodowym oraz ci, dzięki którym badania prenatalne są dostępne bez limitu wieku. A przed nami kolejne wyzwania" – powiedziała, odbierając nagrodę.

Anna Maria Żukowska z koalicyjnej Lewicy słusznie, choć nie bez charakterystycznej dla niej złośliwości zauważyła: „Chyba trudno, żeby był ktoś bardziej wpływowy w systemie ochrony zdrowia od minister zdrowia". Bo przecież podobną statuetkę mógłby dostać szef MON jako osoba mająca największy wpływ na kształt armii czy szef resortu nauki za największy wpływ na kształt polskiej nauki.

Zdaniem Leszczyny w kontekście zapowiadanej rekonstrukcji rządu taka nagroda mogłaby pewnie dodać jej punktów przy weryfikacji ministrów. Rację ma jednak Janusz Cieszyński z PiS, były wiceminister zdrowia, który stwierdził, że minister Leszczyna ma „największy wpływ na krach finansowy szpitali i bankructwo NFZ. Największy wpływ na najdłuższe w historii kolejki. Największy wpływ na zabranie miliardów na inwestycje w nową infrastrukturę". I to niekoniecznie już musi przynosić punkty w oczach szefa rządu, bo w istocie Leszczyna posiała gdzieś swoją czarodziejską różdżkę i w ochronie zdrowia mamy już prawdziwą zapaść.

Przed rekonstrukcją rządu minister Leszczynie na pewno nie wzrosną notowania u wyborców. Instytut Badań Pollster na zlecenie „Super Expressu" przeprowadził sondaż, w którym zapytano: „Którzy ministrowie powinni pożegnać się ze stanowiskiem?". Za odwołaniem Izabeli Leszczyny było aż 53 proc. respondentów. Tylko 28 proc. badanych chce, aby zachowała urząd. Trudno się dziwić.

Tylko w ostatnim tygodniu pani minister zadeklarowała w mediach, że „mamy za mało lekarzy", więc „trzeba zmniejszyć liczbę lekarzy" oraz że problemów psychiatrii dziecięcej nie rozwiążą hordy psychiatrów. Biorąc pod uwagę fakt, że psychiatrów dziecięcych nie ma w Polsce nawet 500, to parę hord mogłoby się jednak przydać.

Niemal równie źle oceniono minister klimatu i środowiska Paulinę Hennig-Kloskę, którą negatywnie postrzega 52 proc. badanych, 22 proc. chce, żeby zachowała urząd. Zapowiedź niskooprocentowanych pożyczek dla powodzian, zabawa w ciuciubabkę w związku z cenami energii, pragnienie przebywania w VIP-roomie na dworcu PKP czy radość z faktu, że Polacy kupują mniej ubrań, bo to dobrze dla klimatu nie wpłynęły pozytywnie na wizerunek pani minister. Co gorsza, ta nie może się pochwalić żadną nagrodą, bo za taką nie można chyba uznać kwiatów wręczonych jej w Sejmie przez przedstawicieli Polski 2050 po głosowaniu nad wotum nieufności. Żadne branżowe pismo nie uznało pani minister za osobę najbardziej wpływową w kwestii ochrony środowiska. Ale głowa do góry, do rekonstrukcji jeszcze cztery miesiące. Może jakaś nagroda jeszcze wpadnie.

Dorota Łosiewicz

Geje wybierają AfD

Niemcy

Fot. Tohuwabohu 1976/Shutterstock.com

Badanie przeprowadzone na grupie ponad 60 tys. niemieckich homoseksualistów przez największą w Europie platformę randkową dla gejów Romeo wykazało, że prawie 28 proc. jej użytkowników zamierza głosować na Alternatywę dla Niemiec (AfD). Partia ta cieszy się szczególnym poparciem wśród 20–30 latków.

W pierwszej chwili może to dziwić, zwłaszcza że AfD jest postrzegana raczej jako partia prawicy, która deklaruje wsparcie dla tradycyjnej rodziny. Jednocześnie przewodzi jej Alice Weidel, lesbijka, która wraz z partnerką pochodzącą ze Sri Lanki wychowuje dzieci. Powinna być więc idealną bohaterką liberalnych mediów. Tymczasem przewodzi ugrupowaniu, które stało się ziszczeniem najczarniejszych snów postępowej lewicy.

Problem w tym, że Weidel jest nie tylko lesbijką, lecz także zażartą przeciwniczką imigracji. To wyjaśnia, dlaczego tak wielu gejów przechodzi na stronę jej ugrupowania. Od czasu, gdy kanclerz Merkel otworzyła granice Niemiec, kraj ten zmaga się z napływem imigrantów; wielu z nich pochodzi z krajów, w których homoseksualizm jest postrzegany jako coś wstydliwego, a nawet zakazany i karany śmiercią. Chodzi o przemoc, pobicia i realne zagrożenie życia.

Pod koniec ub.r. szefowa berlińskiej policji ostrzegała Żydów i homoseksualistów przed pojawianiem się w niektórych dzielnicach miasta. Z rozmów, które dziennikarka brytyjskiego „The Spectator" przeprowadziła z niemieckimi gejami, wynika, że wyrażane przez nich obawy od lat są ignorowane przez partie głównego nurtu. „Partie lewicowe uważały, że jedyną rzeczą, na której zależy gejom, są ich prawa" – mówi jeden z nich. On tymczasem obawia się imigracji, niepokoi się o gospodarkę i bezpieczeństwo, dlatego postanowił głosować na AfD.

Co więcej, osobom homoseksualnym nie zawsze podobają się „prawa", które przyznano środowisku transseksualistów. Chodzi o wprowadzone niedawno przepisy dotyczące samoidentyfikacji i zezwalające na „zmianę płci" tylko na podstawie oświadczenia woli.

Sukces AfD i innych prawicowych „populizmów" w Europie, także w tych środowiskach, świadczy po prostu o tęsknocie zachodnich społeczeństw za utraconym bezpieczeństwem, stabilizacją, którą gwarantował dawny liberalny porządek. Został on jednak zniszczony przez lewicę i chadecję, które zdradziły własne społeczeństwo, doprowadzając do jego rozkładu.

Maciej Walaszczyk

Argentyna

Niefortunny wpis prezydenta

Prezydent Argentyny Javier Milei ma kłopoty z powodu kryptowaluty LIBRA, w której promowanie, jak się uważa, zaangażował swój autorytet. Socjalistyczna i peronistyczna opozycja zapowiedziała rozpoczęcie procedury impeachmentu znienawidzonego przez nią Mileia, ale prawdopodobieństwo, że jej wniosek zdobędzie większość w parlamencie, jest bardzo małe.

Nie zmienia to jednak faktu, że wizerunek prezydenta ucierpiał, co ma związek z jego wpisem na platformie X, w którym zachęcał do inwestowania w walutę LIBRA. W następstwie wpisu jej kurs giełdowy wzrósł do 4 dol., a następnie równie szybko spadł – do 50 centów. Opozycja oskarża prezydenta o to, że celowo rozhuśtał rynek i dał w ten sposób zarobić nieustalonym jeszcze z nazwiska inwestorom. Nie ulega wątpliwości, że byli tacy, którzy nieźle zarobili na zmianach kursu, ale nie ma dowodów na celową spekulację. Sam prezydent tłumaczy się, że jako „technooptymista" popiera każdą nowinkę, tym bardziej jeśli została ona stworzona przez Argentyńczyków. Jednak zdaniem komentatorów takie wyjaśnienia nie brzmią wiarygodnie w ustach profesora ekonomii, który powinien przecież przewidzieć, jak rynek zareaguje na jego rekomendację.

Była prezydent Cristina Fernández de Kirchner z partii peronistycznej nazwała Mileia „kryptowalutowym skimmerem", a inni przedstawiciele opozycji zarzucają urzędującemu prezydentowi udział w oszustwie. Administracja prezydencka potwierdziła, że głowa państwa dwukrotnie spotkała się z twórcami kryptowaluty, ale zaprzeczyła, aby Milei miał z nimi jakieś relacje biznesowe.

W państwach Ameryki Łacińskiej, gdzie korupcja wśród polityków jest niemal regułą, takie wyjaśnienia nie przekonały opozycji. Jej zarzuty osłabia jednak fakt, że większość inwestorów, którzy zdecydowali się nabyć nową walutę i odnotowali straty po jej krachu, pochodziła z Azji i Ameryki Północnej. A to oznacza, że tylko niewielka grupa obywateli Argentyny została poszkodowana. Nie będzie więc masowych protestów, choć autorytet prezydenta z pewnością został naruszony.

Marek Budzisz

Fot. OSCAR GONZALEZ FUENTES/Shutterstock.com

eprasa.pl 9f5052c56e

Nowa ekspansja Moskwy

Sudan

Rosja zamierza zbudować bazę morską w Sudanie. Odciąży ona istniejący port w Libii i wzmocni obecność Moskwy w newralgicznym rejonie Afryki. Informacje na ten temat potwierdził sudański minister spraw zagranicznych Ali Youssef al-Sharif.

Nowa baza ma powstać w rejonie miasta Port Sudan nad Morzem Czerwonym. To strategiczna lokalizacja w bezpośredniej bliskości szlaku morskiego łączącego Ocean Indyjski z Kanałem Sueskim. Co roku przechodzi tamtędy 12 proc. światowego handlu. Nieopodal swoje bazy mają również Amerykanie i Chińczycy. Co ciekawe, obie znajdują się w Dżibuti.

Rosyjska baza pozwoli nie tylko na kontrolę ważnego szlaku handlowego, lecz także ułatwi Moskwie ekspansję w głąb Afryki. Rosjanie są aktywni w wielu państwach Sahelu, począwszy od Sudanu i Republiki Środkowoafrykańskiej, kończąc na Mali i Burkina Faso. Działają tam instruktorzy wojskowi oraz formacje najemnicze wspomagające lokalne reżimy w walce z dżihadystami. Rosjanie eksploatują też złoża cennych surowców, przede wszystkim złota. Do tej pory ich obecność wojskowa w Afryce opierała się na istniejącej bazie w Libii, w przyszłości będzie to możliwe również za pośrednictwem portu wojennego w Sudanie.

Pierwsze porozumienie w sprawie bazy wojskowej w Sudanie zawarto w 2019 r. Ówczesny dyktator Sudanu Umar al-Baszir zgodził się na 25-letnią dzierżawę części portu. Podpisana rok później umowa nie weszła jednak w życie, ponieważ Baszir został obalony, a wkrótce potem doszło do zamachu stanu i wybuchu wojny domowej. Moskwa grała w tej wojnie na dwa fronty. Działający w Sudanie wagnerowcy wspierali gen. Mohameda Dagalę, szefa Sił Szybkiego Wsparcia, podczas gdy Kreml oficjalnie kokietował jego rywala, dowódcę sudańskiej armii gen. al-Burhana. Teraz, gdy szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na stronę al-Burhana, zdecydowano się postawić właśnie na niego. Rosjanie zaoferowali generałowi dostawy broni oraz wsparcie wojskowe, a ten w zamian zgodził się na budowę przez Moskwę portu wojennego nad Morzem Czerwonym. Jest to możliwe, ponieważ podległe al-Barhanowi oddziały armii sudańskiej kontrolują pas wybrzeża.

Baza morska w Sudanie ma jeszcze tę zaletę, że do pewnego stopnia może zastąpić port wojenny w syryjskim Tartusie, z którego większość sił rosyjskich ewakuowała się po upadku reżimu Baszszara al-Asada. Oczywiście Moskwa chciałaby pozostać w Syrii, ale negocjacje z nowymi władzami tego kraju są bardzo trudne. Budowa bazy w Sudanie nie tylko poprawia pozycję negocjacyjną Rosjan, lecz przede wszystkim pozwala im utrzymać obecność militarną w tym rejonie świata w przypadku niepowodzenia rozmów.

Konrad Kołodziejski

Zbombardowana katedra

Mjanma

25 stycznia decyzją papieża Franciszka ustanowiona została najmłodsza diecezja na świecie ze stolicą w Mindat w południowej części prowincji Czin w Mjanmie (dawnej Birmie). Zaledwie 12 dni później tamtejszy kościół Najświętszego Serca Jezusowego, podniesiony do rangi katedry, został zbombardowany przez armię rządową i ciężko uszkodzony. Z tego powodu musiano odłożyć ingres nowego biskupa Augustine'a Thanga Zawma Hunga.

Zdecydowaną większość (ok. 90 proc.) 50-mln Mjanmy stanowią buddyści. Chrześcijan jest zaledwie 6 proc. Tylko w prowincji Czin (leżącej na zachodzie kraju, przy granicy z Indiami i Bangladeszem) stanowią większość: ponad 90 proc. Przeważają wśród nich protestanci, jedynie co szósty wyznawca Chrystusa jest tam katolikiem. Ich głównym ośrodkiem pozostaje Mindat.

Wierni z tego miasta zadeklarowali już, że odbudują zbombardowaną świątynię, jednak w najbliższym czasie może to być trudne, ponieważ znajdują się w samym środku zbrojnego konfliktu. Cztery lata temu w Mjanmie doszło bowiem do zamachu stanu i władzę przejęła junta wojskowa. Wybuchła wojna domowa, która trwa do dziś. Armia rządowa, wspierana przez Rosję i Chiny, kontroluje tylko 20 proc. terytorium kraju, głównie wielkie miasta. Pozostałe ziemie pozostają opanowane przez ruch oporu, głównie buddyjskie milicje etniczne. W styczniu rebelianci przejęli władzę w prowincji Czin, ogłaszając ją strefą wolną od junty. W odpowiedzi wojsko dokonało nalotów na tamtejsze miasta, w których ucierpieli także chrześcijanie.

Ci ostatni często padają ofiarą krwawych sporów, których stronami są buddyści. Kilka dni temu w prowincji Sikong podczas pełnienia posługi duszpasterskiej w kościele został zamordowany 44-letni ks. Donald Martin Ye Naing Win. Mordu dokonał oddział uzbrojonych ludzi, ale wiadomo, do jakiej formacji zbrojnej należeli. W Mjanmie to reguła: Kościół nie angażuje się w żadne działania polityczne czy militarne, a mimo to staje się celem ataków.

Grzegorz Górny

Fot. A_Lesik/Shutterstock.com, Shutterstock

eprasa.pl 9f5052c56e

Jeszcze nie skończyłem!

Gdy z redaktorem Świetlikiem pisaliśmy książkę „Jeszcze nie skończyłem", wiedzieliśmy jedno – to nie będzie grzeczna publikacja. To nie miał być nudny korporacyjny raport, tylko historia prawdziwej walki o suwerenność energetyczną Polski. Walka, którą toczyłem jako prezes ORLENU, a którą dziś przenoszę na grunt europejski. Jeśli ktoś myślał, że po latach w biznesie zajmę się uprawą pomidorów na działce, otworzę szkołę jogi albo pójdę na emeryturę i będę karmił gołębie w Pcimiu, to się grubo pomylił.

Polska gospodarka jest pod ostrzałem szaleńców, którzy każą nam rezygnować z taniej energii, zamykać kopalnie, wycofywać auta spalinowe i czekać na cudowny deszcz unijnych dotacji, który ma wszystko naprawić. A ja pytam: jak długo jeszcze mamy się na to godzić?

Ta książka powstała, bo po prostu należało pokazać prawdę. Przez osiem lat zarządzania największym koncernem w regionie musiałem się mierzyć z politycznymi atakami, manipulacjami i absurdalnymi oskarżeniami. A mimo to udało się stworzyć potęgę. ORLEN przestał być lokalnym graczem, a stał się gigantem na skalę międzynarodową. Połączyliśmy Energę, Lotos, PGNiG, uniezależniliśmy się od rosyjskiej ropy i gazu, zbudowaliśmy własną flotę gazowców i zabezpieczyliśmy Polskę energetycznie na dekady. Komu to przeszkadzało? No właśnie...

Jeśli ktoś myślał, że po latach w biznesie zajmę się uprawą pomidorów na działce, otworzę szkołę jogi albo będę karmił gołębie w Pcimiu, to się grubo pomylił

Kiedy nastała nowa władza, wiadomo było, że pierwszym celem będzie demontaż wszystkiego, co udało się zbudować. Nie minęło wiele czasu, a zaczęły się nagonki, komisje i festiwal oskarżeń. Nie byłem zaskoczony – nie od dziś wiadomo, że w Polsce najtrudniej wybacza się sukces.

Ale zamiast siedzieć i martwić się, zrobiłem to, co zawsze – przeszedłem do ofensywy. Teraz działam w Parlamencie Europejskim, gdzie codziennie mierzę się z absurdami Zielonego Ładu i biurokratycznym szaleństwem Brukseli. Jeśli ktoś myśli, że w Warszawie były problemy z ideologią oderwaną od rzeczywistości, zapraszam do europarlamentu – tutaj ekorewolucjoniści są gotowi wywrócić gospodarkę całego kontynentu w imię utopijnych wizji, które wydają się przesadą nawet w Kalifornii.

Zakaz aut spalinowych od 2035 r.? Genialny pomysł, zwłaszcza że europejskie fabryki ledwo zipią pod ciężarem regulacji, a chińskie koncerny już zacierają ręce. Podatki od emisji CO_2, które uderzają w zwykłych obywateli, ale wielkie korporacje dostają zwolnienia i „zielone certyfikaty"? Klasyka unijnego myślenia. A do tego próby zmuszenia Polaków do wymiany pieców, ocieplania domów za setki tysięcy złotych i rezygnacji z normalnej żywności na rzecz syntetycznych wynalazków.

Nie godzę się na to i dlatego w Brukseli robię to, co umiem najlepiej – walczę. Jak w ORLENIE musiałem przekonywać, że Polska może być niezależna energetycznie, tak teraz przekonuję, że Europa nie może strzelić sobie w kolano, oddając przemysł i energetykę na pastwę biurokratów.

A wracając do książki – jeśli chcecie poznać kulisy tego, jak się buduje potęgę wbrew wszelkim przeciwnościom, jak wyglądały negocjacje z Saudami, jak doprowadziliśmy do przejęcia Lotosu i PGNiG, jak walczyłem z różnymi grupami interesów, „Jeszcze nie skończyłem" to pozycja obowiązkowa. Nie jest to nudna historia o biznesie, ale opowieść o determinacji, pokonywaniu przeszkód i tym, jak polska firma może stanąć w jednym szeregu z największymi na świecie. Książkę można kupić w sklepie internetowym sklep.czarnaskrzynka.com.pl

Bo jedno jest pewne: ja się nigdy nie poddaję. ORLEN to była wielka misja, ale teraz mam kolejną – zatrzymać szaleństwo Zielonego Ładu i brukselskiej biurokracji. Więc jeśli ktoś liczyna to, że mnie zniechęci, bądźcie pewni jednego – w Brukseli nie będzie spokoju, bo ja dopiero się rozkręcam!

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 9f5052c56e

Geopolityczno-historyczna logika

Marta Kaczyńska-Zielińska

W ciągu ostatniej dekady gospodarka Polski rosła, a dzięki wejściu w życie przygotowanej przez premiera Jarosława Kaczyńskiego ustawie o obronie ojczyzny i prężnej polityce kontraktowej ministra Mariusza Błaszczaka armia się rozwijała. Przed inwazją Rosji na Ukrainę 24 lutego 2022 r. Polska planowała zwiększyć wydatki na obronę z 2 proc. Jednak w połowie marca uchwalono ustawę o obronie ojczyzny, która zwiększyła wydatki na obronę do 3 proc. PKB. Za rządów PiS nasz kraj rekordowo wzmocnił wzrost gospodarczy, stawiając na rozwój infrastruktury i suwerenność energetyczną.

Za rządów PiS i Donalda Trumpa w Waszyngtonie Polska zbliżyła się do USA. W naszym kraju zaczęli stacjonować amerykańscy żołnierze, armia została doposażona w najnowocześniejszy sprzęt, a przez gazoport im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu zaczął płynąć amerykański LNG.

Wraz z powrotem Donalda Trumpa do Białego Domu i odrodzeniem w USA wartości, które zbudowały potęgę cywilizacji zachodniej, Polska ma szansę stać się jednym z najważniejszych graczy w Europie. Jej sytuacja geopolityczna jest jasna. Biorąc pod uwagę poważne zagrożenie rosyjską agresją na wschodnią flankę NATO, ważniejsze niż kiedykolwiek jest zrozumienie, w jaki sposób wyjątkowe doświadczenia historyczne Polski, jej pozycja geopolityczna i tradycje myślenia geopolitycznego czynią ją strategicznym sojusznikiem USA.

Jak poinformowała agencja AFP, w Europie głównym odbiorcą rosyjskiego gazu skroplonego (LNG) jest Francja. Z danych jednego z think tanków wynika, że w latach 2023–2024 import tego surowca z Rosji do Francji wzrósł aż o 81 proc. Od dłuższego czasu mówi się o imporcie rosyjskiego gazu do Niemiec i planach wznowienia działalności rurociągów Nord Stream, które pozwoliły Putinowi zaatakować Ukrainę. To właśnie prezydent Francji zwołał szczyt europejskich przywódców, a Rosja oświadcza, że nie ma nic przeciwko unijnym aspiracjom Ukrainy. Nic dziwnego. Sądząc po nieracjonalnych ruchach politycznych europejskich elit, można odnieść wrażenie, że Rosja od dawna jest obecna w UE i ma znaczące wpływy.

Jednocześnie Moskwa doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że UE w obecnym kształcie, poddająca się zabójczej fali migracji i ideologii gender, topiąca gospodarkę, okradająca obywateli za pomocą ETS oraz skupiona na zakrętkach od napojów jest jak tonący okręt, który co najwyżej pognębi Ukrainę.

W 1989 r. komuniści w Polsce zostali odsunięci od władzy po tym, jak wielomilionowy ruch Solidarność wymusił na nich przeprowadzenie częściowo wolnych wyborów. To także zwycięstwo USA pod wodzą Ronalda Reagana. W 1993 r. dzięki zdecydowanej polityce rządu premiera Jana Olszewskiego Armia Czerwona opuściła granice RP. Długie ramię Moskwy w postaci ekspozytury radzieckich służb pozostało i zdaje się, że po latach znowu odgrywa coraz bardziej widoczną rolę. Przystąpienie do NATO stanowiło nadrzędny cel polskiej polityki zagranicznej przez ponad dekadę po 1989 r. Cel ten, którego pierwszymi propagatorami byli Lech i Jarosław Kaczyńscy, zrodził się z oczywistych powodów zapewnienia bezpieczeństwa oraz silnego bodźca kulturowego i ekonomicznego, aby po dziesięcioleciach radzieckiego podporządkowania Polska wróciła do kręgu cywilizacji zachodniej.

Polską odpowiedzią na rosyjską agresję w Gruzji w 2008 r. oraz na Ukrainie było dążenie do własnych dwustronnych i wielostronnych sojuszy. Polska w sojuszu z Ukrainą, Białorusią i państwami bałtyckimi to łącznie 100 mln obywateli. W ramach większego euroatlantyckiego parasola bezpieczeństwa region pozostawałby tamą przed imperialistycznymi zapędami Rosji. Geopolityczna logika intermarium Józefa Piłsudskiego pozostaje aktualna. Zainicjowana w ostatnich latach przez Chorwację i Polskę inicjatywa Trójmorza to forum współpracy między państwami członkowskimi UE z Europy Środkowej i Wschodniej o strategicznym potencjale.

Stany Zjednoczone nie mogą sobie pozwolić na zaprzepaszczenie zwycięstwa w zimnej wojnie i wygraną Rosji. Polska niewątpliwie stanowi w tej rozgrywce znaczący czynnik.

REKLAMA

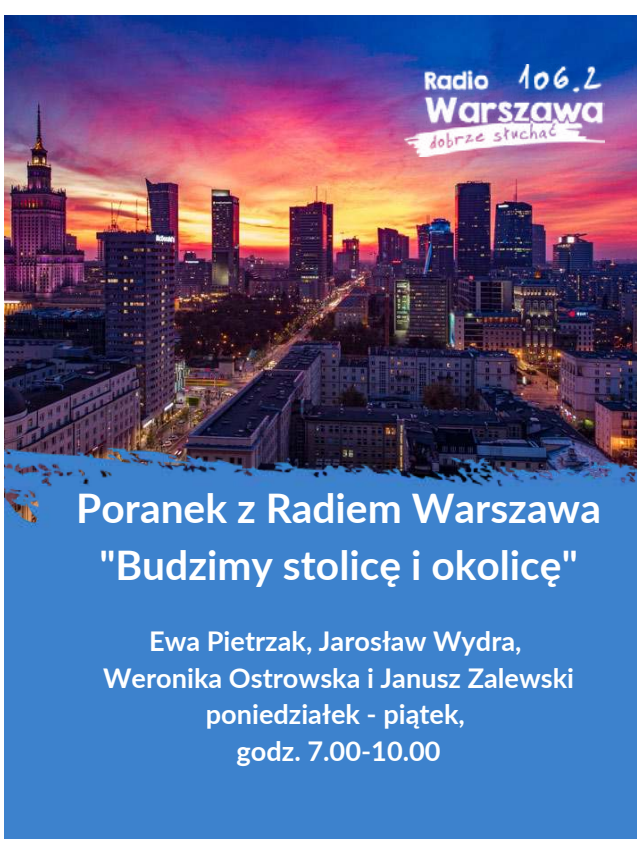

12/0125/F

eprasa.pl 9f5052c56e

Walizka Bogusława Szostkiewicza

założyciela Fundacji Marki Polskiej im. prof. W. Kieżuna, miłośnika i znawcy książek oraz historii Polski

Nie lubię podróżować, to znaczy przemieszczać się z jednego miejsca do drugiego samochodem, pociągiem lub samolotem. Uważam, że w gruncie rzeczy jest to nudne i męczące, a rzadko bywa zabawne. Dawno temu, gdy byłem nastolatkiem, odkryłem i zrozumiałem, że istnieje jeden wyjątkowy sposób podróżowania – tak ekscytujący, że nigdy nie może się znudzić ani rozczarować. To podróżowanie po świecie wyobraźni – świecie, który nie ma granic, bo jest nieskończony na wszystkie możliwe sposoby. Zrozumiałem też, że aby podróżować w tym świecie bez żadnych ograniczeń w czasie i przestrzeni, trzeba czytać książki. Aby móc to robić, trzeba je także kupować i gromadzić. Ale nie jak antykwariusz czy bibliofil, lecz prywatnie, bezinteresownie, dla siebie, a jednocześnie dla innych. Tym, co przeczytasz i czym wzbogacisz swoją wyobraźnię oraz wiedzę, i tak prędzej czy później podzielisz się z innymi. Powiedz mi, co czytasz, a powiem ci, kim jesteś.

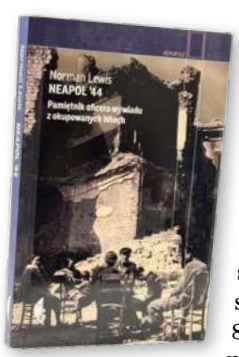

„NEAPOL '44", NORMAN LEWIS

Fascynujący „Pamiętnik oficera wywiadu z okupowanych Włoch" przeczytałem kilka miesięcy przed kilkudniową wyprawą do Neapolu w 2023 r. Po powrocie nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że niepotrzebnie wydałem pieniądze, bo wszystko, co spotkałem i widziałem w tym na swój sposób szalonym mieście, dokładnie 80 lat wcześniej przeżył i opisał niezrównany Lewis.

„KOMANDO FAŁSZERZY", OSCAR SKALA

Wspomnienia członka komanda fałszerzy funtów szterlingów z obozu koncentracyjnego SS Sachsenhausen z czasów II wojny światowej warto przeczytać choćby dla jednego zdania w języku niemieckim: „Es kommt anders, als wir denken", czyli w wolnym tłumaczeniu: „I tak zawsze wychodzi inaczej, niż sobie wyobrażamy".

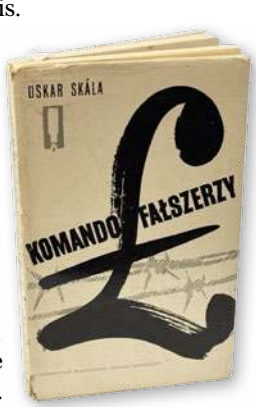

eprasa.pl 9f5052c56e

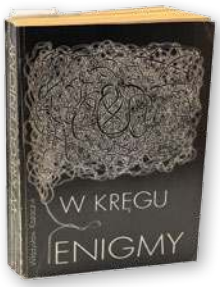

„W KRĘGU ENIGMY", WŁADYSŁAW KOZACZUK

Zapomnijcie o zasługach Anglików i Alana Turinga przy łamaniu kodu Enigmy. To Polacy – Marian Rejewski i jego koledzy Jerzy Różycki oraz Henryk Zygalski – w grudniu 1932 r. rozprawili się z kodem niemieckiej maszyny szyfrującej. To epokowe osiągnięcie zadecydowało o wyniku wojny, która miała dopiero nastąpić. Polacy uratowali świat przed zagładą. „Zrobili to moi rodacy i dlatego lubię być Polakiem".

„BARBARZYŃCA W OGRODZIE", ZBIGNIEW HERBERT

Zbiór esejów. Jak to się mogło stać, że Herbert nie otrzymał literackiej Nagrody Nobla? Szymborska, Tokarczuk – wolne żarty! Nie ta kategoria, nie ta klasa! „Barbarzyńca w ogrodzie" to arcydzieło języka, erudycji, odwagi, smaku i elegancji. Każde słowo i zdanie znajduje się na swoim miejscu.

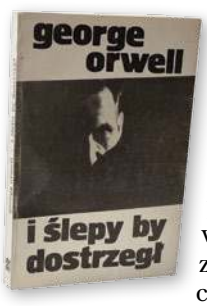

„I ŚLEPY BY DOSTRZEGŁ", GEORGE ORWELL

Zbiór felietonów wojennych. Autor „1984" był porządnym człowiekiem i jednym z nielicznych przyzwoitych Anglików. W felietonie, który ukazał się tuż po wybuchu powstania warszawskiego, w dosadnych słowach wyraził solidarność z walczącą Polską i podsumował niekończące się zaloty Churchilla i angielskich elit do Stalina oraz Rosji Sowieckiej: „Pamiętajcie, kto raz się sk...wił, k...wą zostanie". Trafnie?!

„PATOLOGIA TRANSFORMACJI" I „APOKALIPSA WEDŁUG PAWŁA"

Dwóch wybitnych ekonomistów, Witold Kieżun oraz Paweł Bożyk, opowiada, jak w okresie transformacji po 1989 r. zniszczono polską gospodarkę. Czyta się je jak kryminały. Znałem ich, przyjaźniłem się z nimi, podziwiam.

„UTWORY POETYCKIE", JAMES JOYCE

Kolejne arcydzieło polskiej sztuki wydawniczej, dwujęzyczne wydanie polsko-angielskie z okładką i ilustracjami mistrza Józefa Wilkonia w tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego. Wydane w 1972 r. przez Wydawnictwo Literackie z Krakowa. Autor „Ulissesa" byłby zachwycony.

„OKO PAMIĘCI", KRYSTYNA PRENDOWSKA

Czyli podróż do kresu siebie. Po drodze przystanki: Czesław Miłosz, Witold Gombrowicz, Andrzej Wajda, Andrzej Żuławski, Jerzy Kosiński, Philip Roth, Manhatan, Berkley... To będzie najlepsza książka 2025 r. Wiem, co mówię...

„ŚMIERĆ NIE PRZYCHODZI, KIEDY CZEKAM", BRONISŁAW SIANOSZEK

Pisane z celi śmierci komunistycznego więzienia wspomnienia wojenne jednego z najmłodszych egzekutorów Polski Podziemnej. Miały formę listu – prośby o ułaskawienie skierowanej do Bieruta. Lista wyczynów Sianoszka była imponująca. Bierut go ułaskawił, śmierć nie przyszła. Ale ubecy, na których polował po wojnie, nigdy mu tego nie wybaczyli i po 20 latach zabili go w upozorowanym „wypadku samochodowym".

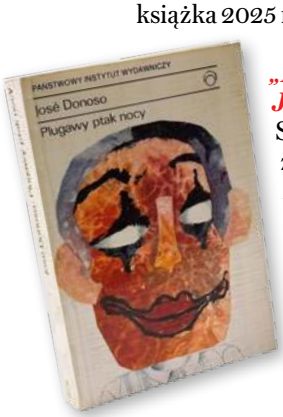

„PLUGAWY PTAK NOCY", JOSÉ DONOSO

Są książki ciekawe, interesujące, zaskakujące i są książki piękne. Ale bywają także książki przepiękne. Książka Donoso należy do tej kategorii także za sprawą projektanta jej okładki, genialnego Jerzego Jaworowskiego.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun

eprasa.pl 9f5052c56e

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Urok starych żartów

Jan Pietrzak

Rządowi specjaliści od ocieplania wizerunku premiera ukręcili scenkę obierania kartofli przez tego ancymonka. Sztuczność sytuacji powalała komizmem. Pomysł wziął się pewnie stąd, że kilka dni wcześniej prezes Jarosław puścił w internecie żarcik o kartoflach, które co noc śnią się Tuskowi, a premier spytał dyżurnego psychologa, co to znaczy. Ten odpowiada: „Albo na wiosnę cię posadzą, albo jesienią wykopią". Rozczuliłem się, bo mówiłem ten dowcip w czasach schyłkowego Gierka. Oto potęga starych żartów...

W tym samym cyklu reklamowym Tusk zajadał ze słoika „zupę od Gosi" i „placuszki od teściowej". A gdzie mielony od Meloni, makaron od Macrona, makrela od Merkel? Wurst od Scholtza? Prosimy o więcej uciesznych scenek jak ta, kiedy idąc za Trumpem, przykładał mu niby pistolet do pleców. Śmiechu było co niemiara. Był wtedy „królem Europy." Cały dwór chichotał.

Tutaj, na krajowym podwórku, zasób jego klakierów zmniejsza się z miesiąca na miesiąc. Nie dziwota. Obiecywane przed rokiem 100 kotletów to już 100 bzdetów. Co najciekawsze, Ameryka tak miesza w geopolityce, że eurokołchozowym szulerom trudno się połapać. Do Monachium przyjechał wiceprezydent Vance i wyjaśnił, że USA dadzą sobie radę w negocjacjach z Putinem, a Europejczycy niech uporządkują sprawy wewnętrzne. Oburzenie wstrząsnęło Berlinem. Przecież oni dostarczyli Ukrainie 5 tys. hełmów! Francuzi natychmiast zwołali konferencję w Paryżu, by dać odpór Ameryce! Z udziałem premiera Tuska. Ale on ma u Trumpa przechlapane.

Niełatwo ma też z imigrantami – czy upychać, czy wypychać? Odczułem to na własnej skórze. Przeszło rok temu pozwoliłem sobie zauważyć, że Niemcy chcą nam ich wpychać do Polski, bo mają tu gotowe baraki. Uprzedziłem, że to jest okrutny żart. Zostałem wskazany przez premiera prokuratorowi po nazwisku, że należy mnie zamknąć za... uwaga! Antysemityzm! Na pierwszym przesłuchaniu musiałem wyjaśniać prokuratorowi, że to nie mój żart, lecz „okrutny żart" niemiecki, co z kontekstu powinno być oczywiste dla każdego. Chwała Bogu, do odsiadki nie doszło, choć doszło do nagonki. Ale do tego przez kilkadziesiąt lat przywykłem. Ruskie i niemieckie agenciaki opluwają mnie przy każdej okazji. Natychmiast dołączają do nich niezdolni koledzy, najbardziej zajadli. Taki mój los. Ale zostawmy to na boku.

Najważniejszy dla Polski ze Związkiem Brukselskim na czele jest nowy układ Trumpa z Putinem, z Ukrainą w tle. Ważą się losy kontynentu, a nikt nie wie, co robić. „Jak żyć, panie premierze, jak żyć?" – spytał kiedyś Tuska zrujnowany człowiek. Na co ten odpowiedział – „Krótko!". To przypomina jeszcze dawniejszy żart. „Jak wam się żyje, towarzysze kołchoźnicy?" – zażartował towarzysz Chruszczow. „Dobrze, zażartowali kołchoźnicy".

Komisja zawiniła – świadek ukarana

Samuel Pereira

To mogłaby być historia z głębokiej putinowskiej Rosji. Jedynowładca, który urządził polowanie na opozycję, wścieka się, że jedna z podległych mu urzędniczek wysokiego szczebla w służbach śmie się stawiać i powoływać na prawo, a do tego kompromitować ciało polityczne, które wódz sklecił z poddanych, mające ostatecznie rozprawić się z opozycją. Niestety nie jest to historia z Rosji, tylko z Polski i dotyczy premiera Donalda Tuska, który swoimi działaniami mógłby zawstydzić każdego „świeżego" wschodniego watażkę. Rację miał Jacek Żakowski, gdy (w kontekście zarządzania kryzysem powodziowym, ale jak widać, ta ocena może być uniwersalna) mówił o szefie rządu koalicji 13 grudnia, że sięga po metody putinowskie, których w demokracjach się nie stosuje i praktykuje autorytarny model zarządzania.

Zobaczyliśmy to w przypadku działań podjętych wobec szefowej Centralnego Biura Antykorupcyjnego Agnieszki Kwiatkowskiej-Gurdak. To urzędniczka z nowego nadania, więc ciężko jej było nawet przylepić łatkę „pisowca", co jest metodą blokowania jakiejkolwiek dyskusji – bo przecież jeśli ktoś pracował i pełnił ważną funkcję za rządów PiS, to z automatu jest skreślony dla rewolucji. Tu było inaczej, mimo to Kwiatkowska-Gurdak zgrzeszyła, a jej główną i w sumie jedyną winą było skompromitowanie komisji śledczej ds. Pegasusa poprzez wykazanie, że zgodnie z przepisami nie może udzielać części informacji, której żądają od niej politycy zasiadający w komisji. Co gorsze, jej stanowisko potwierdzili doradcy komisji, a to tylko potwierdza słuszność nagonki zorganizowanej przez władze, a zrealizowanej przez usłużne rządowe i prorządowe media. Skończyło się „przyjęciem rezygnacji", co publicznie zameldował na platformie X sam premier, stawiając w ten sposób własną pieczątkę nad całą operacją.

Jaki jest cel tego dla każdego normalnego człowieka kompromitującego widowiska? To oczywiste: przetestować reakcję na przyszłość i dać jasny sygnał, co może spotkać każdego, komu choćby przyjdzie do głowy, by postawić prawo ponad wolę partii.

eprasa.pl 9f5052c56e

Niereformowalny pasażer na gapę

Historia uczy, że bezpieczeństwo nigdy nie jest dane raz na zawsze. Kiedy Donald Trump ponownie obejmuje stanowisko prezydenta USA, w europejskim unijnym mainstreamie narasta panika. Dlaczego? Bo znów odważył się powiedzieć głośno to, co oczywiste: jeśli chcesz pokoju, szykuj się do wojny. Nie na ekologiczne armie, nie na „zielone bataliony" marzące o czołgach na baterie słoneczne, ale na realną obronność. Za naszych rządów Polska to zrozumiała. Niemcy i inne państwa zachodnie wciąż wolą podróżować pierwszą klasą bezpieczeństwa na koszt innych – pasażerowie na gapę.

Gdy przed laty NATO ustaliło symboliczny próg 2 proc. PKB na obronność, wydawało się to absolutnym minimum. Ale potem przyszła wojna na Ukrainie. Polska doskonale rozumiała, że czasy się zmieniły. Zwiększyliśmy wydatki na obronę do ponad 3 proc. PKB, stając się realnym filarem europejskiego bezpieczeństwa. Niemcy nadal opowiadają bajki o modernizacji, a ich armia, jak przyznał sam minister obrony, była w ruinie.

Teraz, gdy Trump ponownie przypomina, że USA nie będą dłużej „sponsorem" cudzej niefrasobliwości, w Berlinie i Paryżu podnosi się larum. Krzyczą eurokraci, którym przez lata wystarczyły amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa, by móc oddawać się utopijnym wizjom zielonej transformacji i wielokulturowych eksperymentów społecznych. A przecież to nie NATO się kończy, tylko era darmowej obrony.

Europa powinna podążać drogą wyznaczoną przez Polskę: wzmacniać armie, inwestować w realne uzbrojenie, a nie w „neutralne emisyjnie" karabiny. Jeśli zachodni politycy myślą, że bezpieczeństwo można budować na postulatach lewicowo-liberalnego mainstreamu, to za chwilę zobaczymy pomysły na czołgi elektryczne zasilane panelami słonecznymi. Brzmi absurdalnie? Nie bardziej niż dotychczasowa polityka unijnego głównego nurtu.

Trump nie odkrywa Ameryki na nowo, on jedynie przywraca zdrowy rozsądek. NATO to sojusz odpowiedzialnych, nie system opieki socjalnej dla tych, którzy woleli oszczędzać na armii, licząc, że Amerykanie znów będą ich bronić za darmo. Polska rozumie tę lekcję. Czy Europa też ją w końcu odrobi? Czas pokaże i myślę, że nastąpi to bardzo szybko. Tymczasem bilet na gapę przestaje obowiązywać.

Arkadiusz Mularczyk

Telefon trenera postawił mnie do pionu

Z Wojciechem Bardowskim zwycięzcą 6. edycji „The Voice Senior", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Urok piosenek znad Sekwany czy porywające „You Raise Me Up"? Co pańskim zdaniem przesądziło o zwycięstwie?

Wojciech Bardowski: Francuską piosenkę wykonuję od lat, z wielką pasją. W „The Voice Senior" za sprawą Roberta Janowskiego śpiewałem też utwory angielskie i jestem mu za to wdzięczny. Podobnie jak za to, że powstrzymał mnie od zrezygnowania z finału.

Z jakiego powodu?

Obawiałem się, że w tak krótkim czasie nie zdążę się przygotować do tych piosenek, ale telefon trenera – który nie był oszczędny w słowach – postawił mnie do pionu.

Podobno w pańskim repertuarze nie brakuje też polskich utworów patriotycznych.

Te pieśni – z czasu I i II wojny światowej, a także 1920 r. – głęboko we mnie zapadły za sprawą rodzinnego domu, a także trzyletniego pobytu w Centralnym Zespole Artystycznym Wojska Polskiego, gdzie śpiewałem w chórze, w barytonach.

Nazwisko łączy pana z pewną rozpoznawalną parą.

Jeszcze przed udziałem w „The Voice Senior", gdy kiedyś się przedstawiłem, usłyszałem: „A, to z »Rolnik szuka żony«", ale nie jesteśmy spokrewnieni.

Gdzie stanie statuetka „The Voice Senior"?

Na fortepianie, w kąciku ważnych wspomnień, gdzie na ścianie wiszą portrety moich rodziców, taty – muzyka, organisty, obu związanych z muzyką braci, całej muzykującej rodziny. Myślę, że i dla nich będzie to nagroda, podziękowanie.

Co teraz przed panem?

Kontynuacja muzycznej drogi. Postaram się nie zawieść tych, którzy pokładają we mnie nadzieję. Marzeniem byłoby nagrać duet z Robertem Janowskim.

Fot. TVP

eprasa.pl 9f5052c56e

TRENDY I OWĘDY

Autobus z napisem „Koniec”

Ryszard Makowski

Wyścig Pokoju, bo jak mógłby się inaczej nazywać wyścig sygnowany przez czerwonych towarzyszy z demoludów, zamykał kawalkadę złożoną z peletonu i licznych pojazdów technicznych autobus z napisem „Koniec wyścigu”. Jechali tam ci, którzy się wycofali z powodu kontuzji lub braku sił. Czasem można odnieść wrażenie, że my też powoli stajemy się pasażerami autobusu z napisem „Koniec”.

Państwo rozpada się w zastraszającym tempie. Erozja instytucji następuje wręcz lawinowo. Ogólnie w obecnej Polsce rządzenie polega na permanentnym oszukiwaniu społeczeństwa. Symptomatyczne, że jego duża część to akceptuje, a nawet jest z tego dumna. To są Unijczycy pochodzenia polskiego.

Żyjemy w takiej koślawej rzeczywistości, gdzie na oko z 10 mln obywateli zostało umiejętnie zmarginalizowanych. Jak chcą mieć swoją telewizję, to niech sobie kupią kamery czy oświetlenie, jak chcą mieć swoje radio, to niech płacą na patronite, co więcej, jak chcą mieć swojego kandydata na prezydenta, to niech się złożą na kampanię, bo subwencja dla największej partii opozycyjnej została wstrzymana. Ale mało tego!

Jest koncepcja, by wybór prezydenta zatwierdziło 15 najstarszych sędziów Sądu Najwyższego. Czemu nie 15 najwyższych wzrostem albo 15 najniższych? I po co te ceregiele? I tak zadzwoni kanclerz Niemiec, wskazując kolejną głowę państwa. Wyścig jeszcze trwa. Jeszcze są szanse, by ktoś z reprezentacji Polski założył koszulkę lidera i poprowadził peleton. Ale należy się bardzo spieszyć, bo autobus z napisem „Koniec” depcze nam po piętach.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ANDRZEJ WIKTOR, SZER. ANETA LEWOŃ/15. BRYGADA ZMECHANIZOWANA, SHUTTERSTOCK/STEFAN DINOV, NEW AFRICA, PAVEL MIKHEYEV, CHIP SOMODEVILLA, ALEXANDROS MICHAILIDIS

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 9f5052c56e

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Konsekwencje wyborów

Stare powiedzonko o Polaku, który jest mądry dopiero po szkodzie, dotyczy też naszych wyborów – do samorządu, parlamentu czy prezydenta RP. Polacy od lat nabierają się na tzw. trzecie drogi, czyli niby nowe, niezależne partie tworzone przed wyborami (wyłącznie z myślą osłabienia polskiej prawicy), by po wyborach mogły one powiększyć nurt lewicowo-liberalny, który je wymyślił i wypromował. Albo inna mądrość po szkodzie – głosowanie na kandydata bez najmniejszych szans na wejście do drugiej tury wyborów prezydenckich. Także klęska ostatniego referendum w sprawie nielegalnej migracji uznanego za niewiążące ze względu na niską frekwencję to dowód głupoty tych Polaków, którzy zaakceptowali jego bojkot „uroczyście" ogłoszony przez Donalda Tuska.

Tuż po stworzeniu koalicji 13 grudnia minister kultury płk Bartłomiej Sienkiewicz przygotował listę organizacji i redakcji podejrzewanych o korzystanie z rządowej pomocy za czasów rządów PiS. Powstała swoista lista proskrypcyjna ponad 100 organizacji, których wspólną cechą było przywiązanie do idei patriotyzmu, korzeni chrześcijaństwa oraz niezależność i podmiotowość organizacyjna. Np.: Centrum Ochrony Praw Chrześcijan, Fundacja Mocni w Duchu, Stowarzyszenie Obrońca Wiary, Caritas Polska, Towarzystwo Salezjańskie, Stowarzyszenie Koliber, Telewizja Republika, tygodniki „Do Rzeczy" i „Sieci", „Tygodnik Solidarność", Fundacja Republikańska, Fundacja Smoleńsk 2010, kwartalnik „Fronda", Międzynarodowy Katolicki Festiwal Filmów „Niepokalana", Festiwal Niepokorni Niezłomni Wyklęci, Fundacja Ordo Iuris, Collegium Intermarium i wiele innych.

Sienkiewicz zażądał informacji o państwowych dotacjach dla tych instytucji z lat 2015–2023. Tym samym potwierdził, że dla jego partii głównym wrogiem jest obóz patriotyczny, chrześcijański i że w interesie postkomuny oraz lewicy trzeba ograniczyć jego wpływy, jednym słowem – „opiłować" to całe środowisko. Czy wszyscy wyborcy koalicji 13 grudnia wiedzieli, jakie poglądy na Polskę ma Sienkiewicz? Czy przypuszczali, że siłowo, jak gangster, zawłaszczy publiczne media? Być może wiedzieli, że to prawnuk noblisty, wielkiego Henryka, ale pewnie nie słyszeli, że nazwał swojego pradziadka grafomanem. Dziś lewak Sienkiewicz, prawa ręka Tuska od brudnej roboty, usilnie pracuje w UE nad zaprowadzeniem totalnego zamordyzmu w interesie właścicieli Europy, „elity", do której uważa, że się zalicza.

Konsekwencje złych wyborów zawsze mają dalszy ciąg. Hanna Wróblewska, która zastąpiła Sienkiewicza, przy udziale ludzi z komisji konkursowej rozdzieliła państwowe fundusze dla organizacji i redakcji. Na czele kwartalniki „Więź" i „Znak". Dofinansowanie „Więzi" w rocznej wysokości 143 tys. aż na trzy lata, a „Znaku" w wysokości 180 tys. także do 2027 r. To tzw. postępowi katolicy. Inni, np. z tygodnika kulturalno-społecznego „Czas Kultury", też dostali 160 tys. Dalsze miejsca zakwalifikowanych wnioskodawców zajmują liczni świeccy liberałowie. Fundacja z tygodnikiem internetowym „Kultura Liberalna" otrzyma w 2025 r. 160 tys. zł. Tyle samo Stowarzyszenie Czas Kultury na swój dwutygodnik. Klub Inteligencji Katolickiej będzie miał do wydania 140 tys., a Fundacja Liberté! dostanie 120 tys. zł. Wrocławski Dom Kultury otrzyma 111 tys. zł na sfinansowanie czterech numerów „Notatnika Literackiego". Stowarzyszenie kulturalno-artystyczne „Rita Baum" na wydanie czasopisma o tej samej nazwie – 84 tys. zł. Na przychylność komisji konkursowej mogły liczyć niektóre mniejszości etniczne: Ormiańsko-Polski Komitet Społeczny – 100 tys. zł, Stowarzyszenie Romów w Polsce – 80 tys. zł, Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie – 37 tys. zł (dlaczego tak mało? Tusk będzie niezadowolony.)

Oczywiście znacznie dłuższa jest lista instytucji niezakwalifikowanych do finansowania, ale to ona najlepiej świadczy o istocie zmiany, która dokonała się po objęciu władzy przez ekipę Tuska. Bez finansowania na ten rok są: Stowarzyszenie Wolnego Słowa z rocznikiem „Bibuła" o opozycji antykomunistycznej i kulturze niezależnej, czasopismo „Nowy Obywatel", Podlaskie Muzeum Kultury, Lwowski Biuletyn Informacyjny, Warmińsko-Mazurski Oddział SDP wydający ogólnopolskie czasopismo „Bez Wierszówki". To w pewnym sensie oczywiste, skoro ogólnopolskie darmowe pismo „Forum" najliczniejszej organizacji dziennikarskiej, jaką jest SDP, straciło szanse na finansowanie. Podobnie jak zasłużone dla konserwatywnej, katolickiej wspólnoty czytelników: miesięcznik „WPiS" (Wiara, Patriotyzm i Sztuka), miesięcznik „Ostoja" albo czasopismo „Kultura i Biznes". Utrącono inicjatywy wydawnicze takich instytucji jak Święty Wojciech Dom Medialny, Naukowe Towarzystwo Tomistyczne, Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów, Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów, Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego i wiele innych. Oto praktyczne konsekwencje nieprzemyślanych wyborów.

www.wojciechreszczynski.pl

OGNIEM NA WPROST

Trump, Putin i lekcja z przeszłości

Andrzej Rafał Potocki

Trwają przygotowania do spotkania Donalda Trumpa i Władimira Putina. W ramach dyplomatycznej „padgatowki" (przygotowań), innymi słowy „razwiedki bojem" (rozpoznania walką), amerykański prezydent nie oszczędza się w medialnych wypowiedziach, szokując świat, ale przede wszystkim zwolenników niepodległości Ukrainy. „Mieliśmy umowę opartą na metalach ziem rzadkich i inne rzeczy, ale dwa dni temu Ukraina ją złamała" – powiedział Donald Trump. Ponownie określił ukraińskiego prezydenta mianem „dyktatora". Kpił, że Zełenski mógł przyjechać na rozmowy USA i Rosji do Rijadu, ale nie dostał zaproszenia. Ale do twierdzeń w stylu: „Ukraina mogła powstrzymać wojnę negocjacjami z Moskwą" oraz takich, że „sami sobie winni", trudno się przyzwyczaić. Jeżeli prezydent USA tak myśli, jest to przerażające. Mamy do czynienia albo z kompletną ignorancja (w co wątpię), albo z obliczoną na zaskoczenie grą dyplomatyczną Trumpa, w której każdy retoryczny chwyt jest dozwolony. Mam nadzieję, że widzimy to drugie. Inaczej za jakiś czas Moskal rozpęta piekło i ani nam, ani tym bardziej UE bardzo trudno będzie się pozbierać. Jest jednak nadzieja, że prezydent największego supermocarstwa ciągle ma z tyłu głowy hasło: „America first".

Całe to przedstawienie przypomina czas kongresu erfurckiego z 1808 r., czyli spotkania Napoleona z carem Aleksandrem I. Po zwycięstwie Napoleona pod Frydlandem wieńczącym kampanię pruską 1806 r. i polską 1807 r., strony (Francja i Rosja) zawarły pokój w Tylży. Na mocy traktatu powstało m.in. Księstwo Warszawskie. W Tylży Napoleon sprawiał wrażenie, że stał się wielbicielem cara Aleksandra – klimat podobny do dzisiejszego „zachwytu" Trumpa nad bandytą ze Wschodu Putinem. Jednak w stolicy, na dworze Aleksandra, antyfrancuskie nastroje zaczęły zagrażać nowo zawartemu porozumieniu pokojowemu. Stąd pomysł spotkania w Erfrurcie. Napoleon i jego minister spraw zagranicznych Jean-Baptiste Nompère de Champagny starali się wzmocnić sojusz, aby uregulować francuskie sprawy w Hiszpanii (wojna) i przygotować się (zabezpieczyć tyły) przed nieuchronnie zbliżającym się konfliktem zbrojnym z Austrią (dziś jej odpowiednikiem mogłyby być Chiny). To, co odstawił cesarz Francuzów przed i podczas rzeczonego kongresu, graniczyło z pajacowaniem w stylu Trumpa. Napoleon próbował zadziwić Aleksandra chwałą cesarstwa francuskiego. Spotkanie przerodziło się w wielką konferencję, w której uczestniczyło wielu królów, książąt, baronów i notabli z całej Europy. Wśród uczestników był François Joseph Talma i cała Comédie-Française, która w trakcie kongresu przedstawiła 16 francuskich tragedii. Nawet Niemiec Goethe był adorowany przez samego Napoleona. Teoretycznie cesarz osiągnął swój cel.

Ale na krótko. Sześć miesięcy później rozpoczęła się oczekiwana wojna z Austrią, a Aleksander ledwo dotrzymał umowy, pomagając Francji tak mało, jak to możliwe. Kością niezgody coraz wyraźniej stawało się Księstwo Warszawskie (dziś mogą to być Polska i kraje bałtyckie). Moskal nie mógł się pogodzić z jego istnieniem. Polacy ryli na dworze w Paryżu pod Aleksandrem I, namawiając Napoleona do prewencyjnej wojny z Moskwą. Cała gra cesarza Francuzów przed i w trakcie kongresu erfurckiego powoli ulegała zapomnieniu, a jedyne, co dała, to kilka lat spokoju w Europie. Ostatecznie 24 czerwca 1812 r. przekroczyliśmy wraz z Napoleonem Niemen i ruszyliśmy na Moskwę. Jedynym, który trzeźwo spojrzał na kongres erfurcki i cara Aleksandra I, był zwykły grenadier Gwardii Cesarskiej Napoleona, wąsaty wiarus. Stał na warcie z karabinem przed salą balową, kiedy podeszło do niego dwóch przywódców. „Co sądzisz o ludziach, Sire, którzy noszą takie blizny?" – zapytał Napoleon cara Aleksandra, wskazując na szramę zdobiącą policzek grenadiera. „A co sądzisz o ludziach, które takie szramy zadają?" – wypalił Aleksander. Z intelektualnej opresji Napoleona wybawiła odpowiedź samego grenadiera: „Ci już nie żyją!". Nie wierzę w żaden trwały pokój z Moskwą na godnych warunkach, czyli „America first". Bliższa jest mi postawa grenadiera, który przeczuwał, że mimo całej oprawy i tak dojdzie do rozwiązania siłowego. Po owocach poznamy.

OŚWIADCZENIE

W artykule pt. „Hakata Dekana", opublikowanym 20 marca 2017 roku w numerze 12 (225) 2017 tygodnika „wSieci" (obecnie „Sieci") użycie porównania zarządzania przez Marka Dekana koncernem medialnym Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o. do organizacji Hakata naruszało dobre imię, godność i cześć Marka Dekana w związku z historycznym kontekstem pojęcia „Hakata", za co przepraszamy.

Fratria sp. z o.o.
– wydawca tygodnika „Sieci"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9f5052c56e

Marta Nawrocka

Mój mąż kocha Polskę

eprasa.pl 9f50

Położyliśmy na stół wszystkie za i przeciw. Wiedzieliśmy, że skoro przychodzi spoza polityki, będzie się musiał nauczyć tych reguł. Nie był też szeroko znany poza gronem osób interesujących się historią. I to ode mnie wtedy padło: „To wymagające zadanie, ale jeśli się na to decydujemy, wygrasz te wybory"

Z Martą Nawrocką, żoną Karola Nawrockiego, obywatelskiego kandydata na prezydenta RP, rozmawia Marcin Wikło

Kiedy się pani zorientowała, że jest już żoną polityka, a nie urzędnika?

Marta Nawrocka: Mogę podać dokładną datę. 24 listopada ub.r. w hali Sokoła w Krakowie, gdy przedstawiono mojego męża jako obywatelskiego kandydata na prezydenta. Wtedy do mnie dotarło, że to wszystko dzieje się naprawdę. Najpierw na scenę wszedł Daniel, który zapowiadał swojego tatę. A potem już prezentacja Karola. Padło tyle ważnych i wzniosłych słów, każde z nich prawdziwe, opisujące go wyjątkowo trafnie. I wówczas uświadomiłam sobie, że stoi przede mną mój mąż, ale już jako polityk ubiegający się o urząd prezydenta RP.

Zatrzymajmy się przy tej chwili, gdy przemawiał Daniel. Powiedział wówczas, że ma honor przedstawić człowieka, który jest dla niego „kimś więcej niż kandydatem na prezydenta".

Przed wejściem obiecałam sobie, że cokolwiek się stanie, będę się starała być twarda i nie płakać. Ale te słowa tak mnie wzruszyły, szczególnie gdy Daniel zaznaczył, że to jest jego ukochany tata... Do dzisiaj nie wiem, jak udało mi się powstrzymać łzy.

Wszystko to działo się w otoczeniu polityków, w kompletnie nowym dla pani środowisku. Czy wejście do tego świata było trudne?

Przede wszystkim to była wspólna decyzja. Pewnego dnia Karol przyszedł do domu i powiedział: „Mamy do omówienia bardzo ważną sprawę".

Zaskoczył panią?

Nie byłam bardzo zdziwiona. Ale bardzo dobrze, że już wtedy o tym rozmawialiśmy. To jest ten rodzaj wyborów życiowych, w których, będąc odpowiedzialnym, nie można się zaskakiwać. Szybko zdecydowaliśmy, że będziemy w tym razem. Zresztą nie wyobrażam sobie, bym nie wspierała męża w tej ważnej drodze.

Była inna opcja, czy przyszedł do pani tylko po potwierdzenie swojego wyboru?

Podczas tej rozmowy stanęliśmy w całkowitej prawdzie i niczego nie chcieliśmy forsować na siłę. Położyliśmy na stół wszystkie za i przeciw. Wiedzieliśmy, że skoro przychodzi spoza polityki, to będzie się musiał nauczyć tych reguł. Nie był też szeroko znany poza gronem osób interesujących się historią. I to ode mnie wtedy padło: „To wymagające zadanie, ale jeśli się na to decydujemy, wygrasz te wybory".

Czy już wtedy narodził się Karol Nawrocki polityk?

Karol nigdy nie chciał należeć do partii i nie myślał o tym, żeby zostać politykiem. Uważał, że więcej konkretnych spraw dla Polski może załatwić jako urzędnik pracujący w IPN i Muzeum II Wojny Światowej. Wielokrotnie mówił, że jego celem jest mądra promocja polskiej historii, kultury i tradycji oraz budowanie instytucji, która na serio zadbałaby o edukację. To była ciężka, konsekwentna praca. Uważam, że zasłużył na miejsce, w którym jest dzisiaj i nie dziwię się, że go zauważono oraz doceniono. Bardzo się cieszę i czuję ogromną osobistą satysfakcję, że wiele osób widzi przyszłego prezydenta Polski właśnie w nim.

A jak pani znosi wyjście z cienia i zostawienie za sobą spokojnego, prawie anonimowego życia? Czy do roli, którą ma pani przed sobą, da się przygotować?

Jako żona dyrektora muzeum czy prezesa IPN bywałam z nim w wielu oficjalnych sytuacjach. Ale teraz to oczywiście zupełnie co innego. Mieszkamy w Gdańsku i jeszcze nie muszę się mierzyć z jakimiś niedogodnościami, na które czasem narzekają rozpoznawalne osoby. Inaczej jest, gdy pojawiamy się gdzieś razem, bo Karol jest już znany. Na początku krępowało mnie, gdy ktoś podchodził i chciał porozmawiać czy zrobić zdjęcie. Ale przecież to zrozumiałe, że chce się poznać takiego fajnego gościa, więc w pełni to akceptuję.

A jak polityka wkroczyła w życie waszych dzieci?

Daniel ma 22 lata i jest radnym dzielnicy Siedlce. Interesuje się polityką, dobrze sobie radzi w mediach społecznościowych. On chyba najlepiej z nas wszystkich odnalazł się w tej kampanii. Bardzo wspiera tatę i mnie. Antek ma 15 lat, chodzi do ósmej klasy. Zwykle jest zaangażowany bardziej sportowo niż politycznie, ale teraz bardzo się przejmuje kampanią taty. Widzę czasem, jak siadają razem i przeglądają tik-toki z udziałem ojca. Karol ma spory dystans do siebie, nie obrusza się, gdy się z niego żartuje

eprasa.pl 9f5052c56e

Fot. Andrzej Wiktor

w internecie. Jest przy tym sporo śmiechu dla nas wszystkich, bo to taka mniej poważna formuła, ale też potrzebna. No i Antek nie mógł się doczekać ferii, żeby móc pojechać z tatą w kampanijną trasę.

Jest jeszcze Kasia, najmłodsza. To oczko w głowie tatusia?

Zdecydowanie tak. I ona jako jedyna nie chce oddać taty do pałacu prezydenckiego [śmiech]. Gdy widzi go w telewizji, podbiega i wysyła mu buziaczki. Czeka i patrzy, czy jej odpowie, choćby drobnym gestem. Sześciolatka ma swój świat i na własny sposób widzi te nasze realia. Kocha tatusia takiego, którego zna z domu, a nie z telewizji.

Kandydat Karol Nawrocki opowiedział tę historię na początku kampanii podczas spotkania w Bielsku-Białej: „Jestem ojcem wspaniałego syna, Daniela, wychowuję go od drugiego roku życia. [...] Nie jest moim biologicznym synem, ale czasami o tym zapominam, bo nie znam innego życia jak z Danielem, a on nie zna innego ojca jak ja".

To prawda. W ogóle nie ma znaczenia, że Karol nie jest biologicznym ojcem naszego syna.

Mówił także: „Mamy świadomość, że Daniel żyje za sprawą głębokiej odporności psychicznej, poświęcenia i gotowości jego młodej wówczas mamy do tego, aby go urodzić i aby życie wygrało". Jakim doświadczeniem dla pani było tak wczesne macierzyństwo?

To była dla mnie trudna lekcja. Szybko musiałam wejść w dorosłość i wziąć odpowiedzialność nie tylko za siebie, lecz także za syna. Jestem z siebie dumna, bo poradziłam sobie z połączeniem nauki w liceum z opieką nad dzieckiem. Potem szybko zaczęłam pracę zawodową w Służbie Celnej i wybrałam się na studia zaoczne. Cieszę się, że wytrzymałam.

W jakich okolicznościach poznała pani Karola?

To był przypadek. Miałam przyjaciółkę, którą odwiedzałam na gdańskich Siedlcach. Minęłam się kiedyś w przejściu na schodach z chłopakiem, spotkaliśmy się wzrokiem. Zaskoczyło mnie, że tak mnie przeszył, poczułam coś niesamowitego. Poszłam do koleżanki i zaczęłam o nim opowiadać. Jak był ubrany, że był z psem. No i ona mówi, że to pewnie Karol, nasz kolega z osiedla, trenuje boks. Jej chłopak go znał. I tak się zaczęła nasza znajomość. Ujął mnie tym, że nie było dla niego żadną przeszkodą to, że mam 19 lat i dwuletniego synka. A mnie dopiero po latach wyznał, że bardzo mu imponowało to, że młoda, wesoła i roześmiana dziewczyna radzi sobie z wychowaniem małego chłopca. Że stara się żyć normalnie, choć naprawdę było to trudne.

Jak wyglądała ta relacja ojca z synem?

Daniel stał się po prostu naszym dzieckiem, rzeczywiście nie zna innego ojca. Karol wpoił w niego i historię, i sport. Daniel poszedł do tej samej szkoły, „czwórki", do której chodził Karol, wybrał też ten sam Uniwersytet Gdański. Ale przede wszystkim Karol pokazał Danielowi wszystko, co ojciec powinien pokazać

eprasa.pl 9f5052c56e

synowi. Myślę, że to dzięki niemu Daniel jest dzisiaj bardzo opiekuńczym bratem, przede wszystkim dla swojej siostrzyczki. Jest też wzorem dla młodszego z naszych synów, a na tym etapie i dla mnie – ogromnym wsparciem. Pomaga mi i doradza, otwarcie rozmawiamy o wszystkim, jak dorośli. Nasze relacje są bardzo partnerskie.

Jaki jest dom Nawrockich?

Nasz dom jako miejsce to trzypokojowe mieszkanie w bloku. Dobrze się tu czujemy. A dom rozumiany jako nasza wspólnota jest czymś najcenniejszym, co zbudowaliśmy. To miejsce pełne zgiełku, radości, zabaw, normalnego rodzinnego życia, które toczy się codziennie do późnych godzin. W wielu sprawach miewamy różne zdania, ale cała piątka zgadza się w jednym – uwielbiamy pizzę jedzoną wspólnie przy jednym stole. Teraz Karola często nie ma, więc gdy tylko się pojawia, szczególnie łapie te chwile razem. Bajki, filmy, seriale. Bawi się z Kasią, a z chłopakami gra w planszówki albo w piłkę nożną na konsoli. Wiem, że może państwa nie zaskoczyłam, że to nasze życie jest bardzo normalne, ale właśnie to najbardziej sobie cenimy.

Pracuje pani w Krajowej Administracji Skarbowej. Na czym to polega?

Od 18 lat pracuje jako funkcjonariusz celny na stanowisku młodszego eksperta celnego. Naszym celem jest walka z nielegalnym hazardem, a także kontrola tego legalnego, np. kasyn czy zakładów wzajemnych. Moja codzienność to nie jest siedzenie za biurkiem, czasem przeżywam sceny jak z filmu sensacyjnego. Pracujemy w grupie, która zajmuje się tzw. realizacją, czyli mówiąc wprost, wchodzimy z bronią do miejsc, w których mogą się znajdować nielegalne automaty. Czasem wiąże się to z wyważaniem drzwi, czasem trzeba kogoś obezwładnić i zatrzymać siłą. Takimi przestępstwami zajmują się niebezpieczne grupy mafijne, ten proceder przynosi im ogromne zyski, które, gdyby były opodatkowane, powinny trafiać do budżetu. Te grupy walczą o swoje wpływy wszelkimi metodami, często poza prawem. Aby być skuteczną, muszę także dużo ćwiczyć i zachować sprawność fizyczną. Często bywam też na strzelnicy, bo umiejętność posługiwania się bronią jest bezwzględnie wymagana w mojej pracy.

> Nasz dom jako miejsce to trzypokojowe mieszkanie w bloku. Dobrze się tu czujemy. Dom rozumiany jako nasza wspólnota jest czymś najcenniejszym, co zbudowaliśmy. To miejsce pełne zgiełku, radości, zabaw, normalnego rodzinnego życia, które toczy się codziennie do późnych godzin

Na czas kampanii wzięła pani urlop. To było konieczne?

Jestem funkcjonariuszem publicznym, więc urlop był konieczny, jeśli zdecydowałam się zaangażować w kampanię męża. Ustawa nakłada na nas pewne ograniczenia, nie mogłabym np. zachęcać do głosowania na Karola. To dlatego przez ostatnie miesiące nie byłam aktywna. Ale od 1 lutego jestem na urlopie bezpłatnym i mogę pomóc.

Jak widzi pani swoją rolę w kampanii prezydenckiej Karola Nawrockiego?

Najpierw chciałabym, aby ludzie mnie poznali. Zobaczyli, jaka jestem naprawdę. Bo jestem przecież żoną kandydata na prezydenta, tworzymy rodzinę, to też coś o nim mówi. Niech wyborcy mają pełny obraz człowieka, który zachęca ich do oddania głosu na siebie. Jest jasne, że moja aktywność nie będzie dotyczyła twardych politycznych zagadnień, ale współpraca ze środowiskami mądrze działającymi dla kobiet czy dla młodzieży jest czymś, co mnie bardzo interesuje i jest mi bardzo bliskie. Na pewno będzie można mnie spotkać przy okazji wieców Karola, będę także organizowała swoje wydarzenia, na które już serdecznie zapraszam.

Mówi pani, że chce, by ludzie panią poznali. Jaka jest więc Marta Nawrocka?

Jestem normalną dziewczyną, która przeszła już jakąś drogę i ma pewne doświadczenia. Przez to jestem wrażliwa na historie kobiet i bardzo doceniam te z nas, które potrafią pokonywać przeciwności losu. Myślę, że ważnym doświadczeniem była dla mnie szkoła baletowa, do której poszłam jako 10-latka. Dla dziecka nie było to łatwe, treningi miałam sześć razy w tygodniu. To naprawdę była ciężka praca. Bardzo chciałam zostać baletnicą, ale nie było mi to dane. Zresztą do szkoły baletowej chodził także mój brat i zarówno mnie, jak i jego nauczono tam dyscypliny oraz determinacji. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że tak bardzo pomoże mi to w życiu. W trudnych momentach okazuje się, że mam twardy charakter i drobne niepowodzenia nie są w stanie mnie złamać. Zresztą nasze wspólne początki z Karolem to też nie była droga usłana różami. On studiował dziennie, trenował, musiał na siebie zarobić. Niczego nie podano nam na tacy. Przeszliśmy wspólnie różne kryzysy i trudne momenty. To powoduje, że znamy się bardzo dobrze i możemy na siebie liczyć. Naprawdę nigdy się na nim nie zawiodłam.

Jest uparty?

W dążeniu do swoich zawodowych celów tak, nawet bardzo. A w domu to raczej ja jestem uparta, a on potrafi odpuścić. Nie forsuje na siłę jakichś dziwnych zasad, za to go

AO/0225/F

eprasa.pl 9f5052c56e

lubimy. W wychowaniu dzieci jest bardzo sprawiedliwy, choć wobec chłopaków wymagający w pewnych sprawach. Ale to dlatego, że zawsze chciał ich wychować na dobrych mężczyzn. A wobec córki, no cóż... Tutaj czasem brakuje mu konsekwencji [śmiech].

Dynamika tej kampanii jest bardzo duża, coraz więcej Polaków chce przyjść na spotkania z pani mężem, sale pękają w szwach. Czy Karol Nawrocki w domu bardzo się różni od tego, którego widzimy podczas kampanijnych wieców?

Startował z bardzo niskiego pułapu rozpoznawalności, szczególnie w porównaniu z najpoważniejszymi kontrkandydatami. Ten wzrost rozpoznawalności i zaufania to niewątpliwy sukces, uważam, że kluczem do niego okazało się to, że jest naturalny. Ja to widzę najlepiej, że nikogo nie udaje, że to naprawdę on. Jeśli więc ktoś przychodzi na spotkanie, by go poznać, ma szczęście, bo mu się to uda. Zresztą ludzie od razu rozpoznaliby fałsz. Karol nie musi się niczego bać, wystarczy, żeby pozostał sobą.

W zasadzie nie ma go w domu, bo jeździ po kraju, tych spotkań jest po kilka dziennie. Czy oglądając jego wystąpienia, widzi pani u niego zmęczenie? A może się w tym świetnie odnajduje?

Te spotkania jeszcze dodają mu mocy. Zawsze dobrze się czuł wśród ludzi, i to bardzo różnych. Uwielbia rozmawiać, nie stawia barier. A zmęczenie? Nie widzę tego. Jest twardy fizycznie, lubi treningi. Mówi, że po nich, gdy głowa odpocznie, ma ważne przemyślenia i najlepsze pomysły. A gdy przyjeżdża do domu, potrafi się odciąć od pracy. Wiem, że dużo pracuje w podróży, właśnie po to, by nie przynosić jej do domu. Tutaj jest tylko dla nas.

Jego zdrowy tryb życia jest przedstawiany jako zarzut. Wrogie media pokazują go jako dresiarza, osiłka, który nie ma wiele wspólnego z urzędem prezydenckim, do którego pretenduje. Jaka jest prawda o nim?

Jako młody chłopak trenował boks. Ale ci, którzy mu to wypominają, nie mówią całej prawdy. Nie chcą zauważyć, że pod pachą miał też zawsze ze sobą książkę. Nauka go po prostu interesowała, konsekwentnie podążał tą ścieżką aż do doktoratu z historii. A te wyśmiewane treningi nauczyły go dyscypliny i konsekwencji, której należy mu zazdrościć, a nie z nich drwić.

Gdy okazało się, że Karol Nawrocki dobrze wszedł w kampanię i zaczął zyskiwać na popularności, ruszył atak na niego. Jak odbieracie te publikacje, w których na siłę chce się na niego coś znaleźć, wyciągnąć jakieś haki z przeszłości?

REKLAMA

DANIEL OBAJTEK

szczerze
i bez ogródek
w książce

„Daniel Obajtek.
Jeszcze nie skończyłem"

W sprzedaży także
koszulki i czapki!

ZAMÓW NA | sklep.czarnaskrzynka.com.pl

eprasa.pl 9f5052c56e

Przede wszystkim oboje wiemy kim, jesteśmy. Wiem, kim on jest. Kto może go znać lepiej niż ja? Przecież wiem, że te opowieści o jego rzekomych kontaktach ze światem przestępczym nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Zdaję sobie sprawę z tego, że to opowieści obliczone na to, by go zdyskredytować, coś mu przylepić, by ludzie nie mieli do niego zaufania. To były brutalne ataki i niestworzone historie. Gangster, sutener, jakiś „statek miłości" w apartamencie w muzeum... A przecież wiem, jaka jest prawda, że te pokoje były wynajmowane w czasie COVID-19 na potrzeby odbycia kwarantanny albo dla gości muzeum. Jeśli ktoś miał na celu zasiać jakąś wątpliwość w mojej relacji z mężem, to mam jeden przekaz – nie udało się.

Robi to na pani wrażenie?

Oczywiście, że widzę ten hejt, ale traktuję to jak ataki na kogoś, kogo oni się boją. Wiele osób jest odważnych zza ekranu komputera, twarzą w twarz jeszcze nikt nie zdecydował się tego powiedzieć. Trudno więc poważnie traktować taki anonimowy brzydki ferment.

> Karol nie lubi łatwych spraw, idzie pod prąd i doprowadza zadania do końca. Widzę, jak twardo stąpa po ziemi i myślę, że nie ma problemu z poczuciem własnej wartości, choć nie epatuje sobą. Jest silny, ale taktowny. Pewny siebie, ale nie zuchwały

Wiele osób miało wątpliwość, czy człowiek tak mocno kojarzony tylko z polityką historyczną będzie umiał wyjść poza dotychczasową tematykę. Myśli pani, że było to dla niego trudne?

Karol nie lubi łatwych spraw, idzie pod prąd i doprowadza zadania do końca. Widzę, jak twardo stąpa po ziemi i myślę, że nie ma problemu z poczuciem własnej wartości, choć nie epatuje sobą. Jest silny, ale taktowny. Pewny siebie, ale nie zuchwały. Odkąd się znamy, zawsze był liderem w grupie. Gdy grał w piłkę w drużynie Ex Siedlce Gdańsk, był kapitanem. Potem w każdej pracy dochodził do kierowniczych stanowisk. Tajemnica tkwi w tym, że jest po prostu dobrym, życzliwym człowiekiem i pasjonatem. Z nim chce się pracować i angażować w pracę, bo potem widać jej owoce.

Co według pani jest najważniejszym argumentem przemawiającym za tym, by w wyborach prezydenckich oddać głos na Karola Nawrockiego?

Mój mąż kocha Polskę. Jest w stanie pracować dla niej nieustannie. To coś, czego nie da się nauczyć na potrzeby kampanii.

eprasa.pl 9f5052c56e

Fot. Nawrocki2025/x.com

Nadchodzi Nawrocki 2.0

MAREK PYZA

Przed nami nowe otwarcie w kampanii Karola Nawrockiego. Konferencja programowa, zmieniona formuła spotkań, więcej konkretnych propozycji i ofensywa w internecie. Poznaliśmy plany sztabowców kandydata

Zastój, marazm, wytracony impet – w ostatnich dniach można było przeczytać sporo negatywnych uwag o kampanii obywatelskiego kandydata popieranego przez Prawo i Sprawiedliwość. A to dlatego, że jego notowania sondażowe ustabilizowały się, a jedno badanie pokazujące przewagę nad Rafałem Trzaskowskim okazało się incydentalne.

Krytyka w mediach tradycyjnych i społecznościowych dziwi sztabowców Nawrockiego, którzy przekonują, że wszystko idzie zgodnie z planem, a cele zakładane na kolejne etapy wyścigu są w pełni realizowane.

JAK CZYTAĆ SONDAŻE

– Czy ktoś jeszcze pamięta, gdzie byliśmy na początku listopada? Ile było narzekań, że kandydat nieznany, że trzeba będzie go podmienić? Dziś nikt już o tym nie myśli, bo Karol ma zbudowaną rozpoznawalność na poziomie 80 proc., ludzie go pokochali i zaangażowali się po jego stronie, złapaliśmy „hype" na tę kandydaturę. Za nami czas solidnej pracy u podstaw. A zasadnicza kampania rozegra się w kwietniu–maju. Wtedy nie będzie można popełnić błędu – mówi nam jeden ze sztabowców Nawrockiego.

Wszyscy pracujący w kampanii kandydata obywatelskiego, z którymi rozmawiamy, podkreślają, że ogólny trend jest doskonały: suma poparcia dla prawicowych kandydatów jest większa od lewicowych. – Liczyliśmy na to. Wyborcy

eprasa.pl 9f5052c56e

Trzeciej Drogi czy KO ciężko stać się wyborcą kandydata popieranego przez PiS, więc jest im potrzebny pewien czyściec [to popularne określenie w sztabie, pojawia się w wypowiedziach trzech różnych osób – przyp. red.] w postaci innego prawicowego kandydata, jak Stanowski czy Mentzen. Z naszych wewnętrznych sondaży wynika, że jedna trzecia wyborców Hołowni z 2023 r. oddaje dziś głos na Mentzena. To elektorat, który ma dosyć polityki i różne poglądy w różnych sprawach, a Mentzen stanowi dla nich wyraz sprzeciwu wobec obecnej władzy – słyszymy.

Inna osoba sięga po analogie z przeszłości: – W 2015 r. Kukiz zdobył 21 proc. głosów. W lipcu 2023 r. Konfederacja miała ok. 13 proc., a Trzecia Droga – ok. 7 proc. Zaczęło się pompowanie Hołowni i nagle uzyskali w wyborach ponad 14 proc., a Konfederacja – 7 proc. To cały czas ten sam zasób, 20–21 proc. wyborców. Podobnie jest dziś: gdy Sławomir Mentzen ma 16 proc. w najkorzystniejszych dla siebie sondażach, Szymon Hołownia – 5 proc. To zbiór zamknięty. Widać, że lider Nowej Nadziei nie zyskuje kosztem Nawrockiego.

Popularna stała się ostatnio teza, że 10 proc. wyborców PiS nie rozpoznaje Nawrockiego, ale jego zaplecze podkreśla, że to normalne, a w badaniach widać, iż również Trzaskowski nie cieszy się pełnym poparciem elektoratu PO, zaś jego wynik budują też wyborcy Lewicy.

– Ten moment trzeba wytrzymać, ustać. My stoimy. W najgorszym sondażu mamy 26 proc. Ale uwzględniając fakt, że zawsze jesteśmy niedoszacowani, pamiętając o Jakubiaku, Stanowskim i pewnej grupie naszych wyborców spoglądających dziś na Mentzena, otrzymamy mniej więcej poparcie Prawa i Sprawiedliwości. Do wyborów nasz kandydat będzie mieć stabilne trzydzieści kilka procent poparcia – przekonuje jeden z kampanijnych strategów.

CICHA KAMPANIA

A może „letnia" kampania to tylko złudzenie wywołane przez główne media oraz obóz rządzący?

– Oni by chcieli, żeby jak najmniej mówić o wyborach prezydenckich, bo to im szkodzi. Proszę zwrócić uwagę, jak Nitras liczy czas – kiedyś horyzontem był dla niego koniec kadencji Andrzeja Dudy, a dziś to dzień wyborów. Marzą, by ta kampania już się skończyła. Będą ją wieźć na jak najniższym pułapie emocji, pilnować, by się nie rozgrzała. Ich kandydat ma dotrwać, a nasz nie urosnąć. Medialny mainstream zorientował się, że nawet krytykowanie propozycji Karola powoduje jego promocję. Zaczęli go więc przemilczać – analizuje osoba z zaplecza Nawrockiego.

> Obóz rządzący będzie wieźć kampanię na jak najniższym pułapie emocji, pilnować, by się nie rozgrzała. Ich kandydat ma dotrwać, a nasz nie urosnąć. Medialny mainstream zorientował się, że nawet krytykowanie propozycji Karola powoduje jego promocję – słyszymy w sztabie Nawrockiego

Na pełną uwagę może za to liczyć Donald Tusk. Jego pomysły, nawet jeśli mają zerową wiarygodność, są drobiazgowo opisywane. Tak było z rzekomym planem inwestycyjnym, który oderwał sporą część uwagi opinii publicznej od tematów kampanii.

Drugim torem idzie sam kandydat Platformy, prowadzący operację „przebieranka". W minionym tygodniu ponownie założył pelerynę gorliwego patrioty. Ogłosił powołanie zespołu ds. bezpieczeństwa narodowego. Salę na kampanijne wydarzenie przystrojono z pompą – za wiceszefem PO wisiała wielka biało-czerwona flaga i osiem orłów w koronie. A co, właśnie osiem!

Sławomir Mentzen komentował: „Trzaskowski razem ze swoimi 12 doradcami rozmawiają o bezpieczeństwie w Warszawie. Świetnie, że możemy ich zobaczyć. To dzięki tym ludziom stolica do teraz nie ma planu ewakuacji, za to ma plan komunikacji z osobami niebinarnymi".

Pomysł sztabowców Trzaskowskiego wywołał docinki nawet wśród koalicjantów. Anna Maria Żukowska: „Panie prezydencie, miło mi słyszeć, że jednym z pańskich celów jest obrona cywilna. Czy mógłby pan zatem odpowiedzieć na pytanie, ile schronów dla ludności zbudował pan dla mieszkańców Warszawy? Dziękuję".

Mieszkańcy stolicy wiedzą najlepiej, że obrona cywilna miasta leży. Trzaskowski chwali się włączaniem co jakiś czas syren alarmowych, ale w sytuacji kryzysowej stolica błyskawicznie zostanie sparaliżowana i zapanuje w niej chaos. Powierzenie mu bezpieczeństwa całego kraju to igranie z ogniem.

Cynicznie zaplanowany piwot Trzaskowskiego na razie jest dość skuteczny. Nie traci wyborców lewicowych, którzy wiedzą, że to tylko kampanijny spektakl, a samorządowiec naprawdę myśli coś zupełnie innego.

– W długim terminie to jednak dla zastępcy Tuska ryzykowne. Niebawem nadejdzie moment naszej aktywniejszej kampanii w internecie, gdy w grupach bazowych dla Trzaskowskiego będziemy komunikowali jego kompletną niewiarygodność. Czekamy z tym jeszcze z powodów finansowych. Po prostu nie mamy pieniędzy, by utrzymywać taką samą intensywność przez całą kampanię – mówi nam osoba współplanująca internetowy odcinek prezydenckiego wyścigu.

Finanse to dziś być może najpoważniejszy problem sztabowców Nawrockiego. – Owszem, ludzie wpłacają, ale to wszystko długo trwa – pieniądze muszą wpłynąć, musimy je przyjąć, dopiero potem możemy coś zamówić. Jesteśmy więc zablokowani technicznie z wydawaniem funduszy ze zbiórki. Opóźnia się przez to nawet druk banerów – martwi się ważny polityk PiS.

eprasa.pl 9f5052c56e

NA ZAPLECZU

Tu dochodzimy do kolejnej kwestii, która zawsze może wyglądać lepiej, czyli mobilizacji wewnątrzpartyjnej. Każdy z naszych rozmówców podkreśla, że PiS już dawno nie miało tak zgranej w kampanii ekipy. – Gdy Karol dokądś jedzie, to potem słyszymy od parlamentarzystów: „To było największe spotkanie, jakie od lat robiłem, nigdy nie przyszło tylu ludzi. Zwykle znałem niemal wszystkich na spotkaniach, a teraz było mnóstwo nowych twarzy". Nawrocki wywołuje olbrzymią mobilizację.

Można powiedzieć, że przeciętny poseł bardzo się angażuje. Ale są też nieprzeciętni, a przynajmniej uważający się za takich. – Zawsze pojawi się jakaś mikrofrakcja, która będzie się chciała zbudować – u prezesa, ale i u dziennikarzy – na krytyce kampanii. Dowód z wczoraj. Mamy sztab o godz. 11.00, siedzimy, dyskutujemy, o godz. 11:45 zaczyna się konferencja prezesa, po kilkunastu minutach się kończy. Później kończymy spotkanie. Nic specjalnego się nie dzieje, wracamy do zaplanowanych obowiązków. Mijają trzy godziny i w „Newsweeku" pojawia się tekst Dominiki Długosz o tym, jak Jarosław Kaczyński rzekomo wpadł na sztab przed konferencją i obsztorcował wszystkich za kiepską kampanię. To kompletny bullshit! Nic takiego nie miało miejsca. Wiem, bo siedziałem na tym sztabie od początku do końca. Prezesa tam nie było. Ktoś to wymyślił, by dać newsa pani Długosz, licząc zapewne na jej wdzięczność w przyszłości. Wiemy, kto zrobił to tym razem i kto przy innych okazjach nadaje dziennikarzom, którzy nie zostawiają na nas suchej nitki – relacjonuje ważna osoba w sztabie Nawrockiego.

Inna opisuje zagrożone ambicje, które niekiedy pojawiają się wśród partyjnych dołów: – Jest grupka polityków, którzy obawiają się o swoją lokalną pozycję. Wraz z Karolem pojawia się bowiem jakiś ruch poparcia. Zapisują się do niego różni nowi ludzie, więc niektórzy się obawiają, że zostaną wygryzieni. Dzwonią z pretensjami, jakimiś donosami, próbują kogoś deprecjonować. Na poziomie lokalnym rozbija nam to kampanię, bo zamiast walczyć o głosy dla Karola, walczą o swoją pozycję z kimś, kto też go popiera. Mieliśmy to w Świętokrzyskiem, na Pomorzu Zachodnim. Co najciekawsze, nikomu z tych ludzi nie zależy na utrąceniu kandydatury Nawrockiego, życzą mu dobrze. Ale czasem na wierzch wyłazi prywatny interes.

> Niebawem nadejdzie moment naszej aktywniejszej kampanii w internecie, gdy w grupach bazowych dla Trzaskowskiego będziemy komunikowali jego kompletną niewiarygodność – mówi nam osoba współplanująca internetowy odcinek prezydenckiego wyścigu

– Na prawicy jest trochę rozdygotanych osób, które wszędzie widzą problemy. Wie pan, od kogo dostaliśmy największe bęcki, gdy pojawił się postulat obniżenia cen prądu? Od naszych ludzi, którzy pisali – nie dajcie się w to wciągnąć, to nie są prerogatywy prezydenta! Albo pytali, czemu obniżka o 33 proc., czy macie to policzone? Czasem aż trudno pojąć, jak politycy nie rozumieją polityki – dziwi się nasz kolejny rozmówca.

I dodaje, że tym, co w najbliższych tygodniach można poprawić, jest spójność narracji PiS z kampanią Nawrockiego. – Karolowi nie spadło za wiele, ale PiS już tak. Dlaczego? Bo przestaliśmy się zajmować życiem ludzi, cenami w sklepach, a skupiliśmy się na jakichś zamachach stanu. Druga strona się tego chwyciła, poczuła, że to dla niej korzystne. I mieliśmy kilka dni międlenia tematu prowokującego do wniosku, że partia się odkleiła od rzeczywistości. Nie możemy tak oddawać pola przeciwnikowi. Gdy nie masz wielkich mediów, w pocie czoła starasz się narzucić tematy bliskie ludziom, a TV Republika eksponuje ci zamach stanu, do którego komentowania zaprasza zabierającego poparcie Nawrockiemu Marka Jakubiaka, to ręce opadają.

– Proszę jednak nie myśleć, że my tu ciągle narzekamy – wtrąca się inny ze sztabowców przysłuchujący się naszej rozmowie. – Zawsze jest coś do poprawienia, ale na szczęście tę kampanię różni od poprzednich to, że sztab pracuje zgodnie jak nigdy, są w nim reprezentowane wszystkie frakcje obozu. Drużyna jest zintegrowana.

Padają przykłady aktywności Mateusza Morawieckiego i Przemysława Czarnka. Obaj to politycy z ambicjami, jesienią wymieniani jako potencjalni kandydaci na prezydenta. Gdy okazało się, że wystartuje ktoś inny, zakasali rękawy i ruszyli ze wsparciem. – Na jednym z pierwszych posiedzeń sztabu zapadła decyzja, że każdy, kto ma „dobrą twarz", jest popularny, dobrze mówi, ma jeździć ze swoimi spotkaniami. To bardzo dobrze zadziałało w kampanii 2020 r.

Wtedy część starszych ludzi bała się głosować ze względu na COVID-19. Uznano wówczas, że ktoś musi pojechać i z nimi rozmawiać. Wziął to na siebie Morawiecki, w parę dni objechał kilkadziesiąt powiatów i w ten sposób udało mu się zintegrować ludzi w miejscach, w których był z tym największy kłopot. Tak samo jest z Przemkiem Czarnkiem, który może trafić do bardziej prawicowego elektoratu. To są nasi „flankowcy" – jeden od spraw gospodarczych, bytowych, drugi od utwardzania przekazu, luzujący Karola od dociskania do prawej strony. Wszystko jest skoordynowane.

Skoro jest tak dobrze, to kiedy zobaczymy wymierne efekty?

UCIECZKA DO PRZODU

W kilku rozmowach powraca opowieść o pięcioetapowym planie kampanii:

eprasa.pl 9f5052c56e

budowania rozpoznawalności, pozycjonowania kandydata, wizji programowej, mobilizacji przed głosowaniem i wreszcie przejmowania tych, którzy w pierwszej turze poparli kogoś innego.

– Wchodzimy w trzeci etap, w którym pokażemy wizję Polski Karola Nawrockiego. Kluczowym punktem będzie konferencja programowa 2 marca. Może zaplanowaliśmy ją nieco za późno, ale nie chcieliśmy popełnić błędu Krzysztofa Stanowskiego z kongresem Kanału Zero w środku ferii. Para poszłaby w gwizdek. Wybraliśmy pierwszy weekend po feriach, w dodatku w najgorszym okresie dla rządu, na przednówku, kiedy ludzie są zmęczeni zimą, a każda krytyka działa podwójnie – uśmiecha się jeden ze sztabowców, który pracował przy wielu kampaniach.

Mimo skromnych środków finansowych, konferencja ma być zorganizowana „na wypasie": – Najpierw na jednej sali odbędą się cztery debaty, które zwieńczy wystąpienie Karola. To przemówienie pozwoli zmienić na parę dni narrację i utrzymać temperaturę przy naszym kandydacie. Całość będzie na wysokim poziomie, z przytupem.

Ma się też zmienić formuła spotkań z Nawrockim. Wraz ze wzrostem temperatury ma być dużo więcej wydarzeń plenerowych, a odwiedzane ośrodki będą precyzyjnie wybierane, by spotkania i postulaty kierować do konkretnych regionów oraz branż.

Padają też zapewnienia o „nowych impulsach w kampanii".

– Do tej pory wydaliśmy na internet zero złotych. Zaczęliśmy tu inwestować dopiero w ostatnich dniach. Nadrabialiśmy zaangażowaniem. Przy dużo mniejszej liczbie kont robimy w sieci dużo większe zasięgi, co pokazuje, że nasz elektorat jest niezwykle zmobilizowany do pomocy. Za chwilę zobaczymy to w pełnej krasie. Poprzez internet będziemy obchodzić media głównego nurtu i lepiej narzucać tematy. Wszystko we współpracy ze strukturami partii – kandydat będzie obecny we wszystkich powiatach, a posłowie mają odwiedzić do końca kampanii wszystkie 2,5 tys. gmin w Polsce – relacjonuje tygodnikowi „Sieci" ustalenia spotkania z przewodniczącym klubu PiS jeden z szefów okręgowych struktur partii.

Ten etap ma potrwać do Wielkanocy, później w kalendarzu zrobi się naprawdę gęsto – pomiędzy świętami a dniem wyborów jest przecież jeszcze majówka.

> Wchodzimy w trzeci etap, w którym pokażemy wizję Polski Karola Nawrockiego. Kluczowym punktem będzie konferencja programowa 2 marca – mówią sztabowcy kandydata

NA CO CZEKAJĄ POLACY?

10 ostatnich tygodni to czas precyzyjnie rozpisany przez autorów kampanii. Teraz zacznie się intensywne promowanie programu kandydata. Ma być konkretnie i wyraziście.

– Powiem wprost, na pewnym etapie przydałoby się więcej odwagi. Karol był pierwszym, który zdiagnozował, że Ukraina nie jest już w Polsce tak kochana. Wyartykułował to na początku stycznia, ale zabrakło nam konsekwencji, na tym polu można było przelicytować Trzaskowskiego. Ale ten temat jeszcze zagra na naszą korzyść – tajemniczo zapowiada jedna z najważniejszych osób w otoczeniu kandydata.

O czym jeszcze usłyszymy w kluczowym etapie kampanii? – Oczywiście że w Polakach gotuje się w sprawie nielegalnej migracji. Widzimy to i zauważamy, że obóz rządzący oraz sam Trzaskowski próbują to ignorować, odpychać. Będziemy tu mocno uderzać. Ale tematem numer jeden jest co innego – drożyzna – nasz interlokutor pokazuje ostatnie badania CBOS.

To cykliczny sondaż dotyczący kwestii koncentrujących uwagę opinii publicznej w ostatnich dwóch tygodniach. Według ostatniej fali tych analiz Polacy najczęściej rozmawiają o wysokich cenach (73 proc.), trudnościach w dostępie do lekarzy i usług medycznych (67 proc.), nadchodzących wyborach (63 proc.), braku pieniędzy i niskich pensjach (54 proc.) oraz stanie edukacji (50 proc.). Wojna na Ukrainie dopiero szóste miejsce zajmuje (47 proc.), kolejne – migranci pojawiający się w Polsce (46 proc.).

Uzupełnieniem tego badania jest ciekawe pytanie: „Jak często w ciągu ostatnich dwóch tygodni w pana/pani bliskim otoczeniu krytykowano lub chwalono rząd i opozycję". Okazuje się, że o krytyce obozu rządzącego mówi 57 proc. badanych, zaś chwaleniu – 14 proc. Negatywne opinie o działalności opozycji pojawiają się u 42 proc. badanych, zaś pozytywne – u 21 proc. To kolejny dowód na to, że polityka koalicji 13 grudnia jest olbrzymim zagrożeniem dla kampanii Rafała Trzaskowskiego.

– Dla nas ważne jest to, żeby wygrać w drugiej turze. Aby to osiągnąć, trzeba przekonać pewną sumę elektoratów. A jaki będzie wspólny mianownik dla tych, którzy dziś na nas nie głosują, ale w drugiej turze już tak? Negatywna opinia o rządzie, którą ma 60 proc. Polaków. Ludzie uważają, że zostali oszukani. Przychodzą do nas na spotkania kobiety, które głosowały na Lewicę. Skarżą się, że okłamano je w sprawie renty wdowiej, która miała być wyższa. Karol jest odpytywany z niespełnionych obietnic obecnej władzy! – z niekłamaną satysfakcją opowiada jeden z jego doradców.

I dodaje, co jest jednym z największych atutów Nawrockiego, nie do przecenienia w kampanii: – Niespożyte siły i ambicja. Jego nie interesuje zrobienie czegoś na czwórkę z plusem ani piątkę z minusem, wszystko ma być na szóstkę. Powiedział mi: „Słuchaj, jeśli zrobimy to na czwórkę plus, to nie wygramy z tymi zdrajcami ojczyzny. To musi być na szóstkę".

Bywa więc i tak, że to kandydat mobilizuje sztab, a nie odwrotnie.

eprasa.pl 9f5052c56e

Misja pokojowa czy wojenna?

Choć oficjalnie Tusk się temu sprzeciwia, to kwestia wysłania polskich wojsk na Ukrainę jest w rzeczywistości otwarta. Jednak z powodów politycznych należy sprawiać odwrotne wrażenie

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Fot. Szer. Aneta Lewoń

Nie będzie wielką przesadą stwierdzenie, że w tej chwili ważą się losy naszej części świata. Od powodzenia rozpoczynających się negocjacji pokojowych będzie bowiem zależeć bezpieczeństwo Polski. Jedną z kluczowych kwestii jest tutaj wysłanie zachodnich wojsk na Ukrainę, które miałyby wymusić na Rosji przestrzeganie zawartego porozumienia.

Z punktu widzenia Polaków najważniejsze pytanie brzmi: czy nasi żołnierze powinni wziąć udział w takiej misji wojskowej? Ta sprawa jest absolutnie fundamentalna dla naszego społeczeństwa, które w większości sprzeciwia się polskiemu zaangażowaniu militarnemu na Ukrainie. Problem w tym, że, co daje się wyczuć w wielu rozmowach, ludzie nie wierzą w dobrą wolę polityków. Panuje przekonanie, w pewnym stopniu uzasadnione, że najpoważniejsze decyzje są podejmowane ponad naszymi głowami, a obecna władza jest raczej skłonna wykonywać cudze polecenia, niż słuchać głosu własnej opinii publicznej.

Przekonanie to jest wzmocnione dotychczasową polityką reżimu Tuska, który wbrew oficjalnej propagandzie i wielu buńczucznym deklaracjom nie zdradza żadnej podmiotowości na arenie międzynarodowej i faktycznie pełni rolę usłużnego wasala wobec swoich unijnych patronów. O bezradności premiera wobec nadchodzących historycznych wyzwań świadczył żenujący filmik, który on sam wrzucił do internetu. Gdy do Polski pielgrzymowali ważni urzędnicy administracji Donalda Trumpa, premier ostentacyjnie obierał ziemniaki. To fatalny znak na przyszłość, wskazujący, że nawet w chwili próby Tusk nie jest w stanie uwolnić się od swoich fiksacji.

TUSK KRĘCI

Oficjalnie Tusk sprzeciwia się udziałowi Polski w ewentualnej operacji stabilizacyjnej na Ukrainie. „Nie przewidujemy wysłania polskich żołnierzy na teren Ukrainy" – powiedział przed wylotem na paryski szczyt 17 lutego.

Wiadomo jednak, że premier jest człowiekiem kompletnie niewiarygodnym, dlatego trzeba czytać jego słowa na odwrót. Gdy więc mówi, że nie przewiduje wysłania Polaków na Ukrainę, to zapewne

eprasa.pl 9f5052c56e

pierwsze przygotowania w tej sprawie zostały już poczynione. Takie założenie jest uprawnione nie tylko z powodu wątpliwej wiarygodności szefa rządu, lecz również dlatego, że w Polsce trwa kampania wyborcza. Kwestia wysłania polskich żołnierzy na Ukrainę jest więc w tym momencie bardzo niewygodna politycznie dla obecnej władzy. Zupełnie inaczej będzie po wyborach. Jeśli wygra je Rafał Trzaskowski, znikną wszelkie przeszkody i nasi żołnierze, jeżeli taka będzie wola unijnych partnerów Tuska, obstawią linię frontu gdzieś w Donbasie.

Na razie jednak Tusk wyczekuje, bo przecież nie wiadomo, co się jeszcze wydarzy. Być może nie będzie żadnego porozumienia pokojowego, a może zmieni się koncepcja dalszych działań. Uważny obserwator dostrzeże w wypowiedziach premiera, że choć sprzeciwia się on wysyłaniu Polaków na Ukrainę, robi to warunkowo. W cytowanej wyżej deklaracji Tusk mówi, że „nie przewiduje" wysłania żołnierzy, a nie, że „nie ma mowy" o ich wysyłaniu. Wcześniej dodawał w tym samym kontekście znaczące słówko „dziś". „Dziś w Polsce nie rozważamy wysyłania gdziekolwiek naszych oddziałów" – mówił w grudniu. A więc dziś nie wysyłamy, ale kto wie, co będzie jutro?

Z kolei w zeszłym tygodniu mówił jeszcze inaczej. „Bezpieczeństwo Polski – wyłącznie tym będę się kierował. Temu służą działania rządu i wysiłki naszej dyplomacji. W porozumieniu z naszymi sojusznikami i Ukrainą" – napisał na platformie X. Decyzje w kwestii wysłania wojsk są zatem uzależnione od tego, jak Tusk będzie oceniał bezpieczeństwo Polski oraz od tego, jakie decyzje w tej sprawie zostaną podjęte „w porozumieniu z naszymi sojusznikami i Ukrainą".

Wszystko to – zarówno wypowiedzi samego Tuska, jak i jego dotychczasowa polityka – wyraźnie wskazuje, że w rzeczywistości kwestia wysłania polskich wojsk na Ukrainę jest otwarta. Jednak z powodów politycznych należy sprawiać odwrotne wrażenie.

AGITATORZY

Hamletyzowanie Tuska to gra pod opinię publiczną, bo zapewne zrobi on to, co każą mu jego unijni „przyjaciele". Najwyżej pozwolą mu, tak jak w przypadku relokacji imigrantów, poudawać trochę przed Polakami, że się sprzeciwia i walczy.

Jednocześnie trwa bowiem stopniowe urabianie opinii publicznej przez polityków jego formacji oraz jej medialnych sprzymierzeńców. Oto Konrad Piasecki z TVN (ten, który czekał na rtęć w Szczecinie i zachwycał się „Zieloną granicą" Agnieszki Holland, nazywając film „wyrzutem sumienia") nieoczekiwanie wpadł w bojowy nastrój i płomiennie agituje za akcją wojskową na Ukrainie: „Mogliśmy wysłać żołnierzy na bojowe misje w Iraku i Afganistanie, a nie możemy na Ukrainę? Aż tak bardzo populistyczne hasła mają zawładnąć naszymi strategicznymi interesami i przysłonić historyczną odpowiedzialność? Serio mamy stać się zakładnikiem ruskiego trollingu? Ponure to" – stwierdził na platformie X.

> Unia gra z Tuskiem, za to Amerykanie preferują prezydenta Dudę. Nie da się zatem wykluczyć, że Polska jest rozgrywana i zarazem rozrywana przez różne siły na Zachodzie

W podobnym tonie wypowiada się były prezydent Bronisław Komorowski, który chętnie wysłałby polskich żołnierzy na Ukrainę („w ramach misji pokojowej, jak najbardziej") oraz jego dawny doradca Roman Kuźniar („Francuzi mieliby być, Niemcy, a Polaków miałoby nie być?").

Wszystkie te deklaracje łączy jedno – całkowity brak odpowiedzialności za słowa. Nikt bowiem jeszcze nie wie, w jakich okolicznościach i na jakich zasadach miałaby się odbyć ewentualna misja wojskowa. W tej sytuacji wyrywanie się przed szereg może świadczyć albo o zupełnej beztrosce autorów, albo o świadomym budowaniu przez nich przekazu mającego oswoić opinię publiczną z koniecznością wysłania polskich wojsk. Niewykluczone jest też, że świadczy o jednym i o drugim naraz.

BRAK JEDNOŚCI

Oczywiście w przestrzeni publicznej pojawiają się bardziej wyważone głosy. Rozważane są argumenty za udziałem Polski w misji stabilizacyjnej na Ukrainie. Wśród nich główną rolę odgrywa argument o wzmocnieniu podmiotowości naszego kraju. Mówi się, że Polska wysyłając wojska na Ukrainę, ma unikalną okazję, by wzmocnić swoją pozycję międzynarodową i udowodnić, że bez jej udziału nie ma mowy o budowaniu nowego porządku w Europie.

To argument miły prawicowemu uchu, ale zarazem bardzo słaby. Nic bowiem nie wskazuje na to, aby Polska miała w takiej misji odgrywać rolę podmiotową – bylibyśmy co najwyżej głównym dostawcą żołnierzy (czy też, nazywając rzecz brutalnie: mięsa armatniego). W tym sensie rzeczywiście jesteśmy potrzebni Zachodowi, który niechętnie szermuje bezpieczeństwem własnych wojsk.

W „Le Figaro" opublikowano niedawno spekulacje na temat hipotetycznego kształtu misji wojskowej na Ukrainie. Miałaby być dowodzona przez Brytyjczyków i Francuzów oraz składać się z co najmniej 50 tys. ludzi. Nikt nie ukrywa, że żołnierze mogą być narażeni na ryzyko wrogich działań Rosji, dlatego mówi się o konieczności zapewnienia im osłony powietrznej. W tym kontekście pojawiła się dość brawurowa propozycja, aby samoloty bojowe RAF patrolowały Ukrainę z polskich lotnisk wojskowych, co nawet bez obecności polskich wojsk na Ukrainie wplątałoby nas w potencjalny konflikt z Rosją. Jeśli przyjąć te spekulacje za prawdziwe, nie jest to więc spokojna misja pokojowa, ale potencjalnie bardzo ryzykowna akcja. Warto mieć to na uwadze, zanim podejmie się jakiekolwiek decyzje i wyśle polskich żołnierzy.

Co więcej, jak wskazują dotychczasowe oświadczenia Stanów Zjednoczonych, misja nie będzie objęta parasolem NATO, a więc do jej uczestników nie będzie miał zastosowania słynny (i nieco przeceniany) art. 5 traktatu północnoatlantyckiego. To z kolei oznacza wielką pokusę dla Rosjan,

eprasa.pl 9f5052c56e

aby przetestować w boju solidarność Zachodu.

Na to wszystko nakłada się jeszcze wielka polityka. Donald Trump prowadzi rozmowy z Rosjanami bez udziału Unii Europejskiej. To zaś powoduje, że UE odczuwa potrzebę prowadzenia własnej gry. Misja wojskowa ma być właśnie takim unijnym wkładem w pokój na Ukrainie.

Ten brak jedności Zachodu jest dość niebezpieczny, tym bardziej że towarzyszy mu podobny dualizm w Polsce. Unia gra z Tuskiem, za to Amerykanie preferują prezydenta Dudę. Nie da się zatem wykluczyć, że nasz kraj jest rozgrywany i zarazem rozrywany przez różne siły na Zachodzie. W tej sytuacji nie ma mowy nie tylko o polskiej podmiotowości, lecz także o jakiejkolwiek spójnej polityce wobec wojny na Ukrainie. Nikt u nas nie potrafi bowiem – szczególnie wskazałbym tu na Tuska – wznieść się ponad polityczne podziały w obliczu potencjalnego niebezpieczeństwa zagrażającego naszemu krajowi. Przy czym nie chodzi tylko o ryzyko rosyjskiej agresji, lecz także, a może w głównej mierze, o zapewnienie Polsce udziału w procesie, który może zdecydować o naszej przyszłości.

POD WŁADZĄ MIERNOT

Problem z misją na Ukrainie jest taki, że, jak już wspomniano, Unii brakuje siły do zorganizowania skutecznej operacji wojskowej. Władze ukraińskie szacują, że potrzeba co najmniej 100 tys. żołnierzy, tymczasem we Francji i Wielkiej Brytanii spekuluje się co najwyżej o połowie tej liczby. Kim to uzupełnić? Kto ma wystarczający potencjał demograficzny i wojskowy, aby się dorzucić? Odpowiedź jest oczywista: Polacy. Dlatego naciski z Paryża i innych stolic europejskich na Tuska będą coraz silniejsze. I nie powinno być żadnej wątpliwości, że gdy tylko wyklaruje się sytuacja związana z wyborami prezydenckimi, Tusk im ulegnie.

Inna rzecz, że możliwości presji na Polskę jest znacznie więcej. Posiadają je także Amerykanie, którzy mimo konfliktu z Unią nie mają nic przeciwko temu, aby Europejczycy wzięli sprawy wojskowe w swoje ręce. Trump uważa to wręcz za optymalny scenariusz. On dogaduje się z Rosją, a UE bierze odpowiedzialność za utrzymanie porozumienia.

Tymczasem dla Polski kluczową sprawą jest ścisły sojusz z Ameryką. Co byśmy zrobili, gdyby wysłanie polskich wojsk na Ukrainę było warunkiem dalszej obecności amerykańskich sił w naszym kraju? Czy bylibyśmy w stanie powiedzieć Amerykanom: wycofujcie się, my nie wybieramy się na Ukrainę? Wyzwania, które stoją dziś przed Polską, przekraczają możliwości większości naszej klasy politycznej. Wybraliśmy sobie różnych Tusków, Szczerbów, Zembaczyńskich, Józefaciuków, Hołownie, różne Jachiry, Sroki, Hennig-Kloski, Leszczyny i Gasiuki-Pihowicze. Teraz jesteśmy z tego powodu w niezłym bagnie.

Oczywiście prawica, gdyby nadal rządziła, też miałaby poważny problem do rozwiązania. Też byłaby naciskana i być może uległaby naciskom. Tyle że mielibyśmy przynajmniej bardziej jednolitą politykę opartą na dobrych relacjach PiS z Trumpem. Zresztą w 2022 r. prawica udowodniła, że w chwili zagrożenia, wie, co robić. Jej następcy są kompletnie bezradni w obliczu kolejnych zagrożeń.

> Unii brakuje siły do zorganizowania skutecznej operacji wojskowej. Kto ma wystarczający potencjał, aby się dorzucić? Odpowiedź jest oczywista: Polacy

Tym bardziej że wcale nie jesteśmy w beznadziejnej sytuacji negocjacyjnej. Zaangażowanie części państw europejskich w ewentualną misję wojskową na Ukrainie oznacza bowiem osłabienie wschodniej flanki NATO (przecież skądś trzeba wziąć te wojska). Polska mogłaby np. zaproponować zluzowanie przez kontyngenty zachodnie baz w państwach bałtyckich i przerzucenie naszych wojsk tam zamiast na Ukrainę. Wbrew pozorom jest to misja równie ważna, ponieważ w przypadku zamrożenia konfliktu na Ukrainie Rosjanie mogliby przesunąć swoje oddziały właśnie w pobliże wschodniej granicy NATO. Zadania Polaków byłyby więc podobne, ale nie musieliby oni przekraczać granic NATO.

Inna rzecz, że choćby z powodów historycznych wchodzenie Polaków na Ukrainę jest bardzo niewskazane i natychmiast zostałoby wykorzystane przez rosyjską propagandę, od lat straszącą Ukraińców „polskimi apetytami terytorialnymi".

ZERO WIARYGODNOŚCI

Pewne jest jedno. Ten spośród polskich polityków, który podejmie decyzję o udziale naszego kraju w misji wojskowej na Ukrainie, będzie musiał się zmierzyć z poważnym sprzeciwem społecznym. Dlatego dziś nikt oficjalnie nie zdradza takich zamiarów. Ani Tusk, ani Hołownia (który jeszcze niedawno chciał wgniatać Putina w ziemię), ani Trzaskowski. Taki scenariusz odrzuca też szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. Tyle że żaden z nich nie jest zbyt decyzyjny w tej sprawie. I może wyłączywszy strachliwego „tygryska", żaden z nich nie przejmuje się własnymi słowami. Dziś mówią jedno, jutro drugie.

Wszyscy zdają sobie jednak sprawę z tego, że bezpieczeństwo Polski pozostaje absolutnie fundamentalną sprawą dla polskiego społeczeństwa, które w większości jest niechętne zaangażowaniu naszych wojsk na Ukrainie oraz obawia się konsekwencji takiego kroku.

Potwierdza to ubiegłotygodniowy sondaż pracowni Opinia24 na zlecenie Radia ZET, w którym aż 48 proc. ankietowanych uważa, że polska pomoc wojskowa dla Ukrainy zwiększa ryzyko napaści Rosji na nasz kraj (przeciwnego zdania jest 38 proc. badanych). Również we wcześniejszych badaniach Polacy dość powszechnie sprzeciwiali się wysyłaniu naszych wojsk na Ukrainę – przykładowo w sondażu IBRiS z marca ub.r. aż 75 proc. ankietowanych sprzeciwiało się takiej decyzji. Jest więc jasne, że politycy muszą brać pod uwagę te nastroje, szczególnie teraz, przed wyborami prezydenckimi. Jednak nie wiadomo, co się wydarzy później. Zwłaszcza jeśli w fotelu prezydenta zasiądzie Rafał Trzaskowski.

eprasa.pl 9f5052c56e

Rafał Trzaskowski spotkał się w Monachium z szefową unijnej dyplomacji Kają Kallas

Ucieczka w politykę zagraniczną ma ustrzec kampanię i szanse prezydenta Warszawy przed klapą

Ratowanie Trzaskowskiego

STANISŁAW JANECKI

W miarę jak notowania rządu Donalda Tuska praktycznie z każdym tygodniem są bliżej dna oraz pogarszają się wskaźniki jakości życia w Polsce, kandydat na prezydenta Rafał Trzaskowski i jego sztab coraz bardziej desperacko odrywają go od polityki wewnętrznej, głównie gospodarczej, społecznej i związanej z wymiarem sprawiedliwości. Rodzi się Trzaskowski mąż stanu, zajmujący się przede wszystkim relacjami międzynarodowymi. Te mają być zresztą największym atutem kandydata także jako prezydenta Warszawy. Ma być on postrzegany nie tyle jako ktoś oderwany od codziennych polskich spraw, ile wybrany (przeznaczony, pomazany) do wypełnienia specjalnej misji wymagającej niemal boskich właściwości i nadludzkich umiejętności. Jako reprezentant Polski wobec zagranicy Trzaskowski jest ponoć syntezą Donalda Tuska i Radosława Sikorskiego z elementami Aleksandra Kwaśniewskiego i Emmanuela Macrona.

Przemiana prezydenta Warszawy w polityka rangi co najmniej europejskiej, żeby odgrywać kluczową rolę w globalnych i europejskich procesach, jest oczywiście bajką. Ale ma ona przekonać Polaków, że Trzaskowski nie ma sobie równych na tym polu, a jego przewaga nad Karolem Nawrockim jest ogromna i nie do zredukowania. Z tego powodu szef IPN jest przedstawiany jako ktoś, kto nie posiada odpowiednich znajomości za granicą, nie potrafi tam funkcjonować ani nie rozumie wyzwań polityki zagranicznej. W istocie postawienie na sprawy zagraniczne i sprowadzenie prezydenta Warszawy do roli reprezentanta Polski na zewnątrz jest sposobem ratowania Trzaskowskiego.

Trzeba ocalić jego samego i kampanię, gdyż w kraju dzieje się źle, a on jako gospodarz stolicy i wiceprzewodniczący Platformy Obywatelskiej jest obecnie mocno utożsamiany z rządzącymi. Gdy pojawiają się kolejne fatalne dla rządu Tuska sondaże (jak ten ogłoszony 16 lutego 2025 r. wykonany przez SW Research dla „Rzeczpospolitej", gdzie 51,5 proc. badanych nie wierzy, że gabinet jest w stanie odwrócić

Fot. @trzaskowski_/x.com

eprasa.pl 9f5052c56e

negatywne tendencje gospodarcze), sztabowcy Trzaskowskiego nie widzą innego wyjścia, jak ucieczka w bezpieczne tematy i role. Chodzi o to, żeby zgubić utożsamienie z rządem Tuska albo je zatrzeć, skoro kandydat będzie funkcjonował w europejskim i globalnym kontekście.

Na wyborcach niewielkie wrażenie zrobiło chwalenie się Trzaskowskiego znajomością języków obcych i swoją aktywnością zagraniczną m.in. jako reprezentanta Komitetu Regionów, jest więc budowany jego wizerunek polityka, który w kwestiach międzynarodowych może odegrać większą rolę niż Tusk jako przewodniczący Rady Europejskiej.

BYLE DO MONACHIUM

Pierwszą widoczną akcją ratowania Trzaskowskiego wedle nowej koncepcji prowadzenia kampanii był jego udział w monachijskiej konferencji bezpieczeństwa. Załatwiano to *ad hoc*, żeby pokazać, jak ważnym jest on graczem. Nie było to trudne, bo organizatorami tego wydarzenia są niemieccy politycy i dyplomaci najbardziej aktywni w czasie rządów Angeli Merkel. To Christoph Heusgen, były ambasador Niemiec przy ONZ, a także wyjątkowo ważny doradca byłej kanclerz (to on popłakał się na koniec konferencji). To także Rainer Rudolph, który w urzędzie kanclerskim za czasów Merkel odpowiadał za relacje z UE. Obaj są związani z CDU, czyli partią będącą częścią tej samej rodziny politycznej co Platforma (EPP). A jej szefem był przecież Tusk. Heusgena i Rudolpha poproszono o wstawienie Trzaskowskiego do jednego z paneli, żeby mógł się popisywać jako równie ważny polityk jak ci, którzy w Monachium zabierali głos w głównych sesjach.

Jednak plan wypromowania się na uczestnictwie w konferencji monachijskiej nie bardzo się Trzaskowskiemu udał z tego powodu, że show skradł tam wiceprezydent USA J.D. Vance. A potem liczyli się ci, którzy mu odpowiadali, czyli przede wszystkim niemiecki minister obrony Boris Pistorius oraz Christoph Heusgen. Lans Trzaskowskiego w Monachium wypadł blado nawet w polskich mediach.

Słaba promocja w Monachium zmobilizowała prezydenta Warszawy. 18 lutego 2025 r. wybrał się z wizytą do Finlandii, gdzie spotkał się z prezydentem tego kraju. Załatwienie tego znowu nie było trudne, skoro Stubb to były szef Koalicji Narodowej, czyli ugrupowania należącego do Europejskiej Partii Ludowej, której szefem był Tusk. Trzaskowski zaraz się pochwalił, że „z prezydentem Finlandii Alexandrem Stubbem współpracujemy od lat". A teraz poleciał do niego, by się nauczyć, jak powinna działać obrona cywilna. Oczywiście nie zrobi tego, ale przecież gdyby powiedział, że spotka się z merem Helsinek Juhaną Mikaelem Vartiainenem, efekt byłby nędzny.

Żeby nikt nie zwątpił w wielkość Trzaskowskiego, zaraz po Helsinkach zaplanował lot do Brukseli na rozmowy z unijnymi komisarzami. Przecież tylko kandydat PO posiada plan bezpieczeństwa dla Europy. Ma on wynikać z zaprezentowanego w kraju paktu dla bezpieczeństwa, którego właściwie nikt nie zauważył. Gdy Trzaskowski zacznie bywać i spotykać się, może wyborcy uwierzą, że nie ma nic wspólnego z żałosnymi efektami rządzenia ekipy Tuska i jego własnej partii.

OLŚNIEWANIE OLŚNIONYCH

Po tym, jak zaczęły się różne rozmowy i podchody mające doprowadzić do zakończenia wojny Rosji przeciwko Ukrainie, kandydat Trzaskowski kombinuje, jak się pod to podłączyć. Nie udało się podpiąć go do inicjatywy prezydenta Emmanuela Macrona, czyli szczytu kilku przywódców państw europejskich, NATO i Komisji Europejskiej w sprawie Ukrainy. Nie dość, że zaproszenia dotyczyły konkretnych osób, to podobno premier Tusk nie chciał, żeby obecność Trzaskowskiego nawet w jego tle rodziła wątpliwości, czy premier liczy się w Europie, co jest przecież treścią jego propagandy. Dzielenie się sławą z Trzaskowskim nie wchodziło w grę.

Ale do końca polskiej prezydencji będzie jeszcze sporo wydarzeń, także tych dotyczących Ukrainy, więc przed wyborami prezydenckimi Trzaskowski ma być włączany we wszystko, co się da. Wprawdzie nie chce go lansować wicepremier i minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz, ale włączenie tego kandydata na prezydenta w wydarzenia dotyczące obronności, i to na poziomie europejskim oraz globalnym, ma zapewnić obecny sekretarz generalny NATO Mark Rutte. Ten były premier Holandii wywodzi się wprawdzie z Partii Ludowej na Rzecz Wolności i Demokracji należącej w Parlamencie Europejskim do grupy Odnówmy Europę, ale ma być skłonny pójść Trzaskowskiemu na rękę i przynajmniej się z nim spotkać, żeby umożliwić kandydatowi stosowny lans. Zresztą prezydent Warszawy może się spotykać z kimkolwiek z zagranicy i w jakiejkolwiek sprawie, a potem wiązać to z zaprowadzaniem pokoju na Ukrainie, bo do tego wystarczy wymiana kilku zdań, a potem stosowne zapewnienia. W ten sposób Trzaskowski będzie odgrywał rolę niemal zbawcy Ukrainy, a przynajmniej gracza wielkiej rangi, choćby nie miało to nic wspólnego z rzeczywistością. Wyborcy mają uwierzyć, że jest on wielki i wyjątkowy. Jeśli zostanie podpięty do różnych wydarzeń związanych z polską prezydencją w UE (potrwa do 30 czerwca 2025 r.), będzie się liczyło tylko to, że jego nazwisko pojawi się w publicznym obiegu i międzynarodowym kontekście. Nieważne, że to wszystko lipa.

Sztabowcy Trzaskowskiego zdają sobie sprawę z tego, że ratowanie ich pupila może się nie udać, bowiem wedle najnowszych sondaży Polacy za najważniejsze sprawy uważają drożyznę, pogarszanie się sytuacji materialnej rodzin, wzrost cen leków i ogólnie problemy opieki zdrowotnej, a nie abstrakcyjną wielką politykę zagraniczną. Ale światowość ma olśnić i przyćmić znacznie bardziej przyziemne sprawy. Nie ma jednak żadnych dowodów, że Polacy oczekują od Trzaskowskiego przede wszystkim odgrywania roli zbawcy świata i Europy, którym zresztą nie ma szans zostać. Na skuteczne wypełnianie funkcji zbawcy Polski też nie ma co liczyć, skoro nie sprawdził się nawet w roli zbawcy Warszawy. Ale coś trzeba robić, żeby uratować kampanię i szanse kandydata Trzaskowskiego.

Sam prezydent Warszawy i jego sztab są przekonani, że ma to sens, bo przynajmniej daje przewagę nad Karolem Nawrockim, który w kampanii Trzaskowskiego jest i będzie przedstawiany jako reprezentant zaścianka. Podobno nikt go nie zna, a o wielkich sprawach międzynarodowych nie ma on pojęcia. Nie to, co obyty w świecie Trzaskowski. Problem w tym, że niewielu nabierze się na taką narrację, właściwie tylko ci, którzy już się nabrali. No i ten cyrk coraz bardziej irytuje Tuska, który sam musi przecież udowodnić, że ktoś się z nim liczy przynajmniej w Europie, bo w USA jest *persona non grata*.

eprasa.pl 9f5052c56e

Katastrofalne skutki eksperymentu Nowackiej

Już niemal rok obowiązuje rozporządzenie MEN, na mocy którego uczniowie szkół podstawowych praktycznie nie muszą odrabiać lekcji, bo są one nieobowiązkowe i nieoceniane. Rodzice i nauczyciele pozostają zgodni: skutki tego rozporządzenia są dramatyczne

DOROTA ŁOSIEWICZ

Zgodnie z rozporządzeniem, które obowiązuje od 1 kwietnia 2024 r., w klasach I–III szkoły podstawowej nauczyciele mają nie zadawać prac domowych do wykonania przez ucznia w czasie wolnym od zajęć dydaktycznych. Wyjątek stanowią prace dotyczące usprawniania motoryki małej, czyli ćwiczeń polegających na rozwijaniu umiejętności ruchowych dłoni. W klasach IV-VIII szkoły podstawowej uczniowie nie mają obowiązku wykonywania prac domowych zadawanych w czasie wolnym od zajęć dydaktycznych. Wykonanie lub niewykonanie pracy domowej nie jest oceniane. Zdaniem Barbary Nowackiej dzięki temu rozwiązaniu uczniowie mają więcej czasu na utrwalanie wiedzy, przygotowanie się do sprawdzianów, czytanie książek, a także na realizowanie swoich pasji i odpoczynek. A jak jest naprawdę?

BEZRADNOŚĆ NAUCZYCIELI

Do MEN wpłynęła interpelacja w sprawie skutków wprowadzenia zakazu zadawania prac domowych. Jej autorzy pytali o pierwsze wyniki wprowadzenia zmian, ich konsekwencje dla nauczycieli, uczniów i ich rodziców oraz o plany na przyszłość. Jaka jest odpowiedź resortu? Ministerstwo ograniczyło się do przypomnienia treści rozporządzenia oraz poinformowało: „Ponieważ ww. zmiany funkcjonują dość krótko w praktyce szkolnej, Ministerstwo Edukacji Narodowej kieruje swoje działania przede wszystkim na wspieranie nauczycieli w organizacji procesu dydaktycznego z uwzględnieniem ww. zmiany. W tym celu Instytut Badań Edukacyjnych opracował informatory zawierające przykładowe rozwiązania i dobre praktyki przydatne w zadawaniu prac domowych zgodnie z wymogami rozporządzenia".

Zapytałam więc rodziców i nauczycieli, jak oni oceniają skutki edukacyjnego eksperymentu Barbary Nowackiej. Pedagodzy często mówią o odebraniu im autonomii i prawa do wyboru stosowanych przez nich metod dydaktycznych. Wskazują na podważenie ich kompetencji i ograniczenie możliwości realizacji celów dydaktycznych. Najczęściej wskazują jednak na skutki przepisów dla dzieci i młodzieży.

– Skutki tego rozporządzenia są dramatyczne. Dzieci i młodzież niczego nie chcą już robić, nie mają obowiązków, uważają, że wszystkiego ma ich nauczyć nauczyciel – komentuje Agnieszka Pawlik-Regulska, nauczycielka języka polskiego, prezes Stowa-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9f5052c56e

rzyszenia „Nauczyciele dla Wolności". I dodaje: – Rodzice się skarżą, bo widzą, że młodych ludzi nie da się zmobilizować do wysiłku, wielu nauczycieli przestało wymagać. Są tacy, którzy próbują omijać rozporządzenie, jak mogą. W szkołach jest teraz więcej kartkówek i sprawdzianów, bo przecież wiedzę jakoś trzeba egzekwować. A ta postawa braku pracy i wymagania od siebie przełoży się na postawę życiową. W szkołach średnich prace domowe już są, ale młodzieży ciężko będzie wrócić do nawyku ich odrabiania. Skoro przez osiem lat młody człowiek, który kształtuje swój charakter, będzie przyzwyczajony, że nie musi od siebie wymagać, bo nikt od niego nie wymaga, nie zmieni nawyków. I nagle okaże się, że młodzież dostanie mocno po głowie. W szkole średniej pojawią się wymagania, a młodzież nie będzie do tego przygotowana. Pojawią się więc depresje i inne problemy psychiczne, bo to wszystkim zafundowała swoim rozporządzeniem pani Nowacka. Może się też okazać, że w szkołach średnich nauczyciele obniżą wymagania, bo zobaczą, że niewiele da się wycisnąć z dzieciaków wychowanych na rozporządzeniu pani Nowackiej. Pewnie to nie będzie dotyczyło renomowanych szkół, gdzie dostają się olimpijczycy, ale w przeciętnych szkołach poziom się obniży – diagnozuje Pawlik-Regulska.

– Jeżeli chodzi o prace domowe, jestem za pracami nieobciążającymi ucznia, ale utrwalającymi materiał omawiany podczas lekcji. Szczególnie z matematyki i języka polskiego – słyszę od nauczycielki nauczania początkowego, która woli pozostać anonimowa. – Brak utrwalania materiału przez dzieci negatywnie wpływa na ich umiejętności, np. uczniowie, którzy nie ćwiczą czytania, mają trudności w czytaniu ze zrozumieniem. Taka sama sytuacja jest z liczeniem. Zdolni uczniowie poradzą sobie bez problemu, zaś słabsi niestety w przyszłości będą mieli jeszcze większe trudności w nauce – dodaje nauczycielka.

Te słowa potwierdzają badania, które przeprowadził Związek Nauczycielstwa Polskiego. Wynika z nich, że w przypadku uczniów z klas IV–VIII u dzieci o wysokim poziomie wiedzy i umiejętności praca domowa ma mniejsze znaczenie. W przeciwieństwie do uczniów, którzy mają gorsze wyniki i muszą pewne umiejętności utrwalać oraz powtarzać.

Ewa Szamik, nauczycielka z ponaddwudziestoletnim stażem i doświadczeniem w pracy pedagogicznej, która uczy w klasie III szkoły podstawowej, tak komentuje zmiany:– Już pod koniec ub.r. szkolnego, po kilku miesiącach obowiązywania rozporządzenia MEN, zgodnie z przewidywaniami dało się zauważyć, że poziom umiejętności dzieci nieznacznie się obniżył. W tym roku szkolnym problem się pogłębia, co dostrzegają także rodzice. Wiadomości, których uczniowie systematycznie nie utrwalają, oraz umiejętności, których nie ćwiczą, co jest szczególnie istotne w edukacji wczesnoszkolnej, nie rozwijają się, jak miało to miejsce wcześniej. Rodzice, którzy chcą we własnym zakresie pracować z dziećmi w domu, mają utrudnione zadanie, bo po pierwsze, brakuje im materiałów, czasami także umiejętności, a po drugie, jak sami przyznają, trudno im zmotywować dzieci. W efekcie uczniowie bardzo na tym tracą. Wielu sprawności i umiejętności nie da się po prostu wyćwiczyć wyłącznie podczas zajęć szkolnych.

Nauczycielka podkreśla, że zadania domowe miały również aspekt wychowawczy: – Uczyły dzieci obowiązkowości, rzetelności i systematyczności w pracy, co obecnie jest znacznie trudniej osiągnąć. Myślę, że efekty tego niefortunnego rozporządzenia będą odczuwalne dłużej i dotkliwiej, niż to się dzisiaj wydaje wielu osobom.

FRUSTRACJA RODZICÓW

Jednocześnie rodzice stracili kontrolę nad tym, czego w danym momencie uczą się ich dzieci, którą dawało sprawdzanie czy pomoc w pracach domowych. Już na kilku zebraniach, w których uczestniczyłam, rodzice zwracali się do dyrekcji szkoły z prośbą o umożliwienie nauczycielom zadawania prac domowych. Jedni się na to zgadzają, inni bezradnie rozkładają ręce. W wielu szkołach jest podobnie.

– Byłam ostatnio na zebraniu rodziców w szkole podstawowej. Wychowawczyni oficjalnie i przy dyrektorce szkoły prosiła rodziców o zgodę na to, żeby można było zadawać prace domowe z polskiego, matematyki i języka obcego. Nauczyciele mówią wprost, że dzieci przestały robić cokolwiek poza lekcjami. Nawet nie kończą w domu zadań, których nauczycielka nie zdążyła z nimi dokończyć na lekcji – relacjonuje znana prezenterka telewizyjna Agnieszka Oszczyk.

– Mam dziecko w pierwszej klasie szkoły podstawowej, prosimy panią o zadawanie prac domowych, jest współpraca i jest dobrze. Niestety w starszych klasach panie zadawać nie chcą, bo się boją. Uczniowie w większości zdają sobie sprawę z zakazu, więc nie chcą robić prac domowych, dobrzy uczniowie wolą się nie wychylać, działa psychologia tłumu. Efekt: obniżenie poziomu edukacji, więcej kartkówek, wypracowania pisane w szkole, czyli mniej czasu na zrealizowanie materiału. Dramat – komentuje mama pierwszoklasistki, pani Ania.

– Moim zdaniem jak każda skrajność i ta jest niekorzystna. Pomiędzy przeładowaniem pracami domowymi a niezadawaniem ich w ogóle jest jeszcze rozsądek, którego tu zabrakło. Niewielkie ilości potrzebnego materiału do systematycznej powtórki byłyby rozwiązaniem. A tak mamy regres intelektualny i jeszcze więcej czasu na nieszczęsne ekrany – mówi Katarzyna Wykowska, mama ósmoklasistki.

– To jest katastrofa edukacyjna. Dzieci po prostu nie będą umiały czytać i pisać – denerwuje się babcia zaprzyjaźnionego trzecioklasisty.

Co ciekawe, od czerwca 2025 r. został wydłużony egzamin ósmoklasisty. Język polski ze 120 minut do 150 minut, matematyka ze 100 minut do 125 minut, język obcy nowożytny z 90 minut do 110 minut. Oficjalnie powodem jest zmniejszenie skali praktyk ubiegania się o zaświadczenia lekarskie na podstawie których dostosowuje się warunki przeprowadzania egzaminu polegające na przedłużeniu jego czasu. A nieoficjalnie? Może ktoś w MEN się przeraził, że egzaminy ósmoklasisty obnażą pierwsze skutki edukacyjnego eksperymentu Barbary Nowackiej.

eprasa.pl 9f5052c56e

Swój do swego po swoje

MACIEJ WALASZCZYK

Ministerstwo Kultury postanowiło wyrzucić za burtę wydawców czasopism uznanych za związane z poprzednią władzą. Niech zginą bez państwowej dotacji. Rządowe wsparcie zagwarantowano tylko silnym, zaufanym i liberalnym

Ten obraz powtarza się z nieustanną regularnością. Gdy rządzi prawica, narzekają i wznoszą lamenty środowiska orbitujące wokół lewicy oraz zepchniętego ponoć na boczny tor establishmentu wydawniczego. Gdy jednak ich polityczni opiekunowie wracają do władzy, biorą odwet na grupie wydawców uznanych za „prawicowych". Choć niekoniecznie ma to cokolwiek wspólnego z prawdą.

O ile te lewicowo-liberalne to prawdziwe tłuste koty dysponujące wieloma źródłami utrzymania, wsparciem samorządów, zagranicznych fundacji, posiadających nawet pewien majątek i ugruntowaną pozycję rynkową, to po prawej stronie jest raczej skromnie albo nędznie.

Ministerialny program Czasopisma miał wspierać właśnie małe, niezależne wydawnictwa, które nie mają szans utrzymać się na rynku bez takiej pomocy. Oficjalnie chodziło o dofinansowanie czasopism kulturalnych o „istotnym znaczeniu społecznym", wspieranie „wartościowych publikacji" i co ciekawe, tworzenie warunków do „dialogu, przeciwdziałania gettoizacji oraz instrumentalizacji kultury". Jednak sądząc po liście beneficjentów, gettoizacja postępuje, a dialog zanikł. Największe pieniądze dostali najwięksi, politycznie zaufani i liberalni potentaci.

I tak 180 tys. zł na trzy lata (łącznie 540 tys. zł) dostało wydawnictwo Znak na wydawanie swojego miesięcznika w wersjach papierowej i elektronicznej. Podobnie „CzasKultury.pl" po 160 tys. zł na trzy lata (480 tys. zł) oraz Towarzystwo Więź na wydanie kwartalnika „Więź" po 143,1 tys. zł na trzy lata (429,3 tys. zł). Więź uzyskała też środki na 52 numery tygodnika internetowego „Więź co Tydzień" w wysokości niemal 140 tys. zł. Poza nimi państwowym wsparciem mogą się cieszyć pisma raczej polityczne, takie jak tygodnik internetowy „Kultura Liberalna" (160 tys. zł), który jak się okazało, dostawał też dotacje od amerykańskiego rządu, i ściśle związany z Donaldem Tuskiem „Przegląd Polityczny" (152 tys. zł), a także „Res Publica Nowa" (70 tys. zł) oraz Fundacja Liberté!, która otrzymała środki na wydawanie pisma „Liberté!" (120 tys. zł).

Te listę uzupełniają różne „zaprzyjaźnione" instytucje, m.in. znany ze wspierania środowisk LGBT+ Ośrodek Brama Grodzka – Teatr NN w Lublinie, Fundacja Nowej Kultury Bęc Zmiana, półrocznik „Ha!art" czy z pewnością mający więcej kłopotów finansowych krakowski Instytut Kultury Willa Decjus na wydanie dwóch numerów polsko-ukraińsko-niemieckiego magazynu literackiego „Radar". Instytut prowadzi stowarzyszenie, którego prezesem jest Henryk Woźniakowski, brat Róży Thun, przez lata związany z wydawnictwem Znak. Pewnym kuriozum jest 114 tys. zł wsparcia dla Bereś Media na wydawanie magazynu „Kraków i Świat". Witold Bereś to po prostu były dziennikarz „Tygodnika Powszechnego" reprezentujący klasyczny, towarzysko-polityczny „krakówek".

Ogółem wsparcie rządowe objęło 51 projektów na łączną kwotę blisko 5 mln zł. Wiele, czyli ok. 40 proc. z nich, otrzymało dotacje wyłącznie na mocy arbitralnej decyzji minister Hanny Wróblewskiej.

> Rządowe wsparcie objęło 51 projektów na kwotę blisko 5 mln zł. Wiele, czyli ok. 40 proc. z nich, otrzymało dotacje wyłącznie na mocy arbitralnej decyzji minister Hanny Wróblewskiej

BEZ WYJĄTKÓW

Rok temu i przy tej samej okazji ówczesny minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz chwalił się, że w kierowanym przez niego resorcie są pieniądze również dla dwumiesięcznika „Arcana" i kwartalnika „Kronos". Wymownie zastrzegł wtedy, że za taką decyzję może być krytykowany przez część swojego obozu politycznego. „»Kronos« to znakomite pismo filozoficzne z redaktorami, z którymi mój obóz polityczny łatwo by się nie porozumiał" – tłumaczył.

Okazuje się, że krakowski dwumiesięcznik otrzymał wówczas pieniądze na dwa lata i w tym roku może się spokojnie cieszyć państwowym wsparciem. Podobnie „Teologia Polityczna", która korzysta jeszcze ze środków przyznanych przez ministra Piotra Glińskiego.

Co jednak najważniejsze, pieniędzy w tym roku nie otrzyma już Fundacja Augusta hr. Cieszkowskiego na wydawanie wspomnianego „Kronosa", a także „Nowa Konfederacja" oraz magazyn „Nowy Obywatel". Ich redaktorzy różnie interpretują te decyzje,

eprasa.pl 9f5052c56e

choć trudno nie mieć wątpliwości, że za regulaminowymi kruczkami stoją środowiskowe i polityczne fobie. „Kronos" został pozbawiony dotacji, którą otrzymywał od 2010 r. Redaktor naczelny prof. Wawrzyniec Rymkiewicz podejrzewa jakiś błąd administracyjny. „Ministerstwo argumentuje, że »Kronos«" jest pismem naukowym, a z tego tytułu nie przysługują mu żadne środki. Tłumaczenia i fragmenty dzieł literackich pokrywaliśmy właśnie z subwencji" – mówi.

Ministerstwo obiecuje, że w kwietniu rozpisze konkurs dla czasopism naukowych, w którym będzie można wystąpić o wsparcie. „To jednak kłopotliwe i na razie będziemy starali się zrobić wszystko, co w naszej mocy, by uratować pismo, być może organizując zbiórkę na ten cel" – dodaje.

PLURALIZM ZEROWY

Co najważniejsze, zlikwidowano procedurę odwoławczą. Nikt nie może więc wykazać, że nastąpiła np. pomyłka czy niesprawiedliwość. „Nowa Konfederacja" otrzymała o 25 pkt. mniej niż rok temu, choć wciąż znajdujemy w niej wysokiej klasy analizy, eseje, komentarze najczęściej specjalistów i, co ciekawe, sytuujące się trochę ponad sporem politycznym. „Nowy Obywatel" otrzymał kilkanaście pkt. mniej, choć co rusz zaskakuje kolejnymi wydaniami, sytuując się na lewicy, ale z pewnością nie tej, z którą współrządzi Donald Tusk.

Krótko mówiąc, okazało się, że według ministerialnej komisji w ciągu minionego roku ci sami ludzie obniżyli poziom swoich wydawnictw. Bartłomiej Radziejewski, redaktor naczelny „Nowej Konfederacji", nie ma wątpliwości: „Żaden byt jakkolwiek krytyczny wobec obecnego rządu lub zabarwiony prawicowo nie może liczyć na dotacje. Pluralizm musi mieć swoje granice – zwłaszcza w rozumieniu liberałów z kręgów KO" – oświadczył, wskazując na wycięcie wszelkiej odmienności.

Remigiusz Okraska z „Nowego Obywatela" również niczemu się nie dziwi – ani przekazywaniu dużych kwot „swoim", ani przyznaniu zerowych kwot pozostałym. Zwraca uwagę na kumotersko-stronnicze ustawienie „konkursu", a także milczenie, szczególnie tych, którzy krytykowali decyzje poprzedników i uważali je za straszliwie niesprawiedliwe. „PiS rozdawał, i to o wiele bardziej pluralistycznie oraz bez tak skrajnych rozpiętości kwot niż przed 2015 r. i niż teraz".

STERUJĄC NA LEWO

Kto o tym zdecydował? Komisja, a dokładnie „zespół sterujący". To hermetyczne środowisko, którego symbolem jest nowy dyrektor Instytutu Książki Grzegorz Jankowicz, znany krytyk, tłumacz wywodzący się z redakcji „Tygodnika Powszechnego". To jemu Bartłomiej Sienkiewicz powierzył zadanie przeprowadzenia fuzji Instytutu Książki i Instytutu Literatury w nowy podmiot i usunięcie Józefa Ruszara z tej ostatniej. Poza nim w składzie zespołu znaleźli się Beata Chomątowska, również ze „stajni" „TP" specjalizująca się w opowiadaniu nt. żydowskiej Warszawy, współpracująca z „TP" i „Gazetą Wyborczą" Olga Drenda czy Cezary Łazarewicz, który w 2012 r. opublikował pełen plotek i domysłów tekst o relacji braci Kaczyńskich z ich ojcem, a ostatnio książki, w której postawił tezę, że Stanisław Pyjas nie został zamordowany przez SB. Wśród nich jest też Marek Radziwon, równocześnie sekretarz Nagrody Literackiej Nike, Piotr Śliwiński, krytyk, m.in. przewodniczący jury Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius, oraz znana w środowisku wydawców książek Beata Stasińska, także kojarzona ze środowiskiem „TP" i „GW". Jeszcze w latach 90. to m.in. za jej sprawą zostały wydane pierwsze książki Olgi Tokarczuk oraz „Gnój" Wojciecha Kuczoka.

Mimo tak fachowego składu krytyków i znawców rynku okazało się, że dotacji pozbawiono projekty zgłoszone przez środowiska zajmujące się wydawaniem autentycznych, czasem niszowych czasopism kulturalnych, literackich, teatralnych, regionalnych. Odmówiono dotacji na wydanie 13 numerów Miesięcznika Literackiego „Akant", pozbawiono środków również: „Teksty Drugie", Częstochowski Magazyn Literacki „Galeria", Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne „Pro Libris", miesięcznik „Magazyn Literacki Książki", kwartalnik „Scena", półrocznik artystyczno-kulturalny „Witkacy!", Instytut im. Jerzego Grotowskiego na wydanie sześciu numerów czasopisma teatralnego „Didaskalia", „Kronikę Wielkopolski", „Rocznik Orawski", Rocznik Ludzi Karpat „Res Carpathica", Rocznik Podlaskiego Muzeum Kultury Ludowej, czasopismo społeczno-kulturalno-literackie „Radostowa", Lwowski Biuletyn Informacyjny czy czasopismo „Semper Fidelis". Pieniędzy nie przyznano również Fundacji Szansa na czasopismo dla osób niewidomych. Wsparcia nie otrzymały też popkulturowe pisma muzyczne, m.in. magazyn „Lizard", „Pismo folkowe", a nawet wydawca miesięcznika „Teraz Rock" na publikowanie okolicznościowych wydań specjalnych miesięcznika. Co ciekawe, cofnięto także wsparcie dla Wydawnictwa Polskiej Prowincji Dominikanów wydającej miesięcznik „W drodze", co przez niektórych zostało zinterpretowane jako odwet za bliskość tego środowiska z Szymonem Hołownią i Trzecią Drogą.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 9f5052c56e

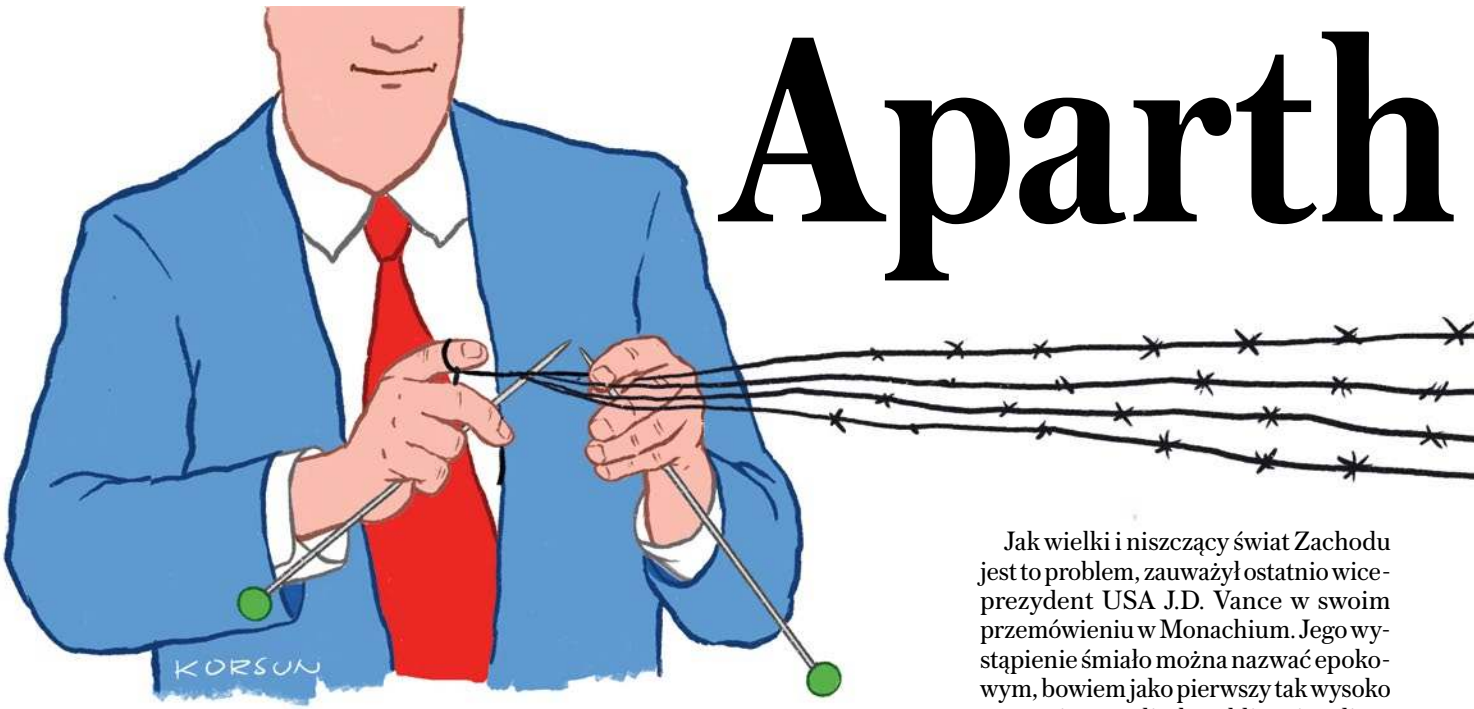

Aparth

Liberalizm to postępująca dyskryminacja coraz szerszych grup obywateli. Milionów wyborców, którzy głosują „niewłaściwie". Liberalizm w Europie oznacza apartheid dla obywateli o poglądach konserwatywnych i narodowych. Dotyczy to także Polski, bo podział obywateli na lepszych i gorszych jest stałą metodą działania Donalda Tuska

PIOTR GURSZTYN

Kilka miesięcy temu Zrzeszenie Sędziów „Sędziowie RP" opublikowało apel, w którym oprotestowało pomysły ministra sprawiedliwości dotyczące tzw. weryfikacji sędziów. Organizacja nie zgadza się na gorsze traktowanie jednej trzeciej stanu sędziowskiego określonego przez obecną władzę jako „neosędziowie". W proteście zostało użyte słowo „apartheid": „Zapowiedziany podział sędziów powołanych po roku 2017 na kolorowe grupy wg arbitralnego klucza w sposób wręcz oczywisty nawiązuje do hańbiących cywilizację łacińską praktyk apartheidu".

Apel został zauważony, słowo „apartheid" nie. Można sądzić, że nawet ludzie, którzy pozytywnie odebrali apel zrzeszenia uznali je za zwrot publicystyczny. Nawet przesadę. Ale jest to słowo, które coraz precyzyjniej oddaje praktykę rządów europejskich liberalnych elit. A szczególnie Donalda Tuska, który stara się być czempionem działań wymierzonych w tych, których liberałowie nazywają „populistami". Co w Polsce oznacza przede wszystkim PiS, a także Konfederację oraz w sumie wszystkich ludzi, którzy sprzeciwiają się liberałom i prowadzonej przez nich polityce.

Jak wielki i niszczący świat Zachodu jest to problem, zauważył ostatnio wiceprezydent USA J.D. Vance w swoim przemówieniu w Monachium. Jego wystąpienie śmiało można nazwać epokowym, bowiem jako pierwszy tak wysoko postawiony polityk publicznie zdiagnozował istotę dzisiejszej liberalnej polityki. Stąd zresztą gwałtowne protesty przeciw jego słowom, mimo że nie powiedział niczego nieprawdziwego. „Nie można zdobyć demokratycznego mandatu poprzez cenzurowanie przeciwników politycznych czy wtrącanie ich do więzienia – niezależnie od tego, czy mówimy o liderze opozycji, zwykłej chrześcijance modlącej się w domu czy dziennikarzu próbującym relacjonować wydarzenia" – mówił m.in. Vance.

GŁUPSI KONTRA MĄDRZEJSI

A to są fakty. Sami liberałowie w rzadkich momentach szczerości opisują tego typu działania jako swój plan na przezwyciężenie groźby „populizmu". Modelowym opisem zamierzeń jest niedawny artykuł niemieckiego publicysty w tygodniku „Die Zeit". Johannes Böhme najpierw zdiagnozował, że prawicowy populizm to bunt gorzej wykształconych przeciw elitom. W domyśle – głupsi i gorsi nie chcą być posłuszni tym mądrzejszym i lepszym. Przedstawił też pomysł na zwycięstwo. Odwołał się do rewolt robotniczych z XIX-wiecznej Anglii. Po ich stłumieniu i ukaraniu sprawców brytyjskie elity przeprowadziły niezbędne reformy – pisze niemiecki autor.

eprasa.pl 9f5052c56e

eid po polsku

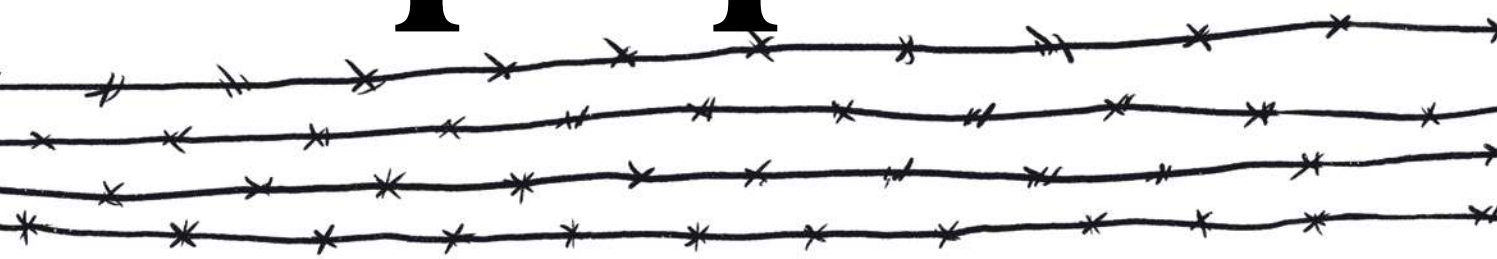

Przekaz jest jasny. Najpierw likwidacja liderów, potem reedukacja szeregowych stronników, czyli milionowych rzesz obywateli drugiej kategorii. Terror plus inżynieria społeczna. W przypadku Polski oznacza to, że w oczach władzy drugą kategorią jest przynajmniej połowa mieszkańców naszego kraju. Minimalny rachunek to elektorat PiS, czyli 30–35 proc. Polaków. Następnie wyborcy Konfederacji, równie znienawidzonej przez wyznawców liberalizmu, czyli co najmniej 10 proc. społeczeństwa. Ale nawet kilkuprocentowy elektorat PSL nie może się czuć całkowicie pewnie. Na razie chroni go fakt niezbędnego udziału ich partii w obecnej koalicji. Dopóki PiS jest silne, wyborcy PSL są względnie bezpieczni. Ale widać było wściekłe reakcje liberałów i lewicy na wstrzemięźliwość tej partii wobec zmian prawa w kwestiach obyczajowych. Ludowcy są na końcu menu progresywnego Lewiatana. W sprawie aborcji i tzw. związków partnerskich będą zatem musieli skapitulować i rozpłynąć się w liberalnej magmie albo zostaną zniszczeni.

KONIEC SWOBODNEJ DEBATY

Nie ma się co łudzić, że dotyczy to tylko ludzi aktywnych w polityce, a reszta będzie mogła dalej żyć po swojemu. Domknięcie systemu – według określenia, które wymsknęło się Grzegorzowi Schetynie – oznacza koniec swobodnej debaty. Nie będzie miejsca na zauważalną krytykę polityk takich jak migracyjna czy energetyczna. Elity liberalne narzucą swoje rozwiązania, bo nie będzie żadnej liczącej się opozycji przeciw nim.

Hasło delegalizacji PiS oznacza nie tyle to, że Jarosław Kaczyński pójdzie na bezrobocie (lub do więzienia, jak nieustannie marzą liberałowie), ile że będzie można bezkarnie podwyższyć wiek emerytalny, zakazać używania kominków albo wprowadzić dyrektywy skrajnie ograniczające używanie samochodów spalinowych, a minister Nowacka ideologicznie przemodeluje oświatę. Finalnie delegalizacja grozi także Konfederacji pod pretekstem przypadkowego incydentu z udziałem któregoś z bardziej kontrowersyjnych polityków tego ugrupowania. Po stronie liberalnej rozważania na temat zdelegalizowania PiS są toczone od lat, a pomysł popierają prominentni politycy PO – Roman Giertych, Borys Budka czy Radosław Sikorski.

ODEBRAĆ TLEN

I tu dochodzimy do zasadniczej różnicy między liberałami z PO a PiS, któremu niektórzy zarzucają, że to samo robiło za swoich rządów. Otóż nie. Owszem, wiele działań PiS jest trudne do obrony, ale system rządów i cele były całkowicie różne. Po pierwsze, nie było hasła delegalizacji PO czy w ogóle opozycji. Prawica nigdy nie dążyła do całkowitego wyeliminowania liberałów z polskiego życia politycznego. Uznała po prostu, że jest to niemożliwe. Celem było zajęcie równorzędnego miejsca w polskim życiu publicznym. Względnie szczytem ambicji było zajęcie pierwszego miejsca i zepchnięcie liberałów na drugie, ale nie ich zniszczenie.

Stałym celem Tuska i Platformy – wzorem podobnych mu ugrupowań w krajach zachodniej Europy – jest natomiast całkowite zdemolowanie prawicy. Sprowadzenie jej do marginesu grupującego życiowych rozbitków i politycznych nędzarzy. Widać to po prawdziwych priorytetach Tuska. Najpierw w związku z powagą sytuacji międzynarodowej wzywa „wszystkie siły polityczne i liderów do zawieszenia sporów na temat wojny i pokoju w Ukrainie oraz jedności wobec zagrożeń ze Wschodu". Kilkadziesiąt godzin później pisze, że „Wołodymyr Zełenski stwierdził wczoraj, że Bruksela może niektórych frustrować, ale jak nie będzie Brukseli, to przyjdzie Moskwa". Ukraiński prezydent to rozumie, a PiS i Konfederacja nie. Albo, co gorsza (i co bardziej prawdopodobne), rozumieją to bardzo dobrze.

Wracając do różnic między rzekomo antydemokratycznymi „populistami" a Platformą. PiS było pogodzone z kadencyjnością instytucji, a Platforma to zwalcza, co widać po jej stosunku do prezydenta, NBP, Trybunału Konstytucyjnego i KRRiTV. PiS czekało, aż skończą się kadencje wrogich mu członków TK. Nie nastawało na rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara, a po jego odejściu zgodziło się na objęcie tej funkcji przez „nieswojego" Marcina Wiącka. Funkcjonowało z Senatem, którego marszałkiem był oskarżany o korupcję Tomasz Grodzki. A dzisiaj największy klub parlamentarny w ogóle

eprasa.pl 9f5052c56e

nie ma swoich wicemarszałków. Ani w Sejmie, ani w Senacie, co w ogóle przestało być ważną kwestią w debacie publicznej, mimo że jest to sytuacja skrajnie zła i nienormalna.

Prawica nie odebrała subwencji budżetowych dla opozycji. A liberałowie to zrobili, korzystając z wątpliwych pretekstów. W tej kadencji immunitety są odbierane wyłącznie parlamentarzystom PiS. Politycy obozu władzy są chronieni w tym zakresie. Szczególnym kuriozum jest „lajkozbrodnia", czyli ściganie kilku eurodeputowanych PiS za polubienie w mediach społecznościowych postu ze spotem wyborczym ich partii. Według retoryki liberałów sprzed kilku lat spot był „antyimigrancki". Dzisiaj oni używają tego samego języka wobec imigrantów, ale reprezentanci prawicy nadal są ścigani według starego klucza.

Przyjmując kryteria głoszone do niedawna przez PO, w Trybunale Konstytucyjnym można mieć zastrzeżenia tylko do jednego sędziego jako tzw. dublera. Pozostali objęli swoje funkcje zgodnie ze wszystkimi niekwestionowanymi wcześniej zasadami. Rząd jednak arbitralnie ogłosił, że nie będzie uznawał TK, bo zasiadają w nim sędziowie wybrani przez poprzednią większość parlamentarną. W III RP na taki pomysł nie wpadł żaden prawicowiec, nawet najbardziej radykalny.

Wspomniana na początku „weryfikacja" kilku tysięcy sędziów to nie tylko spór wewnątrz elit. To uderzenie w wybór milionów ludzi. 8 mln oddających głosy na PiS, które ustawowo zmieniło prawo w zakresie organizacji sądownictwa. Zgodnie ze swym programem wyborczym i oczekiwaniami społeczeństwa. Oraz 11 mln głosujących na prezydenta, który to prawo podpisał, a następnie wręczał nominacje sędziowskie. To znak dla tych wyborców, że ich prawa obywatelskie są ograniczone w porównaniu z tymi, którymi cieszy się elektorat Platformy.

ZAMKNIĘTE DRZWI

Apartheid dotyka obywateli wyznania katolickiego, którzy mają być „opiłowani". Bez żadnych konsultacji z rodzicami „ministra" Nowacka zmieniła zasady nauczania religii. Kolejna różnica: za swoich rządów prawica dotowała nieprzyjazne jej środowiska kulturalne i biznesowe. Oczywiście wolała wspierać „swoich", ale i tak ogromne środki płynęły do instytucji i ludzi jej wrogich, co zresztą irytowało wielu wyborców PiS. Dziś zasadą jest to, że nikt ze środowisk prawicowych, konserwatywnych czy katolickich nie ma szans na analogiczne traktowanie, jak to miało miejsce za poprzedniej kadencji.

Za rządów „reżimu" PiS drzwi były otwarte dla wszystkich mediów. Dziś oficjalnie obowiązuje zakaz wstępu dla ekip telewizji wPolsce24 i Republiki.

> Celem Donalda Tuska i Platformy Obywatelskiej jest całkowite zdemolowanie prawicy. Sprowadzenie jej do marginesu grupującego życiowych rozbitków i politycznych nędzarzy

Rzecz niesłychana przed październikiem 2023 r. To kolejny element przesuwania granic. „Bo to nie są dziennikarze" – brzmi pseudoargument. To jawna stygmatyzacja i prawdopodobny wstęp do dalszych działań, których finałem może być likwidacja krytycznych mediów. Dodajmy do tego naciski na reklamodawców, aby pokazać, że to całkowicie realny scenariusz.

PRAWO TO MY

„Uderzyło mnie, gdy były europejski komisarz niedawno wystąpił w telewizji i z wyraźnym zadowoleniem mówił o tym, że w Rumunii unieważniono wybory. Ostrzegł, że jeśli sprawy nie potoczą się zgodnie z planem, dokładnie to samo może się wydarzyć w Niemczech" – mówił w Monachium wiceprezydent Vance. Wytknął, że elity liberalne uzurpują sobie prawo, aby określać, co jest demokratycznym wyborem, a co nie. Wymienił też prawdziwe przypadki ścigania ludzi za wpisy internetowe. Mówił o Niemczech i Wielkiej Brytanii, ale czy my jesteśmy daleko od tego? Przecież negatywny wpis o świeckim świętym obecnej koalicji, czyli Jerzym Owsiaku, też może się zakończyć aresztowaniem przez policję.

Charakterystyczna była reakcja Rafała Trzaskowskiego, który powiedział, że jego środowisko polityczne wsłuchuje się we wszystkie głosy. To tak jawne kłamstwo, że nie znajdzie adwokata nawet u najbardziej stronniczych prorządowych komentatorów. Reakcja Trzaskowskiego wskazuje, że słowa Vance'a mają już swoje znaczenie. Do tej pory całkowicie zasadnie niepokoiliśmy się, że w razie niekorzystnego dla obecnej władzy wyniku wyborów prezydenckich ta może je unieważnić pod byle pretekstem. Szef MSWiA Tomasz Siemoniak cieszył się z tego, co się stało w Rumunii i sugerował, że podobnie może być w Polsce. Słyszeliśmy słowa o tym, że nie ma instancji sądowej, która może potwierdzić ważność wyborów, więc władzę będzie musiał przejąć marszałek Sejmu. Projekt kuriozalnej ustawy incydentalnej cały czas jest procedowany w parlamencie. Wydaje się jednak, że obecna amerykańska administracja ostro zareaguje na ewentualne machlojki wyborcze. Z licznych wypowiedzi wiceprezydenta Vance'a wynika, że jest wrażliwy na „kreatywność" europejskiego liberalnego establishmentu.

Ujawniony skandal z wydatkami USAID pokazuje, że liberalnym elitom nieco trudniej będzie manipulować demokratycznymi procesami. Ale pokazuje też, na jak nierównych zasadach odbywa się rywalizacja polityczna w dzisiejszej Europie. Pieniądze wszystkich podatników były pompowane tylko w jednym, liberalno-lewicowym kierunku. Jeśli chodzi o Amerykę, to źródło wyschło, ale ciągle działają potężne fundacje europejskie, szczególnie niemieckie. W Europie i w Polsce nadal obowiązuje swoisty apartheid – ścisły podział na obywateli o poglądach słusznych i niesłusznych.

eprasa.pl 9f5052c56e

Tortury nie wyglądają tak jak w filmach

Rosjanie nieustannie powtarzali, że gdy już podbiją Ukrainę, kolejnym celem będzie Polska. Podczas pobytu w niewoli słyszałem to wielokrotnie. Z czasem zrozumiałem, że są bardzo imperialistyczni. Nikt, kogo spotkałem, nie sprzeciwiał się wojnie, wszyscy ją popierali

Z Shaunem Pinnerem, byłym żołnierzem brytyjskiej armii, bohaterskim obrońcą ukraińskiego Mariupola, rosyjskim więźniem, rozmawiają Jacek Łęski i Andrzej Rafał Potocki

Fot. Archiwum prywatne

Jakie się zaczęły twoje związki z Ukrainą?

Shaun Pinner: Spędziłem dziewięć lat w brytyjskim pułku Royal Anglian, potem w 24. Brygadzie Powietrznodesantowej, z którą służyłem w Bośni. Przez następne lata byłem antyterrorystą w Irlandii Północnej, brałem udział w tajnych operacjach. Kiedy odszedłem z wojska, przez 15 lat prowadziłem własny biznes, ale nie byłem szczęśliwy z tego powodu. Wspominając najlepsze chwile mojego życia, stwierdziłem, że spędziłem je w wojsku. Wtedy przyjaciel zapytał mnie, czy chciałbym pracować dla ukraińskiej Gwardii Narodowej, pomagając Ukrainie odbudować wojsko po zajęciu Krymu i Donbasu. Moja... cóż, jeśli można to nazwać przygodą, właśnie tam się rozpoczęła.

Jak wyglądały jej początki?

Przez dwa lata pracowałem z Gwardią Narodową, szkoliłem wojsko w Mariupolu, m.in. uczyłem snajperki chłopaków z pułku Azow, którzy potem dzielnie bronili się w hucie Azowstal. W 2020 r. przeszedłem do 36. Samodzielnej Brygady Piechoty Morskiej. Głównie dlatego, że potrzebowałem wizy, aby pozostać na Ukrainie. Przeszedłem całe szkolenie spadochronowe, zaliczyłem test na beret piechoty

eprasa.pl 9f5052c56e

morskiej i stopniowo awansowałem – zostałem pierwszym dowódcą sekcji, a później międzynarodowym dowódcą sekcji. Wtedy poznałem moją żonę. Kupiliśmy dom w Mariupolu. Przez kika lat było to moje miejsce. Wszystko przerwała pełnoskalowa inwazja.

Jak oceniasz przygotowanie Ukraińców do wojny, która wybuchła dokładnie trzy lata temu, 24 lutego 2022 r.?

Ukraina od samego początku była niedoceniana. Kilku Anglików współpracowało z Ukraińcami na długo przed pełnoskalową inwazją i byliśmy pewni, że Kacapom uda się solidnie dać w kość. Braliśmy udział w wielu wspólnych ćwiczeniach z NATO. Byłem przekonany, że moi ludzie są zmotywowani i dobrze wyszkoleni. Wierzyłem, że będziemy walczyć, choć wielu twierdziło, że Moskal zajmie Ukrainę w trzy dni. A jednak trzy lata później wciąż tu jesteśmy, wciąż walczymy. I zgodnie z tym, co zapowiadaliśmy, rzeczywiście daliśmy im solidnie w kość.

Jak wyglądał pierwszy kontakt z Rosjanami? Czy było coś zaskakującego, kiedy zaczęła się wojna? Jak reagowałeś ty i twoi koledzy?

Przygotowywałem się do tego, co nazywamy alarmem bojowym, miliony razy w dwóch różnych armiach. Ale tym razem robiliśmy to naprawdę. Aż w końcu nadszedł ten dzień. Zaczął się od ostrzału artyleryjskiego. Walili z morza, z moździerzy, z karabinów maszynowych i czołgów. Mieli przewagę w powietrzu. Pierwszy dzień był prawdziwym szokiem. Po prostu totalny chaos. Do dzis nie wiem, jak go przetrwaliśmy bez ani jednej ofiary, biorąc pod uwagę ilość amunicji, jaką Kacapy wystrzelili w naszą pozycję. Mieliśmy ogromne szczęście, że tego dnia wyszliśmy bez strat.

W jakich walkach brałeś udział, kiedy Moskale ruszyli? Jak wyglądały te walki?

Starcia były naprawdę intensywne. Na poczatku znajdowaliśmy się na obszarze wiejskim. Następnie przez kilka dni prowadziliśmy walki opóźniające, wycofując się w kierunku Mariupola. Cały ich atak sprowadzał się do potężnego ostrzału z artylerii GRAD (współczesne Katiusze), dronów i przewagi w powietrzu. Tak naprawdę nie chcieli podchodzić zbyt blisko. W ataku Moskale najpierw wysyłali mały zespół rozpoznawczy, może 8 ludzi, a potem wracali tą samą drogą, ale już w liczbie 20. Czekaliśmy, aż podejdą na jakieś 30 m i wtedy otwieraliśmy ogień. Po kilku dniach wracali ponownie, tym razem w 40 żołnierzy. Nie było w tym żadnej taktyki. Pod koniec oblężenia byliśmy dosłownie ściana w ścianę, zaledwie kilkanaście metrów od siebie. Czołgi wjeżdżały na teren huty, a walki przerodziły się niemal w starcia wręcz.

Ruscy najpierw dźgnęli mnie nożem w nogę, żeby uniemożliwić mi ucieczkę. Krwawiłem z rany. Potem zabrali mnie do budynku, gdzie od razu zaczęli mnie torturować. Kilka razy porazili mnie prądem przy użyciu telefonu polowego

Myślę, że twoim największym wyczynem na tej wojnie było zatrzymanie ruskiej lokomotywy, która była naładowana materiałem wybuchowym.

Byliśmy obok torów kolejowych. W kierunku naszej pozycji, która znajdowała się na podwyższeniu, powoli, może z prędkością 4–5 km/h, toczył się pociąg. Od razu wiedziałem, o co chodzi. Znajdowaliśmy się w pobliżu mostu, a Moskale mieli problemy z przełamaniem naszych linii obronnych, więc po prostu puścili w naszą stronę lokomotywę wyładowaną materiałem wybuchowym

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl 9f5052c56e

i wagony. Potem powiedziano mi, że było w niej 800 kg trotylu. Strzelaliśmy w nią, z czego się dało, ale bydlę sunęło dalej. I nagle: bum! Potężna eksplozja wyżłobiła krater o średnicy ok. 40 m. Zmiotło drzewa i całą okoliczną roślinność. Miałem ogromne szczęście, że przeżyłem – znajdowałem się może 20 m od eksplozji. Z mojego kałasznikowa dosłownie zdmuchnęło przyrządy celownicze. A potem wszystko, co wyleciało w powietrze, zaczęło spadać prosto na nas. Było 32 ciężko rannych. Kacapy planowali wejść na naszą pozycję, ale po eksplozji koniec pociągu cofnął się i ich zablokował. Spędziłem ok. 12 godzin w szpitalu z oparzeniami i problemami z prawym okiem – przez wybuch i jego błysk przez jakiś czas nie widziałem na nie.

Jakie były główne przyczyny tego, że Ukraińcy tak dobrze się bronili? Oceniano, że w trzy dni będzie pozamiatane. Okazało się, że nie. Bronią się do dzisiaj. Jakie są ich najmocniejsze strony?

Nasze dowodzenie i kontrola były naprawdę na wysokim poziomie. Zawsze wiedzieliśmy, kiedy Moskale nadchodzili i rozpoczynali atak, znaliśmy ich liczebność. Nawet po kilku tygodniach dowodzenie pozostawało wyjątkowo skuteczne. Mimo że straciliśmy 60 proc. naszego plutonu, a prawdopodobnie także znaczną część kompanii. W dużej mierze było to zasługą wspólnych ćwiczeń, które przeprowadziliśmy z armiami NATO w ramach operacji „Sea Breeze". Myślę, że to naprawdę zmieniło podejście Ukrainy do dowodzenia. Odeszli od modelu scentralizowanego na rzecz zdecentralizowanego. Dopiero gdy próbowaliśmy wydostać się z zasadzki, co doprowadziło do naszego rozproszenia, system dowodzenia się załamał. Poza tym żadna suma pieniędzy nie jest w stanie kupić woli walki. Gdy bronisz swoich bliskich i rodzin, którzy są za tobą, walczysz jeszcze zacieklej. Przez siedem tygodni biliśmy się bez przerwy mimo przytłaczającej przewagi wroga.

Walczyłeś w hucie im. Ilicza w Mariupolu. Był to drugi kombinat metalurgiczny oprócz Azowstalu, który walczył praktycznie do ostatniego naboju. Co było najcięższe w tym wszystkim?

Cofnęliśmy się z pozycji na przedmieściach Mariupola i dotarliśmy do huty Ilicza ok. 1 marca. Byliśmy już wtedy wyczerpani, bo mieliśmy za sobą tydzień intensywnych walk. Broniliśmy się długo, ale zaczęło nam brakować amunicji i mieliśmy bardzo mało jedzenia. Próbowaliśmy motywować żołnierzy, którzy doskonale zdawali sobie sprawę z sytuacji i wiedzieli, że nie nadejdzie żadna odsiecz. W momencie ewakuacji huty nie miałem już nawet wody. Rozkaz opuszczenia zakładu przyszedł 12–13 kwietnia. Dowództwo dało nam wybór: mogliśmy się poddać albo próbować przebić się do naszych linii. Zdecydowaliśmy się na próbę ucieczki i dotarcia do swoich.

> Cały czas wisiał nade mną wyrok śmierci. Były dni, kiedy trudno mi było myśleć o czymkolwiek innym niż o egzekucji. Świadomość, że mogę zostać rozstrzelany, była przytłaczająca

Jak trafiłeś do niewoli?

Była noc, ok. godz. 3.00. Po ok. 45 min marszu od huty Ilicza zostaliśmy zaatakowani – najpierw z powietrza, potem przez artylerię, moździerzami, a na końcu bronią strzelecką. Ponieważ było ciemno, wszyscy rozdzieliliśmy się do pojazdów, którymi próbowaliśmy się ewakuować. Pluton został rozbity, a ludzie rozproszyli się na dużym obszarze. Od tego momentu walczyliśmy o przetrwanie. Wciąż miałem przy sobie cały swój ekwipunek bojowy. Kiedy nastał świt, zacząłem sobie uświadamiać, że nie znajdę mojego plutonu. Wtedy podjąłem decyzję o ucieczce i unikaniu wroga. Planowałem przedostać się do Zaporoża, które było ok. 250 km dalej. Po mniej więcej dwóch godzinach marszu poza Mariupolem zostałem schwytany przez siły tzw. Donieckiej Republiki Ludowej.

Trafiłeś do więzienia GRU w Doniecku. Jak cię tam traktowali?

Ruscy najpierw dźgnęli mnie nożem w nogę, żeby uniemożliwić mi ucieczkę. Krwawiłem z rany. Potem zabrali mnie do budynku, gdzie od razu zaczęli mnie torturować. Kilka razy porazili mnie prądem przy użyciu telefonu polowego. To przenośne urządzenie, które można również wykorzystać do zadawania wstrząsów elektrycznych, kręcąc korbką telefonu. Dodatkowo użyli paralizatora i dotkliwie pobili. Następnie przekazali mnie z powrotem siłom tzw. Donieckiej Republiki Ludowej, które zabrały mnie do miejsca o nieznanej lokalizacji. Nazywaliśmy je czarną dziurą. Tam ponownie poddano mnie torturom. Razili mnie prądem w uszy i głodzili. Przez 60 dni byłem karmiony jedynie chlebem i wodą – i to tylko wtedy, gdy w ogóle coś dostałem. Potem przeszedłem przez etap propagandowy. Rosyjskie media, takie jak „Russia Today", chciały mnie użyć jako narzędzia propagandy. Sama kacapska propagandystka Margarita Simonjan pofatygowała się do mnie z kamerzystą, ale po kwadransie dała sobie spokój. Jak widać, nie spełniłem pokładanych we mnie nadziei na „dobry" wywiad.

Żołnierze są szkoleni na wypadek schwytania i niewoli. Co z twojego treningu najbardziej ci pomogło?

W armii przeszedłem szkolenie SERE – Survival, Evasion, Resistance and Escape (przetrwanie, unikanie, opór i ucieczka). Dzięki temu miałem pewne pojęcie o oporze podczas przesłuchań i o tym, jak się zachowywać, zwłaszcza przed kamerą. Wiedziałem, jak sprawić, by wróg musiał się wysilić, by zdobyć informacje, jak opóźniać ich

eprasa.pl 9f5052c56e

Obecnie Shaun Pinner mieszka z żoną na Ukrainie. Działa w organizacji pozarządowej, która rozminowywuje kraj. Wydał książkę przetłumaczoną na język polski „Przetrwać Mariupol – wspomnienia z piekła walk i rosyjskiej niewoli". Sędziego, który skazał go na karę śmierci, wysadziła w powietrze razem z autem Służba Bezpieczeństwa Ukrainy na jednej z ulic Doniecka

Fot. Archiwum prywatne

przekazywanie. Ale przede wszystkim wiedziałem, że jeśli kiedykolwiek zostanę wymieniony i wrócę do domu, muszę zachować godność. Dlatego postawiłem sobie pewne granice, np. nie zamierzałem śpiewać rosyjskiego hymnu przed kamerą. Stawiałem opór propagandowym mediom także podczas procesu. Musiałem mieć te bariery, bo wiedziałem, że inaczej Ruscy zgodnie ze swoją kulturą skupiają się na tych, których uznają za najsłabszych. Jeśli ktoś robi wszystko, czego od niego chcą, to będą go jeszcze bardziej wykorzystywać i zmuszać do dalszych upokorzeń. Trzeba być bardzo elastycznym. Gdy jesteś w niewoli, nagle stajesz się świetnym komunikatorem – dosłownie politykiem z dnia na dzień. Musisz umieć odbijać pytania, odpowiadać tak, żeby nie dawać im powodów do dalszego drążenia. Musisz myśleć o tym, co mówisz, jeszcze zanim to powiesz. Jedną z najważniejszych rzeczy jest nadzieja – to niedoceniana emocja. Ale kiedy zostajesz całkowicie pozbawiony wszystkiego, kiedy odbierają ci człowieczeństwo i próbują cię zdehumanizować, to właśnie ona jest jedyną rzeczą, która ci zostaje. Jeśli stracisz nadzieję, znajdziesz się w naprawdę fatalnym miejscu – zarówno psychicznie, jak i fizycznie.

Byłeś zwykłym żołnierzem – może nie do końca zwykłym – ale niewątpliwie informacje, które posiadałeś, ogólnie przedawniały się po dwóch, trzech dniach. Jaki więc był cel tych miesięcznych przesłuchań i tak brutalnego traktowania?

To dobre pytanie. Podczas szkolenia nauczyłem się, że niezależnie od tego, czy powiesz prawdę, czy nie, i tak zostaniesz poddany torturom. To część fazy inicjalizacji, po niej zazwyczaj następuje klasyczna gra zły glina, dobry glina. W moim przypadku było odwrotnie – najpierw zły glina, potem dobry glina. Wiedziałem, że po torturach w końcu ktoś do mnie przyjdzie i powie: „Jestem twoim przyjacielem, mogę ci pomóc, jeśli mi powiesz, co chcę wiedzieć". Najbardziej niebezpieczny jest moment samego pojmania, ponieważ żołnierze są wtedy nieprzewidywalni. Potem następuje brutalna faza inicjalizacji, w której i tak będą cię torturować, a następnie pojawia się „dobry glina" – dokładnie jak przewidywałem. Jednak tortury nie wyglądają tak jak w filmach. Ludzie często mają błędne wyobrażenia na ten temat. Są one stosowane, ale w sposób bardziej wyrachowany i systematyczny. Stanowią sposób na zmuszenie cię do przyznania się do rzeczy, których nigdy nie zrobiłeś, i odwiedzin w miejscach, w których nigdy nie byłeś. W moim przypadku chodziło o to, bym podczas procesu powiedział: „Winny".

I w końcu „proces" przed sądem DRL.

Wtedy nie wiedziałem, że przygotowywano nas również do pokazowego procesu w Doniecku. Nie otrzymaliśmy żadnej realnej pomocy prawnej, choć oficjalnie przedstawiano to tak, jakbyśmy mieli adwokatów. To była klasyczna pokazówka i farsa. Od początku widzieliśmy, dokąd to zmierza. Wiedzieliśmy, co robią i jaki będzie tego rezultat.

Kara śmierci?

Oczywiście.

Czy w trakcie tych miesięcy niewoli dowiedziałeś się czegoś nowego o Moskalach?

Było bardzo niewiele osób, które faktycznie pomogły mi przetrwać ten koszmarny okres w niewoli. Miałem czerwonkę, zapalenie płuc, byłem w naprawdę fatalnym stanie. Ogólnie rzecz biorąc, byli tam ludzie, którym po prostu nie podobało się to, jak byliśmy traktowani. Kilku, którzy mi pomogli w najgorszych momentach, zapamiętam na zawsze, choć byli rzadkimi wyjątkami. W pierwszym więzieniu, w „czarnej dziurze", przebywałem z ludźmi, którzy zostali wybrani tylko po to, by wyrządzać krzywdę. Ich cała mentalność polegała na torturowaniu w imię „matki Rosji". Kiedy zostałem przeniesiony do więzienia w Makiejewce, sytuacja nieco się zmieniła, ale nadal siedziałem z wyrokiem śmierci. Zamiast być jeńcami wojennymi, staliśmy się zakładnikami. Rosjanie nieustannie powtarzali, że gdy już podbiją

01/0125/F

eprasa.pl 9f5052c56e

Ukrainę, kolejnym celem będzie Polska. Podczas pobytu w niewoli słyszałem to wielokrotnie. Z czasem zrozumiałem, że są bardzo imperialistyczni. Nikt, kogo spotkałem, nie sprzeciwiał się wojnie, wszyscy ją popierali. Odebrali mi dom, zabili moich przyjaciół, rozdzielili moją rodzinę, zniszczyli nasze społeczności. Szczerze mówiąc, nie mam zbyt wiele podziwu dla Rosji.

A czego dowiedziałeś się o Ukraińcach?

Cóż, sami możecie zobaczyć zdjęcia i przekonać się, jak Ukraińcy są traktowani w niewoli. Byłem głodzony. Spójrzcie na moje zdjęcia, spójrzcie na obrazy, które wychodzą na jaw. Ukraińcy wyglądają, jakby byli w obozie koncentracyjnym. Wszyscy mi opowiadali, że byli rażeni prądem w jądra. Po tym, co sam przeszedłem, nie mam powodów, by im nie wierzyć. Większość mojego batalionu wciąż jest w rękach wroga. Warunki są tam tak straszne, że niektórzy z nich nawet nie doczekają czwartego roku niewoli. Dlatego tak ważne jest, by nadal prowadzić kampanię na rzecz ich uwolnienia. Przebywałem w więzieniu również z ukraińskimi cywilami. W mojej celi był 19-letni maszynista z Mariupola. Czym on zawinił? Nie był przecież wojskowym, a mimo to został uwięziony. Był poddawany takim samym torturom i znęcano się nad nim jak nad nami. To nie dotyczyło tylko żołnierzy – Moskale torturują także cywilów.

A jak pamiętasz swój ostatnie dzień niewoli i ten moment, kiedy się dowiedziałeś, że to już koniec, że odzyskujesz wolność?

Cały czas wisiał nade mną wyrok śmierci. Były dni, kiedy trudno mi było myśleć o czymkolwiek innym niż o egzekucji. Świadomość, że mogę zostać rozstrzelany, była przytłaczająca. Myślę, że gdyby nie chęć wymiany mnie na Wiktora Medwedczuka, to by się stało. Nagle zostaliśmy wyciągnięci z więzienia i poinformowani, że czeka nas długa podróż. Od 15.00 do 10.00 następnego ranka przeżyliśmy prawdziwą jazdę przez piekło. Bili nas po drodze całą noc. Kiedy dotarliśmy do celu, miałem siniaki, blizny, krew spływała mi po twarzy. W końcu kazali nam wysiąść. Okazało się, że jesteśmy na lotnisku. Stał tam jakiś facet, wyglądał znajomo. Był podobny do Romana Abramowicza, dawnego właściciela klubu piłkarskiego Chelsea. Szczerze mówiąc, cała sytuacja wydawała się wręcz komiczna. Kiedy wszedłem na pokład samolotu, po prostu powiedziałem: „Wiesz, wyglądasz jak Roman Abramowicz". A on na to: „Cóż, jestem z tego naprawdę dumny". Byłem w szoku i zapytałem: „Co tutaj robisz?". Wtedy on i jego zespół wyjaśnili nam, jak doszło do naszej wymiany. A potem w Rijadzie, dokąd dolecieliśmy, zaczęło się prawdziwe szaleństwo – próbowaliśmy nadrobić życie, które straciliśmy w niewoli.

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA
saltus.pl

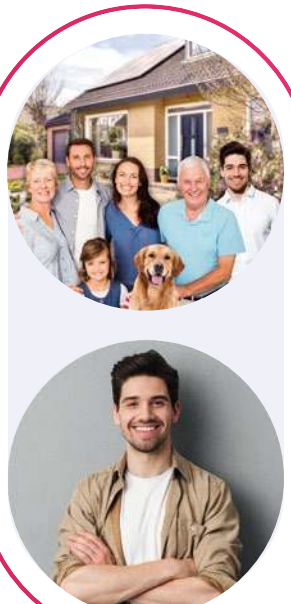

Dostępne m.in. w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

SALTUS - Mój DOM
UBEZPIECZENIE MIESZKAŃ I DOMÓW JEDNORODZINNYCH

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

ubezpiecz to, co się liczy!

TOWARZYSTWO UBEZPIECZONYCH

eprasa.pl 9f5052c56e

Zamęt atlantycki

Zaczęła się gra o nowy kształt relacji sojuszniczych. Co planuje Trump, jak odpowiada Zełenski, na co czekają Niemcy, dlaczego Francji się spieszy?

MAREK BUDZISZ

Fot. President.gov.ua

Wminiony wtorek Marco Rubio, szef Departamentu Stanu, powiedział, że zakończenie wojny na Ukrainie może „otworzyć drzwi" dla „niesamowitych możliwości" współpracy z Rosją w kwestiach, „które, miejmy nadzieję, będą dobre dla świata, a także poprawią nasze stosunki w dłuższej perspektywie".

Rozmowy z Rosjanami w Rijadzie, ustalenia o których zaczęły pisać światowe agencje, a zwłaszcza późniejsze wypowiedzi Donalda Trumpa, który nazwał Wołodymyra Zełenskiego „dyktatorem" i człowiekiem odpowiedzialnym za wybuch wojny, zdaniem wielu komentatorów wskazują na to, że w Waszyngtonie zaczęło dominować pragnienie zakończenia konfliktu za wszelką cenę. A też myślenie, że realne jest przeprowadzenie operacji „odwróconego Kissingera", czyli zwrócenia Rosji przeciw Chinom. Europejska prasa jest przekonana, że Ameryka lada chwila porzuci strategicznie nasz kontynent, a przynajmniej poświęci część jego interesów w imię mirażu współpracy z Putinem.

Nawet konserwatywny „The Wall Street Journal" w redakcyjnym komentarzu zwrócił uwagę, że Trump nie może nazywać Zełenskiego dyktatorem tylko dlatego, że w związku z wojną Ukraina nie przeprowadziła wyborów prezydenckich, które powinny się odbyć wiosną ub.r. Jeśli ta argumentacja byłaby dopuszczalna, to kim był, pytali retorycznie autorzy, Winston Churchill, bo przecież Wielka Brytania w czasie II wojny światowej również nie organizowała wyborów do parlamentu?

Obrońcy Trumpa tacy jak Victoria Coates z konserwatywnej Heritage Foundations będącej organizacją z intelektualnego zaplecza ruchu MAGA w obecnej sytuacji nie brzmią wiarygodnie. Jej zdaniem: „To nie tak, że prezydent Trump porzuca porządek powojenny, po prostu [...] musimy zaakceptować, że krajobraz geopolityczny się zmienił", a to wymusza zmiany i niestandardowe zachowania w polityce.

O CO TOCZY SIĘ GRA?

W gabinetach europejskich polityków, w mediach, a także w społeczeństwach zapanował zamęt. Obserwujemy intelektualną bezradność, nikt nie wie, co się dzieje, co dalej z relacjami atlantyckimi, wątpliwości budzą nawet kwestie tak zasadnicze, jak to, czy NATO w ogóle przetrwa obecną burzę geostrategiczną. Spróbujmy nieco rozjaśnić ten obraz, bo wydarzenia niewątpliwie przyspieszyły, wszyscy uczestnicy geostrategicznych rozgrywek są bardziej aktywni i toczy się jakaś gra. Pytanie tylko, o co.

eprasa.pl 9f5052c56e

Zacznijmy od odpowiedzi na pytanie o źródła wściekłości Trumpa, która skupiła się na Zełenskim. Oprócz kwestii historycznych, bo trzeba pamiętać, że w czasie pierwszej kadencji obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych Zełenski nie chciał współpracować z ówczesną administracją w sprawie afery Burisma Holding. Chodziło w niej o to, że Hunter Biden, zasiadając w radzie nadzorczej tej ukraińskiej firmy należącej do jednego z podejrzanych oligarchów, pobierał apanaże liczone w milionach dolarów, a jego ojciec, wówczas wiceprezydent i specjalny wysłannik Obamy na Ukrainę, chronił podejrzane interesy syna, wywierając presję na ukraińskich prokuratorów, aby ci niezbyt intensywnie badali całą sprawę. Trump chciał skłonić Zełenskiego, aby ten dostarczył mu „amunicji wyborczej", ujawniając dokumenty, co spotkało się z odmową, a pamiętający urazy obecny prezydent to zapamiętał. Ale nie mniej istotne jest i to, że w ocenie Trumpa Zełenski, mając jakieś dokumenty, był w stanie, jak się wyraził amerykański prezydent, „grać na Bidenie jak na skrzypcach".

Prócz tego furię w Białym Domu wywołał zapewne niedawny wywiad Zełenskiego dla stacji telewizyjnej NBC. Ukraiński prezydent powiedział w nim, że zdaniem służb wywiadowczych, których raporty dostaje, Rosjanie zaczęli gromadzić na Białorusi wojsko i mogą budować zgrupowanie liczące nawet 150 tys. żołnierzy, więc realny jest scenariusz, iż latem lub wczesną jesienią br. użyją tych sił przeciwko jednemu z krajów NATO. Zełenski wymienił w tym kontekście Litwę i Polskę, ale w jego wystąpieniu nie to jest najważniejsze. Prezydent przeprowadził też uproszczony rachunek sił, mówiąc, że dziś Rosja ma 220 brygad lądowych, w pełni wyposażonych i doświadczonych w bojach, Ukraina utrzymuje ich 110, a Europa, traktowana łącznie, jedynie 86. Zełenski w ogóle nie mówił o siłach amerykańskich, bo jego wystąpienie, już po konferencji w Monachium, było skierowane do Europejczyków, przede wszystkim tych z zachodniej części naszego kontynentu. Oni tak jak komentator lewicowego „Die Zeit" po wystąpieniach J.D. Vance'a, Kelloga czy Hegsetha zaczęli pisać, że „nadszedł czas, aby powiedzieć: »Żegnaj, Ameryko«" i myśleć, co w nowych czasach można zrobić samodzielnie. Przesłanie Zełenskiego jest proste – jeśli Stary Kontynent nie może liczyć na Waszyngton, to powinien postawić na Ukrainę, bo w ogólnym bilansie sił nie poradzi sobie bez jej potencjału wojskowego. W artykule opublikowanym przez Politico przed Monachium współpracę w tym obszarze otwarcie zaproponował Europie premier Szmychal. To wojskowe współdziałanie Ukrainy z Europą byłoby tym bardziej palącą sprawą, jeśli kreślony przez Zełenskiego scenariusz rosyjskiej koncentracji na Białorusi byłby prawdopodobny. Ukraiński prezydent zakwestionował w ten sposób narrację, w świetle której Rosjanie chcą pokoju – a o tym mówi Trump – a także pokazał Europie, że ta może sobie poradzić bez Ameryki, nie jest bezbronna, oczywiście jeśli postawi na Ukrainę.

> Waszyngton szuka nowych sił, na których mógłby polegać. Pete Hegseth, sekretarz obrony USA, w Warszawie, sugerował, że taką rolę regionalnego partnera Stanów Zjednoczonych mogłaby zająć Polska. Ale Warszawa może przyłączyć się do pełnej wyczekiwania polityki Berlina

To nie jedyne niekonwencjonalne posunięcie Zełenskiego w ostatnich dniach. Kiedy w Rijadzie do stołu rokowań zasiadały delegacje amerykańska i rosyjska, aby rozmawiać m.in. o zakończeniu wojny, ukraiński prezydent pojechał do Ankary i spotkał się z Erdoganem. Usłyszał od niego, że Ukraina musi odzyskać swoje terytoria, również te okupowane przez Rosjan, co jest wyraźną polemiką z tezami Trumpa, zapewnienie o gwarantowaniu przez Turcję swobody żeglugi przez Morze Czarne, a to jest warunkiem odbudowy Ukrainy, i potwierdzenie tego, co prezydent Turcji mówił już wielokrotnie, a mianowicie, iż jest gotowy zorganizować rozmowy rosyjsko-ukraińskie w sprawie zakończenia wojny.

Zełenski odwołał też swą wizytę w saudyjskim Rijadzie, co jest równoznaczne z wysłaniem do Waszyngtonu czytelnego sygnału – Ukraina nie jest skazana na Amerykę w kwestii zakończenia wojny, może ją kontynuować i pozyskać do współpracy Europejczyków, a jeśli będzie chciała się zgodzić na negocjacje z Putinem, to zawsze może skorzystać z pośrednictwa Ankary. Innymi słowy Ameryka nie jest do niczego potrzebna, Europejczycy poradzą sobie sami, a jeśli w Waszyngtonie myśli się o „odwróconym Kissingerze", to trzeba szukać innych koncesji, którymi zaspokoi się Putina.

Nie ma się więc co dziwić wściekłości Trumpa, bo jego „pomysłem" na rozegranie zarówno Rosjan, jak i wymuszenie nowego charakteru relacji sojuszniczych z państwami europejskimi był szybki i zaskakujący manewr, doprowadzenie do rozstrzygnięć, zanim partnerzy zaczną artykułować swoje obiekcje i będą mieli widoki na sukces. To dlatego Trumpowi się spieszy i jak relacjonowali dziennikarze Bloomberga, amerykańscy negocjatorzy chcieliby uzyskać porozumienie o zawieszeniu broni do Wielkanocy. Inni grają na czas.

Jurij Uszakow, doradca Putina ds. polityki zagranicznej i faktyczny lider rosyjskiej delegacji, powiedział, że po rozmowach w Rijadzie „nie ma przekonania", że strony zbliżyły się do siebie, negocjacje będą trudne i długie oraz nie ma co liczyć na szybkie porozumienie. Na czas gra również kanclerz Scholz, który w czasie niedawnego spotkania w Paryżu zorganizowanego przez prezydenta Macrona w sprawie wysłania kontyngentu europejskiego na Ukrainę nie krył swojej irytacji, że w ogóle rozmawia się na ten temat. Jego zdaniem – a trzeba pamiętać, że po niemieckich wyborach najbardziej prawdopodobną koalicją rządzącą jest

eprasa.pl 9f5052c56e

porozumienie chadecji z SPD, w którym socjaldemokraci tradycyjnie będą zapewne odpowiadać za politykę zagraniczną – na rozmowy o gwarancjach zawieszenia broni na Ukrainie przez Europejczyków „jest zdecydowanie zbyt wcześnie", bo nie ma jeszcze porozumienia w tej sprawie, nie mówiąc już o międzynarodowym mandacie dla takich sił. Niemcy nie mają zamiaru się spieszyć, bo liczą na to, że ofensywa dyplomatyczna Trumpa się załamie i wtedy oni wejdą do gry, z której zostali demonstracyjnie wyeliminowani przez Waszyngton.

Franz-Stefan Gady, szanowany austriacki ekspert wojskowy pracujący obecnie w londyńskim think tanku strategicznym IISS, powiedział w rozmowie z tygodnikiem „Der Spiegel" po powrocie z frontu, że „nie ma wrażenia", aby siły ukraińskie słabły i były na granicy rozprzężenia. Podobne diagnozy formułuje Instytut Studiów nad Wojną, którego analitycy dowodzą, że zdobycze terytorialne Rosjan w styczniu były najmniejsze od kilku miesięcy, co ich zdaniem potwierdza, że są oni też wyczerpani i potrzebują czasu na przegrupowanie, wypoczynek oraz uzupełnienie jednostek liniowych. Jeśli tak, to nie ma co się spieszyć, wojna może potrwać jeszcze kilka miesięcy i jakiekolwiek ustępstwa wobec Rosji są przedwczesne.

Tego rodzaju strategia z pewnością jest na rękę Niemcom, którzy muszą zawiązać nową powyborczą koalicję i rozegrać Unię Europejską, a dopiero potem zacząć myśleć o zakończeniu wojny na Ukrainie. W Politico takie podejście otwarcie zaproponował Wolfgang Ischinger, były niemiecki ambasador w Waszyngtonie i Paryżu oraz wieloletni szef Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa.

Tylko że to zmniejsza szanse Trumpa na odniesienie szybkiego, spektakularnego sukcesu. Co gorsza Zełenski odmówił podpisania traktatu, który przywiózł do Kijowa amerykański sekretarz skarbu. Jak wynika z ujawnionego przez brytyjski dziennik „The Telegraph" tekstu umowy, przewidywał on oddanie Amerykanom przez Ukrainę nie tylko połowy zasobów mineralnych, lecz także portów i linii komunikacyjnych. Zełenski być może rozważyłby podpisanie tego rodzaju porozumienia, jeśli amerykańskie koncerny byłyby zobowiązane do rozpoczęcia eksploatacji bogactw (a nie były) i Kijów mógłby liczyć na ochronę w postaci gwarancji bezpieczeństwa, których też nie było. W takiej sytuacji Ukraińcy odmówili, ku rozczarowaniu Bessenta i Trumpa, który powiedział, że „działają oni bardzo krótkowzrocznie", i zaproponowali współpracę państwom europejskim. W Waszyngtonie odebrano to jako nielojalność i próbę gry przeciw amerykańskim interesom, co wzmogło niechęć do Zełenskiego, a emocjonalny Trump dał temu upust.

Ukraiński prezydent okazał się zatem twardszym orzechem do zgryzienia, niż zakładano, ale zasadnicze pytanie brzmi: co dalej?

KTO SIĘ SPIESZY, A KTO NIE?

Odpowiadając na zaniepokojenie Starego Kontynentu, Trump powiedział na tej samej konferencji prasowej, na której zarzucił Zełenskiemu, iż „jest dyktatorem", że w ogóle nie rozmawia z Rosjanami o wycofaniu amerykańskich sił z Europy, „bo takiej kwestii nikt nie podnosił". To zapewnienie zostało zlekceważone w stolicach naszego kontynentu, bo zakłada się, że amerykański prezydent prowadzi grę, w której może poświęcić interesy państw europejskich. Rzeczywiście jest to możliwe, ale warto dostrzec, że za polityką wyczekiwania opowiadają się ci, których pozycja może zostać naruszona – przede wszystkim Niemcy. Macron grający na wzmocnienie pozycji Francji nie zamierza czekać, regularnie rozmawia z Trumpem i chce uzyskać pozycję „reprezentanta Europy" w relacjach z USA. Podobnie premier Wielkiej Brytanii, który nie tylko zadeklarował gotowość wysłania swych sił na Ukrainę, lecz także mówił o gotowości do pośredniczenia w relacjach z Waszyngtonem.

Nie spieszy się Ukrainie, ma jeszcze kilka miesięcy. Po tym, co już zadeklarowali Amerykanie – Ukraina nie odzyska swych terenów okupowanych przez Moskali oraz „nie jest praktycznym rozwiązaniem", aby weszła do NATO – Kijów nie ma nic do stracenia i wraz z upływem czasu może tylko poprawić swoją pozycję.

Innymi słowy, Trump prze do szybkich rozwiązań, chce odnieść spektakularny sukces. Spieszy się również tym państwom europejskim, które tak jak Francja chcą zająć lepszą pozycję w nowych realiach. Niemcy, którzy mogą tylko stracić, opowiadają się za cierpliwością i chcą najpierw przeprowadzić konsolidację Unii Europejskiej. Powołując się na rosnące niebezpieczeństwo ze strony Rosji i „nieobliczalność" Trumpa, chcą jednoczyć Europę pod własnym przywództwem. Ursula von der Layen już zapowiedziała to, czego przez długie miesiące nie można było wdrożyć, czyli wyłączenie wydatków na bezpieczeństwo z unijnych regulacji dotyczących deficytu budżetowego. Póki co nie ma mowy o „wspólnym europejskim długu" na bezpieczeństwo, bo Niemcy i Holendrzy są przeciwko, więc państwa chcące wydawać więcej będą się mogły zadłużać na własny rachunek, ale niewykluczone, że w miarę upływu czasu i nasilającej się rozgrywki o nowe miejsce w hierarchii sojuszniczej przełom nastąpi także w tej kwestii.

LAWINA ZMIAN

Rozpoczęcie negocjacji w sprawie zakończenia wojny na Ukrainie uruchomiło zatem lawinę zmian. Nie chodzi wyłącznie o politykę Stanów Zjednoczonych, lecz także relacje sojusznicze. Waszyngton szuka nowych sił, na których mógłby polegać. Pete Hegseth, sekretarz obrony USA, w Warszawie sugerował, że taką rolę regionalnego partnera Stanów Zjednoczonych mogłaby zająć Polska (wcześniej w podobnym tonie wypowiadał się w Brukseli). Aby tak się stało, musimy przekonać Amerykanów, że rozumiemy w którą stronę zmierza świat oraz że jesteśmy gotowi stawić czoło nowym wyzwaniom. Jeśli to się nie uda, bo Warszawa postanowi przyłączyć się do pełnej wyczekiwania polityki Berlina, pokazując w ten sposób, że mentalnie nie stać nas na samodzielność, wydarzenia mogą potoczyć się w złym kierunku. Amerykanie mogą zacząć myśleć, że „z Polakami niczego nie da się zbudować", a Europejczycy, o czym otwarcie powiedział w Paryżu António Costa, prezydent Rady Europejskiej, znów zaczną mówić o potrzebie rozmów z Rosją na temat „europejskiej architektury bezpieczeństwa", czyli dogadania się z Rosjanami kosztem interesów – no właśnie, zgadnijcie państwo, czyich.

eprasa.pl 9f5052c56e

Trump nie wie, jak skończyć wojnę

Problem Trumpa polega na tym, że Moskwa sprawia wrażenie bardzo pewnej siebie i raczej oczekuje na kolejne deklaracje ustępstw, niźli jest do nich gotowa

JAN ROKITA

Gdy idzie o losy wojny toczącej się na Ukrainie, to na razie niewiele się zmieniło, choć jeśli czytać gazety, można odnieść wrażenie, że zmieniło się wszystko. Rzekomo „przełomowe" spotkanie Siergieja Ławrowa i Marca Rubio w Rijadzie miało znaczenie wyłącznie na polu polityki symboli: oto po trzech latach przerwy Moskwa i Waszyngton znowu rozmawiają, czyli traktują się „normalnie".

Rozochocony rozmowami amerykański sekretarz stanu zapowiedział starania o odbudowę ambasad obu państw, których personel został zdziesiątkowany przez wzajemne odwoływanie i wydalanie dyplomatów. Przebąkiwał nawet coś o wspólnych pracach nad możliwościami przyszłych rosyjsko-amerykańskich interesów. Tyle że zaraz potem roztropnie zastrzegał, że to wszystko będzie możliwe „po pomyślnym zakończeniu wojny, akceptowalnym dla wszystkich stron, w tym Europy i Ukrainy".

A sedno sprawy tkwi przecież w tym, że na przekór wszechotaczającej propagandzie ciągle mało wskazuje na to, że Moskwa jest gotowa przerwać wojnę, którą wygrywa. Nie mówiąc już nawet o tym, by zgodnie z formułą użytą przez Rubio sposób zakończenia konfliktu faktycznie mógł być „akceptowalny dla wszystkich stron".

NIECH NATO PRZEPROSI

Ta zmiana na poziomie symboli, czyli odnowienie relacji Moskwy i Waszyngtonu, pogłębiła tylko wrażenie, iż na razie nie pojawił się żaden pomysł polityczny na zakończenie wojny. A w każdym razie, że żaden ślad istnienia takiego pomysłu nie ukazał się dotąd naszym oczom ani w Rijadzie, ani gdziekolwiek indziej. Z pozoru może to wyglądać na paradoks, ale w gruncie rzeczy wcale nim nie jest. To rzecz normalna w międzynarodowej polityce – gdy jedna strona (w tym przypadku Ameryka) inicjuje spektakularne spotkanie, budząc olbrzymie nadzieje na zakończenie wojny, a nie pokazuje przy tym politycznych narzędzi przybliżenia się do tego celu, wizerunkowy efekt takiej dyplomacji musi być kiepski. I tak jest po Rijadzie. A Moskwa swoimi deklaracjami tylko pogłębia to kiepskie wrażenie. O ile bowiem po saudyjskich negocjacjach Rubio zajął się głównie wiernopoddańczymi pochwałami pod adresem swojego szefa Trumpa, o tyle Ławrow, a potem także jego ludzie, dostali znakomitą trybunę dla podkreślenia niezmiennych celów wojny, które Moskwa zamierza osiągnąć.

Przede wszystkim Ławrow przypomniał, iż wszelkie rozszerzenie NATO na Wschód, nie tylko, gdy idzie o Ukrainę, byłoby „bezpośrednim zagrożeniem dla Rosji". A więc zgoda Moskwy na coś takiego w ogóle nie wchodzi w grę. Jeszcze bardziej wyrazista w tej materii okazała się rzeczniczka Ławrowa, która wyszczególniła, iż w wyniku rozejmu nie tylko Ukraina musi się wyrzec swoich ambicji członkostwa w zachodnim sojuszu, lecz także samo NATO musi odwołać własną deklarację z 2008 r., w której po raz pierwszy obiecano Kijowowi przyszłe członkostwo. Tamta fikcyjna obietnica to, jak pamiętamy, owoc lobbingu Lecha Kaczyńskiego na szczycie w Bukareszcie, a zapisano ją wtedy tylko dlatego, iż polskiego prezydenta poparł wówczas Bush, więc trzeba było coś powiedzieć na ten temat. Teraz moskiewskie MSZ domaga się swoistych „przeprosin" NATO za tamtą zuchwałość, która ponoć „zatruła" stosunki Moskwy z Zachodem.

Żeby nie było żadnych wątpliwości, Ławrow niemalże wykpił pomysł forsowany niedawno w Monachium przez amerykańskiego ministra obrony Hegsetha, iż rozejmowi w wojnie miałaby towarzyszyć dyslokacja znaczących sił europejskich na linii frontu, by ochronić okrojone *de facto* terytorium Ukrainy przed kolejną moskiewską inwazją. „Jakiekolwiek pojawienie się sił zbrojnych

eprasa.pl 9f5052c56e

pod inną flagą – mówił szef rosyjskiego MSZ – niczego nie zmienia i oczywiście byłoby całkowicie nie do przyjęcia". Ze swej perspektywy Ławrow mówi najzupełniej dorzecznie. Jakiż bowiem sens miałoby tak gwałtowne sprzeciwianie się rozszerzeniu NATO, jeśli zamiast traktatowego członkostwa Kijowa w zachodnim sojuszu Moskwa miałaby się zgodzić na wkroczenie na Ukrainę dużego korpusu sił zbrojnych NATO? Z punktu widzenia Kremla musi to wyglądać na jakiś absurd, a Amerykanie, sugerujący ostatnio taki projekt jako alternatywę dla własnej obecności militarnej na Ukrainie, muszą chyba uważać Moskali za naiwniaków. Kropkę nad i postawił sam rzecznik Kremla Pieskow, mówiąc wprost, iż idzie tu o wyegzekwowanie reguły „ograniczonej suwerenności" państwa ukraińskiego, czym jasno nawiązał do niegdysiejszej sławetnej tzw. doktryny Breżniewa.

Te wszystkie komunikaty ze strony Kremla nie są niczym nowym. Podobnie jak ustawicznie celowo wypuszczane z Moskwy przecieki, iż dla pryncypialnego demokraty, jakim jest rosyjski władca, pozostaje nie do pomyślenia, aby układ pokojowy zawierać z Zełenskim, a nie nowo wybranym demokratycznym prezydentem Ukrainy. Wszystko to już słyszeliśmy co najmniej 100 albo i więcej razy, tyle tylko, że od jakiegoś czasu wyglądało to na nużący moskiewski rytuał. Jednak teraz wszystko to brzmi w nowy sposób, jeśli powtarzane jest po raz kolejny po tym, jak Ameryka na całego zaangażowała się w próbę zakończenia wojny. Co prawda zarówno sam Putin, jak i Ławrow starają się osobiście przypochlebić Trumpowi, wychwalając jego dobrą wolę powrotu do „normalnych" relacji z Moskwą. Jeśli jednak przychodzi do jakichkolwiek deklaracji w sprawie dalszych losów wojny, nie kryją tego, iż Moskwie chodzi i nadal będzie chodzić o usunięcie niepodległej Ukrainy z mapy Europy.

PUTIN NIE CHCE POKOJU

Moskwa nie zamierza zadowolić się tym, co do tej pory zdobyła na Ukrainie. A formułowane przez nią warunki jasno zakładają, iż w przyszłości nikt ani nic nie może przeszkodzić Kremlowi w kolejnej inwazji na Kijów, gdyby miało się okazać, że Ukraińcy to tak twardy orzech do zgryzienia, iż po zawarciu rozejmu nie dało się obalić Zełenskiego i ustanowić jakiegoś marionetkowego reżimu. Żadnego NATO, żadnych wojsk europejskich i w ogóle żadnych realnych gwarancji niepodległości Ukrainy. Moskwa po prostu zakłada, że negocjacje z Waszyngtonem, niezależnie od tego, jak będą przebiegać, muszą mieć tylko jeden efekt: uznanie przez Amerykę, że Kreml jest jedynym panem Ukrainy i to od jego woli ma zależeć, ile suwerenności może zachować Kijów i czy w ogóle może ją w jakiejś mierze zachować mieć. A co do Europejczyków, to, jak niedawno ironizował Putin, „wkrótce wszyscy oni będą merdać ogonami wokół Trumpa".

Spotkanie sekretarza stanu USA Marca Rubio i ministra spraw zagranicznych Rosji Siergieja Ławrowa w Rijadzie

Podobno (jeśli wierzyć telewizji NBC) taką właśnie ocenę sytuacji przedstawił Trumpowi amerykański wywiad. Raport CIA, którego treść potwierdzają anonimowo dwaj kongresmeni i czterej oficerowie służb, stawia ponoć tezę, iż „Putin nie jest zainteresowany prawdziwym porozumieniem pokojowym, myśli, że wygrywa i ma nadzieję poczekać na moment, w którym uda mu się przejąć kontrolę nad całym terytorium Ukrainy".

Jeśli coś może tutaj dziwić, to tylko fakt, iż Moskwa postanowiła wykorzystać rozmowy w Rijadzie do przypomnienia o swoich pryncypiach. Wyglądało to bowiem trochę na zakamuflowaną kpinę z Trumpa. Tak jakby Moskale implicite chcieli mu powiedzieć: „To tobie, chłopie, zależy na pokoju, więc się staraj, a my chętnie poczekamy i poprowadzimy tę wojnę dalej".

DOBRA MINA DO ZŁEJ GRY

Tymczasem ekipa Trumpa jest tak bardzo skoncentrowana na szybkim sukcesie zakończenia wojny, że konsekwentnie robi dobrą minę do złej gry. Prezydent USA zdaje się ciągle wierzyć, iż komplementując Putina, chwaląc jego „pokojowe intencje" i obiecując ustępstwa Ukrainy, skłoni władcę Rosji do zatrzymania działań wojennych. W biznesie trzeba przecież

Fot. Evelyn Hockstein/Pool Photo AP/East News

eprasa.pl 9f5052c56e

oswoić przeciwnika, aby skłonić go do zrobienia kroku w tył. I w kontraście do tego Trump dość obcesowo gani Zełenskiego, gdy ten buńczucznie zapowiada, iż Kijów nie uzna żadnych amerykańsko-rosyjskich uzgodnień poczynionych bez jego udziału.

Brutalna rzeczywistość polityczna jest jednak taka, że to od Putina, a nie Zełenskiego zależy sukces lub porażka wysiłków pokojowych Trumpa. Każdy bowiem rozumie, że ani Kijów, ani Waszyngton, ani Europa nie mają mocy sprawczej, aby doprowadzić do rozejmu; taką moc posiada wyłącznie kremlowski tyran.

Zgodnie z tą logiką Waszyngton bezalternatywnie zaangażował się w układy z Moskwą, co zmusza nie tylko Ukraińców, lecz także cały świat do stawiania pytania, co naprawdę Trump jest gotów zaoferować Putinowi za tę cenę. Tu tkwi źródło zrozumiałego niepokoju, który bierze się ze świadomego i celowego trzymania świata w napięciu i niepewności, co zamierza uczynić Ameryka. Nawiasem mówiąc, na tym właśnie polega metoda nowego amerykańskiego imperializmu w wydaniu Trumpa. Metoda, do której świat będzie zmuszony się przystosować.

W dzisiejszych okolicznościach dla Ukrainy każde zawieszenie broni jest lepsze niźli kontynuacja wojennego *status quo*. Rychłe powstrzymanie agresji przez Putina jest bowiem jedyną nadzieją ocalenia niepodległości kraju. Dlatego kontynuacja polityki Bidena – „będziemy z wami tak długo, jak będzie trzeba" – zaczęła się powoli stawać dla Kijowa samobójcza.

Rzecz jasna takie jednostronne zawieszenie broni podyktowane przez Moskwę pod presją Trumpa w żadnym razie nie oznaczałoby końca wojny. Przeciwnie, zapowiadałoby, że Wschód Europy na długie lata stanie się europejskim odpowiednikiem Bliskiego Wschodu, gdzie wojna gaśnie i wznawia się, wedle logiki kolejnych krótkotrwałych rozejmów. Dla kontynentu to fatalny scenariusz, i to na długie lata: oznaczałby ustawiczne życie na skraju możliwej wojny, nie tylko na Ukrainie, lecz także w Polsce albo w państwach bałtyckich. Trump wydaje się godzić z taką perspektywą, byle tylko doraźnie przerwać wojnę na jakiś czas, dokładnie tak samo, jak jego ludziom dopiero co udało się to w Gazie. Skądinąd zresztą Steven Witkoff, biznesowy kumpel Trumpa, który odgrywać ma kluczową rolę w negocjacjach z Moskwą, to ten sam człowiek, który jest *spiritus movens* obecnego rozejmu w Gazie.

Problem Trumpa polega jednak na tym, że Moskwa sprawia wrażenie bardzo pewnej siebie i raczej oczekuje na kolejne deklaracje ustępstw, niźli sama jest do nich gotowa. Wygląda to tak, jakby Putin uważał, iż samo przerwanie przezeń działań wojennych jest dla Ameryki czymś tak cennym, że wystarczy być miłym dla Trumpa i czekać, aż kolejne amerykańskie koncesje będą spadać same niczym polityczne owoce, którym trzeba dać jeszcze chwilę, aby dojrzały. Stąd ten styl uprzejmości zmieszanej z bezczelnością, jaki po Rijadzie zaprezentowali Moskale.

> Moskwa nie zamierza zadowolić się tym, co do tej pory zdobyła na Ukrainie. A formułowane przez nią warunki jasno zakładają, iż w przyszłości nikt ani nic nie może przeszkodzić Kremlowi w kolejnej inwazji na Kijów

Rację ma senator Roger Wicker z Missisipi, szef kluczowej senackiej komisji sił zbrojnych, gdy przekonuje, iż nie ma znaczenia to, co teraz mówią politycy USA i jak nieprzyjemnie wyglądają negocjacje, bo „liczy się tylko to, jak to się wszystko skończy. Jeśli dobrze, wtedy i Trump będzie mógł odebrać należną mu zasługę". Rzecz jednak w tym, że amerykański prezydent podjął olbrzymie ryzyko, z charakterystyczną dla siebie bufonadą zapowiadając łatwe zmuszenie Putina do przerwania wojny. A na razie nic nie wskazuje na to, aby sam Trump wiedział, jak ma doprowadzić ją do końca.

eprasa.pl 9f5052c56e

Czego obawiają się Niemcy

Lider CDU Friedrich Merz obiecał Niemcom zmianę sposobu uprawiania polityki i gospodarczą odnowę. Jednak wielu z nich nie za bardzo w to wierzy i z pesymizmem patrzy w przyszłość. Panuje lęk przed utratą dobrobytu

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

W Weimarze w Turyngii naprzeciwko teatru, w którym w 1918 r. uchwalono konstytucję Niemiec, znajduje się muzeum historii Republiki Weimarskiej. „W Europie rośnie widmo – widmo populizmu" – głosi jedna z tablic na wystawie. „Wydaje się, że siły od dawna uważane za przezwyciężone powracają i zagrażają podstawom demokracji. Republika Weimarska i jej sąsiedzi znali to zjawisko aż za dobrze" – czytamy.

Z punktu widzenia mainstreamowych partii w Niemczech od CDU po Zielonych o to chodziło m.in. w niedzielnych przyspieszonych wyborach do Bundestagu ogłoszonych tuż przed Bożym Narodzeniem po rozpadzie koalicji SPD, Zielonych i FDP. O podtrzymanie zapory ogniowej wobec Alternatywy dla Niemiec (AfD), zachowanie liberalnej demokracji i konstytucyjnego porządku.

Nie to jednak najbardziej niepokoi Niemców. Kampanię wyborczą przerwały trzy brutalne ataki w ciągu dwóch miesięcy – w Magdeburgu, Aschaffenburgu i Monachium. Dwa z nich uznano za czyny terrorystyczne. W ich wyniku zginęło 10 osób, a ponad 340 zostało rannych. Sprawcami byli nielegalni migranci, którym w dwóch przypadkach udało się uniknąć deportacji.

Ale nielegalna migracja to nie jedyny problem Niemiec. Od 2022 r. ich gospodarka nie rośnie, za to w ub.r. liczba bezrobotnych zwiększyła się do 1,5 mln osób, rosną także koszty życia. Poziom przestępczości jest najwyższy od 15 lat. Niemcy są sfrustrowani, zaniepokojeni i coraz biedniejsi, a także coraz mniej ufają politykom.

PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI

Dobrą ilustracją tej frustracji oraz pesymizmu Niemców była debata przedwyborcza w ARD, podczas której czterej kandydaci na kanclerza: lider CDU Friedrich Merz, walczący o reelekcję kanclerz z SPD Olaf Scholz, minister gospodarki z Zielonych Robert Habeck oraz współprzewodnicząca AfD Alice Weidel odpowiadali na pytania z sali. Merz pytany przez doradcę biznesowego z Hamburga o to, jakich obciążeń Niemcy powinni oczekiwać po wyborach, oświadczył, że „trzeba będzie zakasać rękawy" i „ciężko pracować". Pytającego to nie zadowoliło. „A konkrety?" – dopytywał. Zapytany przez nauczycielkę, która w szkole zawodowej kształci przyszły personel medyczny, jak sprawić, by na koniec miesiąca pozostało więcej pieniędzy w portfelu, lider chadeków obiecał jej „więcej netto z brutto". Nie wyglądała na przekonaną. Gdy młoda kobieta zapytała o to, jak zamknięcie granic miałoby zapobiec zamachom

Fot. Karsten Leineke/Shutterstock.com

eprasa.pl 9f5052c56e

dokonywanym przez ewidentnie psychicznie chorych migrantów, którzy już od lat znajdują się w Niemczech, nieco poirytowany Merz odparł, że „przecież nie ma możliwości zaoferowania kilkuset tysiącom ludzi, którzy są kandydatami do wydalenia z kraju, pomocy psychiatrycznej lub psychologicznej".

Scholz został zaś skonfrontowany z pytaniem pielęgniarki z Bochum, która po 45 latach pracy i już na emeryturze dalej musi pracować, bo nie starcza jej na życie. Kobieta miała łzy w oczach i mówiła o „niesprawiedliwości". W odpowiedzi kanclerz pogratulował jej długiego stażu pracy. Na ustach części osób w sali pojawiły się szydercze uśmiechy. Temat emerytur i lęku przed zubożeniem okazał się zresztą dominujący. Zarówno Scholz, jak i Habeck musieli się mierzyć z pretensjami z sali na temat „bieda emerytur" i „głodowych stawek" wobec coraz większej inflacji. Byli także pytani o deindustrializację, rosnące czynsze, opłaty za energię oraz brak mieszkań socjalnych. Scholz przyznał, że wielu młodych ludzi opuszcza szkołę przed jej zakończeniem, a Habeck nie potrafił dodać otuchy panu, który spodziewa się, że jego emerytura wyniesie mizerne 1,1 tys. euro miesięcznie, z czego ponad połowę będzie musiał przeznaczyć na czynsz.

Weidel też nie miała lekko. Ksiądz opiekujący się osobami starszymi zapytał, czy swoimi pomysłami na surowszą politykę azylową AfD nie odstraszy tych, którzy mogliby potencjalnie pracować w domach opieki, kto wobec tego będzie tolerowany i będzie mógł zostać w Niemczech, a kto nie. W odpowiedzi kandydatka Weidel nieco się zmieszała, co pokazało, jak złożony jest to problem, a ostre wyborcze hasła na to nie pomogą.

Jak czytamy na łamach magazynu „Cicero", bilans odchodzącego rządu Scholza jest „katastrofalny". Ceny energii są na rekordowym poziomie, miejsca pracy w przemyśle w zastraszającym tempie znikają, a „drobna biurokracja paraliżuje obecnie cały kraj".

MIGRANCI I BRAK RĄK DO PRACY

Tuż przed rozpoczęciem kampanii wyborczej przeprowadzono w Niemczech wiele badań nad lękami obywateli. W tym zrealizowanym przez Fundację na rzecz Zagadnień Przyszłości w Hamburgu 63 proc. ankietowanych obawiała się nadchodzącego 2025 r. „Globalne wyzwania, od wojen i zmian klimatycznych po niepewność gospodarczą, ciągłą inflację i problemy migracyjne, kształtują nastroje obywateli Niemiec" – podkreślił dyrektor naukowy fundacji prof. Ulrich Reinhardt. Badanie instytutu Ipsos dało podobny wynik. Tu 64 proc. ankietowanych z niepewnością patrzyło w przyszłość. Według socjologa Horsta Opaschowskiego „poziom pozytywnych ocen kryzysowych kompetencji niemieckich polityków jest najniższy od lat". Wynosi on 23 proc. wobec 65 proc. w 2020 r., czyli pod koniec ostatniej kadencji Angeli Merkel. Był to ostatni okres w niemieckiej polityce postrzegany przez obywateli jako stabilny. „Strach przed utratą dobrobytu w połączeniu z rosnącymi kosztami życia kształtuje sposób postrzegania rzeczywistości przez wielu Niemców" – zaznaczył Opaschowski w rozmowie z „Tagesspiegel".

Niemców przepytało – po raz 33 – także centrum informacyjne głównych ubezpieczycieli. Z tego sondażu wyszło, że martwią ich trzy rzeczy: migranci (56 proc.), wysokie koszty życia (57 proc.) oraz rosnące czynsze i opłaty za mieszkania (52 proc.).

Natomiast obawy przedsiębiorców wyglądają zgoła inaczej. Wszystkie partie obiecują wsparcie dla gospodarki – od zmniejszenia cen energii elektrycznej po obniżki podatków. Jednak z ankiety Instytutu Badań nad Średnimi Przedsiębiorstwami (IfM) wynika, że same firmy dostrzegają największe wyzwania w innych obszarach. Podobnie jak w ub.r. zdecydowanie najczęściej wymienianym jest niedobór wykwalifikowanych pracowników, a raczej przyspieszający go kryzys demograficzny w Niemczech. To jedno z największych wyzwań dla ponad 45 proc. firm, mimo słabnącej gospodarki i rosnącej liczby bezrobotnych.

Gdy kandydaci na kanclerza najsilniejszych w sondażach partii debatowali, związki zawodowe rozpoczęły strajki ostrzegawcze w służbie publicznej, domagając się podwyżek płac. Według nich także w sektorze publicznym, od przedszkoli po wywóz śmieci, brakuje pracowników, a liczba nadgodzin zgromadzona przez tych, którzy pracują w sektorze, przekroczyła 70 mln.

RYCHŁY UPADEK?

Publiczna telewizja MDR także chciała wiedzieć, co Niemcy czują w obliczu wyborów do Bundestagu, a przede wszystkim czego oczekują od potencjalnego nowego rządu. Głosy były raczej pesymistyczne. 72-letnia Sieglinde z okręgu Wittenberg nie widziała nikogo, kto mógłby pomóc popchnąć Niemcy do przodu. „Nasi politycy myślą przede wszystkim o sobie i swoich interesach" – zaznaczyła. Zdaniem 53-letniej Stefanie z Lipska demokracja w Niemczech jest zagrożona, bo „polityka ostatnich kilku lat była zupełnie oddalona od obywateli, a Niemcy tracą pozycję w świecie". Wielu respondentów wyraziło także nadzieję na fundamentalną zmianę. 67-letni Matthias z Magdeburga liczy na „nowe twarze", a 47-letni Heiko z okręgu Greiz życzy sobie, by „wyborcy doprowadzili w końcu do zmian".

Patrząc jednak na przedwyborcze debaty kandydatów – szczególnie pojedynki Scholza i Merza, ugrzecznione, uprzejme i poza kilkoma szczegółami zgodne, na horyzoncie rysuje się wielka koalicja. A jak taki alians CDU i SPD miałby dokonać zasadniczej zmiany polityki, pozostaje kwestią całkowicie otwartą. Jak pisze „Die Welt" zarówno Scholz, jak i Merz reprezentują *status quo*. Scholz prezentuje nostalgiczną ideę Republiki Berlińskiej bez perspektyw na poprawę sytuacji gospodarczej. Jest kanclerzem upadku gospodarczego i zniszczenia bogactwa. „Merz wydaje się bardziej nowoczesny, nie tylko dlatego, że płaci komórką w supermarkecie, lecz także lepiej zna innowacyjną, wolną gospodarkę – ale nadal strategicznie pozostaje bardzo łagodny" – czytamy.

O reformach mówiło się w tej kampanii niewiele lub bardzo cicho. Z ich realizacją w koalicji i tak będzie ciężko, szczególnie jeśli dołączą do niej Zieloni. Zdaniem gazety może to być dla Niemiec oznaka rychłego upadku, wliczając w to możliwe dojście do władzy AfD w 2029 r.

eprasa.pl 9f5052c56e

Co zrobi Franciszek?

Według wielu poważny kryzys zdrowotny papieża jasno wskazuje, że w Watykanie wkrótce nastąpią nieuchronne zmiany

GORAN ANDRIJANIĆ

Na każdej mszy katolicy modlą się za swojego papieża, ale w zeszłym tygodniu modlitwa w intencji biskupa Rzymu była wyjątkowo mocna.

Jak powszechnie wiadomo, papież Franciszek już od dwóch tygodni przebywa w rzymskiej poliklinice Gemelli, gdzie znalazł się z powodu zapalenia oskrzeli. W pierwszych komunikatach przekazanych dziennikarzom Watykan podał, że wstępne badania potwierdziły infekcję dróg oddechowych. Franciszek miał też lekki stan gorączkowy.

Sytuacja zdrowotna papieża „z końca świata" stała się jeszcze bardziej skomplikowana w połowie minionego tygodnia, a Watykan wydał oświadczenie, które brzmiało dramatycznie. „Kontrolna tomografia komputerowa klatki piersiowej, którą Ojciec Święty przeszedł dziś po południu, zalecona przez watykańską ekipę medyczną i zespół medyczny polikliniki Gemelli, wykazała początek obustronnego zapalenia płuc, które wymagało dalszej terapii farmakologicznej" – czytamy w oświadczeniu.

Media, zwłaszcza włoskie, zaczęły pisać o poważnej sytuacji, w której znalazł się papież oraz o narastającym zaniepokojeniu wśród jego najbliższego otoczenia. Pochodzące z tego środowiska informacje potwierdziły obawy o zły stan Franciszka, wskazywano też, że jako młody mężczyzna został pozbawiony części płuca z powodu infekcji.

88-letni papież od pewnego czasu zmaga się z problemami zdrowotnymi i coraz częściej pojawia się publicznie na wózku inwalidzkim z powodu bólu kolan. Tym razem kryzys wydaje się dużo poważniejszy.

„Franciszek cierpi z powodu silnego bólu i prywatnie wyraził pewność, że tym razem nie uda mu się przeżyć. Lekarze z Gemelli zmartwili papieża, uniemożliwiając mu wygłoszenie regularnego porannego kazania Anioł Pański. Teraz działa wyłącznie tak jak zalecają mu lekarze" – czytamy na portalu Politico.

W chwili pisania tego tekstu (czwartek 20 lutego wieczorem) stan zdrowia papieża nieco się poprawił. Mimo to jego kryzys zdrowotny zdaje się jasno wska-

Fot. Alessia Pierdomenico/Shutterstock.com

eprasa.pl 9f5052c56e

zywać, że w Watykanie wkrótce nastąpią nieuchronne zmiany. Oczywiście nikt nie chce wysyłać Franciszka na emeryturę, jest jednak oczywiste, że ze względów zdrowotnych papież nie może przewodzić Kościołowi katolickiemu albo przynajmniej jest to dla niego bardzo trudne.

ŚLADEM BENEDYKTA

W lutym 2013 r. papież Benedykt XVI zaszokował Kościół i cały świat, rezygnując z urzędu papieskiego. Potem coraz bardziej rozpowszechniony stał się pogląd, że biskup Rzymu nie musi być związany swoimi obowiązkami, jeśli jest chory. Sposób, w jaki św. Jan Paweł II spędził ostatnie lata swego pontyfikatu, znosząc cierpienie, ale nie rezygnując ze swej posługi, stał się czymś, co nie musiało być wzorem dla innych papieży. Można dyskutować, czy to dobrze, czy źle, ale to fakt.

W jednym z licznych wywiadów Franciszek przyznał, że natychmiast po wyborze na papieża napisał list rezygnacyjny i wręczył go ówczesnemu sekretarzowi stanu Stolicy Apostolskiej kard. Tarcisio Bertonowi. W ten sposób dał jasno do zrozumienia, że skłania się ku scenariuszowi, w którym byłby skłonny przekazać obowiązki komuś innemu ze względu na stan zdrowia.

W takiej sytuacji jest jasne, że jego nowy kryzys zdrowotny może doprowadzić do nieformalnego rozpoczęcia przegrupowania sił w Watykanie przed nowym konklawe.

– Rzeczywiście, pierwszy raz podczas pontyfikatu Franciszka mamy do czynienia z rzeczywistym niepokojem dziennikarzy zajmujących się sprawami Stolicy Apostolskiej o zdrowie papieża – mówi nam Tomasz Rowiński, historyk idei, publicysta i redaktor. – Franciszek jest chory praktycznie od początku lutego, podczas spotkań publicznych kasłał i był osłabiony. Wiemy, że nie chciał iść do szpitala i dopiero, gdy lekarze powiedzieli mu, że jeśli nie zgodzi się na poważniejsze leczenie, to po prostu umrze, zdecydował się na hospitalizację. Statystycznie rzecz biorąc, Franciszek jest o trzy lata starszy niż Benedykt XVI, kiedy zrezygnował, i cztery lata starszy niż Jan Paweł II, kiedy umarł, ale nadal pięć lat młodszy niż Leon XIII w chwili śmierci i siedem lat młodszy niż Benedykt XVI w dniu odejścia.

W POSZUKIWANIU NASTĘPCY

Oczywiście media zaczęły dyskutować, kto mógłby zostać nowym papieżem. Czy wybór padnie na dostojnika, który będzie kontynuował główne idee pontyfikatu Franciszka – łagodne, ale bardzo daleko idące reformy Kościoła? A może będzie to ktoś ze strony „konserwatywnej", kto zablokuje te reformy, które kwestionuje znaczna część Kościoła?

Gdy mowa o kandydatach wywodzących się z tej „liberalnej" strony, wspomina się o takich osobach, jak filipiński kard. Luis Antonio Tagle czy luksemburski kard. Jean-Claude Hollerich. Po stronie „konserwatywnej" mówiło się np. o amerykańskim kard. Raymondzie Leo Burke'u i gwinejskim kard. Robercie Sarahu.

> 88-letni papież od pewnego czasu zmaga się z problemami zdrowotnymi i coraz częściej pojawia się publicznie na wózku inwalidzkim z powodu bólu kolan. Tym razem kryzys wydaje się dużo poważniejszy

Istnieje trzecia opcja, w której nowym papieżem zostanie jeden z „umiarkowanych" prałatów, ponieważ większość kardynałów w kolegium kardynalskim wybierającym papieża odczuwa głęboki, coraz bardziej niebezpieczny podział w Kościele, który trzeba zakończyć. Wybór takiego kandydata, człowieka środka, wydaje się najbardziej prawdopodobny. Wśród wymienionych nazwisk z tej opcji znajdują się obecny sekretarz stanu Pietro Parolin i abp Budapesztu Péter Erdő.

– Gdyby spojrzeć z szerokiej perspektywy na przyszłe konklawe, należałoby powiedzieć, że następca Franciszka będzie do niego podobny – twierdzi Rowiński i kontynuuje: – Kolegium kardynalskie jest obecnie zdominowane przez ludzi wyselekcjonowanych przez papieża.

Według katolickiego publicysty możliwy wybór „umiarkowanego" papieża może być ryzykowny. – Może być wybrany papież o nastawieniu *stricte* relatywistycznym, pragmatycznym, który nie będzie zważał na sprzeczności doktrynalne, które realnie funkcjonują pomiędzy różnymi środowiskami katolickimi. Podzieleni katolicy szukaliby względów u nowego biskupa Rzymu i poparcia dla swojej perspektywy. Z pewnością jednak przyłożona do kościelnej praktyki zasada „dziel i rządź" musiałaby być skuteczna politycznie tylko na pewien czas, a docelowo okazałaby się zgubna. Jej efektem byłaby zapewne anglikanizacja Kościoła katolickiego, czyli jego fragmentaryzacja na odrzucające się wzajemnie „kongregacje". W skrajnej sytuacji łączyłaby je, niczym w unii personalnej, jedynie osoba papieża – wyjaśnia publicysta.

Jedno jest pewne: nowy papież nie będzie miał łatwego zadania. Oprócz wyżej wymienionych podziałów w Kościele jesteśmy również świadkami dramatycznych wydarzeń politycznych, wobec których trzeba zająć jasne stanowisko.

George Wiegel, amerykański publicysta katolicki i biograf św. Jana Pawła II, w 2020 r. napisał książkę „Następny papież" (w Polsce opublikowana przez wydawnictwo W drodze), w której starał się wyjaśnić, jakie cechy duchowe i intelektualne będzie miał następny biskup Rzymu. W książce Weigel pisze m.in.: „Następny papież musi być przede wszystkim radykalnie nawróconym uczniem – człowiekiem ukształtowanym w głębi swej istoty przez przekonanie, że Jezus Chrystus jest wcielonym Synem Bożym, który objawia światu oblicze Boga, miłosiernego Ojca, oraz prawdę o człowieczeństwie, o jego godności i przeznaczeniu. Intensywność relacji następnego papieża z Panem oraz mądrość jego osądu co do tego, o co On go prosi w dowolnym momencie, będą decydowały, czy jego pontyfikat będzie posuwał naprzód sprawę Ewangelii, czy też hamował ewangeliczną misję Kościoła".

Wszystko wskazuje na to, że te słowa Weigela zyskają na znaczeniu w nadchodzących miesiącach, gdy będziemy się modlić o nowego następcę apostoła Piotra.

eprasa.pl 9f5052c56e

Nowy porządek świata

UE i NATO w epoce konfrontacji

Na początku XX w. liberałowie dążyli do przekształcenia świata w jeden globalny system gospodarczy. W ślad za tym miało dojść do łagodzenia napięć politycznych. Jednak świat nie posłuchał ich marzeń

JAN PARYS

Dziś zamiast jednej globalnej gospodarki rośnie znaczenie regionalnych bloków gospodarczych. Równocześnie zaczęła się polityczna rywalizacja państw z różnych cywilizacji, z których każda ma odrębne interesy i własną wizję świata. Można zatem powiedzieć, że różnice cywilizacyjne, o których w końcu XX w. pisał Samuel Huntington, nabierają coraz większego znaczenia. Dawne podziały na Wschód i Zachód przestały być aktualne.

Rozpoczynając wojnę z Ukrainą, Rosja zerwała współpracę z Zachodem. Postanowiła dołączyć do państw grupy Południa zwanych BRICS i razem z Chinami próbuje wciągnąć je do rywalizacji z państwami zachodnimi. Dawne napięcia między trzema mocarstwami, Rosją, Chinami i USA, zamieniły się w rywalizację krajów Zachodu z blokiem krajów BRICS. Ta nowa sytuacja stawia mieszkańców Unii Europejskiej przed zupełnie nowymi wyzwaniami.

Elita sprawująca władzę w Brukseli od lat zamierzała uczynić z UE niezależny blok gospodarczo-polityczny zdolny do prowadzenia samodzielnej gry na arenie światowej. W tym celu prezydent Francji przez kilka lat zgłaszał pomysł budowy autonomii strategicznej Unii w dziedzinie polityki zagranicznej i w sferze bezpieczeństwa. Kanclerz Niemiec postulował reformę traktatu o UE, by stworzyć w niej scentralizowany system decyzyjny. Od kilku lat Komisja Europejska kierowana przez Ursulę von der Leyen, nie czekając na reformę traktatu, zaczęła w praktyce poszerzać swoje uprawnienia i tym samym ograniczać władzę państw członkowskich. Można zatem powiedzieć, że proces centralizowania władzy w UE już nastąpił, i zapytać, jakie ma to skutki.

ZŁE SKUTKI CENTRALIZACJI WŁADZY W UE

Odpowiedź na tak postawione pytanie daje opublikowany jesienią 2024 r. raport opracowany pod kierunkiem byłego prezesa Europejskiego Banku Centralnego Maria Draghiego oraz wiele innych analiz opublikowanych w Polsce, np. przez prof. Tomasza Grzegorza Grossego. Wynika z nich jasno, że w ciągu ostatnich kilku lat decyzje podejmowane przez KE często nie brały po uwagę zastrzeżeń formułowanych ze strony poszczególnych państw członkowskich. A zatem faktycznie doszło już do koncentracji władzy

Fot. NATO

eprasa.pl 9f5052c56e

w ręku Komisji Europejskiej. W wielu dziedzinach poważnie ograniczyło to wpływ krajów członkowskich na prowadzenie polityki gospodarczej.

Skoncentrowanie decyzji dotyczących gospodarki w rękach KE pozbawiło gospodarki poszczególnych państw zalet, jakie daje wolny rynek. Dziś jednolity rynek europejski ugina się pod ciężarem nadmiernej liczby unijnych norm i dyrektyw. Zamiast konkurencyjności i nowoczesnych technologii mamy w UE centralizm biurokratyczny, który osłabia zdolności rozwojowe przedsiębiorstw. Przyjęcie w skrajnej formie celów klimatycznych doprowadziło do wyprowadzenia wielu ważnych gałęzi przemysłu z Europy. Dochodzi do regresu gospodarek europejskich ze względu na rosnące ceny energii.

Polityka centralizacji decyzji i unifikacji kreowana przez KE nie przyczyniła się ani do rozwoju, ani do większej integracji, lecz spowodowała regres w wielu dziedzinach, wykreowała nowe konflikty i społeczną dezintegrację. Ostatnie kilka lat zaznaczyło się fiaskiem Unii Europejskiej pod względem realizacji celów wyznaczonych kiedyś przez twórców integracji oraz autorów traktatu o Unii.

Na popełnienie przez Unię Europejską tylu błędów naraz trudno znaleźć jedno dobre lekarstwo. Na pewno nie jest nim pospieszna reforma traktatu, bo nowy, bardziej scentralizowany sposób procedowania nie zapewnia przyjęcia skutecznych rozwiązań. Jedna rzecz jest pewna. Im później dokonamy odwrotu od błędnej polityki, tym więcej czasu stracimy.

WYZWANIA DLA UNII

Pierwszą sprawą, którą muszą podjąć elity europejskie, jest zrozumienie nowych realiów. To oznacza odwrót od przekonania, że Unia jest wielka, silna i stanowi wzór dla świata, który ma ją naśladować lub się do niej dostosować. Trzeba się pogodzić z myślą, że, jak mówi raport Maria Draghiego, Unia zmarnowała ostatnie kilka lat.

Dziś Europa bez USA nie stanowi samodzielnej, liczącej się w świecie potęgi gospodarczej, technologicznej czy finansowej. Nic zatem dziwnego, że kraje UE nie mają także liczącego się w świecie potencjału militarnego. To z kolei ogranicza europejskie zdolności do kreowania sytuacji politycznej wobec Rosji lub na teatrach pozaeuropejskich. Błędna polityka Komisji Europejskiej doprowadziła państwa członkowskie do względnego regresu gospodarczego wobec USA i Chin. W najbliższych kilkunastu latach wyklucza to samodzielną pozycję militarną Europy. Czas zatem skończyć ze złudzeniami o ważnej, globalnej pozycji UE.

Zamiast umacniać prawie religijny kult potęgi Unii Europejskiej, trzeba wrócić do współpracy z USA i odbudować jedność obozu państw cywilizacji zachodniej. Nie oznacza to podporządkowania Europy Stanom Zjednoczonym, ale uznanie, że najważniejszą strukturą państw zachodnich nie jest Unia Europejska, lecz NATO.

Obecnie, kiedy trwa rywalizacja z Chinami i gdy Europa stoi wobec militarnego zagrożenia ze strony konfrontacyjnej polityki Rosji, wydaje się to koniecznym i jedynym sensownym rozwiązaniem. Władze UE muszą się pogodzić z tym, że dotychczasowe ambicje prowadzenia samodzielnej globalnej polityki nie mają podstaw w potencjale państw Unii. Silny sojusz z USA, nie tylko militarny, lecz także w dziedzinie technologii i finansów, jest warunkiem przetrwania obecnych napięć międzynarodowych. I to jest drugie zalecenie.

Sojusz Północnoatlantycki, który funkcjonuje od kilkudziesięciu lat, stanowi sprawdzoną instytucjonalną płaszczyznę kooperacji Europy z USA. Co więcej, jest płaszczyzną demokratyczną, w której głos pojedynczych państw liczy się o wiele bardziej niż taki głos w UE. Kraje, które mają odrębne zdanie niż większość, po prostu nie włączają się do realizowanych decyzji. Sojusz działa na podstawie tzw. koalicji chętnych, czyli dzięki krajom, które zdecydowały się na wspólne działanie. W NATO nie ma więc możliwości, by większe kraje przegłosowały słabsze lub szantażem wymusiły wspólne działania.

PO PIERWSZE, NATO

Aby NATO stanowiło prawdziwą podstawę sojuszu z USA, władze w Brukseli muszą uznać, że diagnozy i decyzje Sojuszu są nadrzędne wobec pomysłów UE. Decyzje podjęte na forum NATO mają dla Unii być priorytetami i powinny mieć moc obowiązującą wobec ambicji KE. Komisja ma podejmować własne inicjatywy tylko w ramach priorytetów, które wcześniej przyjęły państwa europejskie na forum Sojuszu.

Jest więc rzeczą niedopuszczalną, by polityka Komisji Europejskiej podważała priorytety ustalone w ramach struktur NATO. A tych jest wiele, wyliczę tylko kilka:

- nie może być sytuacji, w której polityka energetyczna Unii uzależnia Europę od państw będących politycznymi przeciwnikami,
- nie może być sytuacji, kiedy wbrew zasadom ograniczonego dostępu do nowoczesnych technologii kraje europejskie eksportują je do państw zbójeckich,
- nie może się powtarzać sytuacja, gdy KE prowadzi politykę destrukcji wobec celów przyjętych przez NATO i np. nakłada sankcje na kraje członkowskie, które zwiększają nakłady na zbrojenia,
- nie jest rzeczą normalną, że gdy Sojusz odpowiada za bezpieczeństwo państw członkowskich, Unia Europejska preferuje otwarte granice,
- nie da się racjonalnie wytłumaczyć decyzji KE, która podczas rosyjskiej agresji na Ukrainę stosuje sankcje gospodarcze wobec państwa odpowiedzialnego za obronę flanki wschodniej,
- nie do przyjęcia jest np. polityka ESG (rygory w zakresie środowiska, spraw społecznych i ładu korporacyjnego), której wprowadzenie blokuje rozbudowę przemysłu zbrojeniowego w Europie,
- nie może być zgody na indywidualne rozmowy poszczególnych państw z Moskwą bez wcześniejszego skonsultowania tej kwestii na forum NATO.

Takie postępowanie Komisji Europejskiej czy państw Unii jest niczym innym jak świadomym osłabianiem NATO i działaniem w interesie reżimu Putina, który militarnie zagraża bezpieczeństwu Europy.

Jednym słowem, jeżeli Europa chce przetrwać trudny okres rywalizacji na świecie, musi uznać konieczność wielosektorowego, także pozamilitarnego sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. Może temu służyć koordynacja polityki Unii z USA poprzez podejmowanie ważnych decyzji wspólnie, czyli w ramach NATO.

eprasa.pl 9f5052c56e

„Pług” – bohater nie tylko drugiej konspiracji

1 marca 1951 r. komuniści zamordowali członków IV Zarządu Głównego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość – organizacji, która po AK odziedziczyła ludzi, a przede wszystkim ideę walki o wolność. Wśród rozstrzelanych był prezes WiN ppłk Łukasz Ciepliński „Pług”. Nie wszyscy wiedzą, że dokonywał on niezwykłych czynów jeszcze przed powojenną walką w ramach antykomunistycznego powstania

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Jedna z największych bitew września 1939 r. rozegrała się nad Bzurą. Dowódcą kompanii przeciwpancernej był tam absolwent Szkoły Podchorążych Piechoty w Komorowie pod Ostrowią Mazowiecką Łukasz Ciepliński. Mimo początkowej inicjatywy Polaków bitwa zakończyła się naszą przegraną.

ORDER Z MUNDURU GENERAŁA

Resztki armii „Poznań” i „Pomorze” przebijały się do Warszawy. Podczas odwrotu w rejonie Witkowic znów uderzyli Niemcy. Gdy dowódca pułku kazał oddziałowi Cieplińskiego bronić przeprawy m.in. za pomocą działka przeciwpancernego, od niemieckich kul zginął jego celowniczy. Ciepliński zeskoczył z konia, zastąpił poległego i w pojedynkę zniszczył sześć niemieckich czołgów oraz dwa wozy bojowe. Za ten wyczyn jeszcze w trakcie walk został odznaczony orderem Virtuti Militari, który gen. Tadeusz Kutrzeba odpiął dla niego ze swojego munduru. Łukaszowi Cieplińskiemu udało się przebić z resztkami jednostki przez Puszczę Kampinoską do stolicy i wziąć udział w jej obronie.

Mimo że Ciepliński pochodził z Wielkopolski, konspiracyjnie związał się z Rzeszowszczyzną. Po kapitulacji Warszawy przedostał się do Budapesztu. Do kraju wrócił jako kurier, jednak w wyniku zdrady został aresztowany przez ukraińską policję w okolicy Baligrodu i umieszczony w więzieniu w Sanoku. Udało mu się uciec i pieszo dotrzeć do Rzeszowa, z którym związał się na kilka następnych lat. Przez prawie cztery lata dowodził Inspektoratem Rejonowym Rzeszów ZWZ-AK, posługując się głównie pseudonimem „Pług”. Dowodził wówczas nawet 20 tys. konspiratorów. Był uważany za najlepszego dowódcę terenowego w okręgu krakowskim, który dodatkowo odniósł jeden z większych sukcesów polskiego podziemia w skali całego kraju. Na początku 1941 r. na stacji kolejowej w Sędziszowie jego ludzie zdobyli niemieckie mapy wojskowe z planami przygotowań do wojny ze Związkiem Sowieckim.

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 9f5052c56e

TAJNE POLIGONY

Testy nad pociskami V-1 i V-2 Niemcy początkowo prowadzili w Peenemünde na wyspie Uznam. Wywiad AK szybko jednak namierzył ośrodek doświadczalny. Polacy przekazali informacje o nim Brytyjczykom, a ci w nocy z 17 na 18 sierpnia 1943 r. zbombardowali to centrum zbrojeniowe. Wówczas Niemcy postanowili przenieść próby poligonowe rakiet w głąb kontynentu. Wybór padł na okolice miejscowości Blizna na Podkarpaciu. Pierwszą rakietę na nowym poligonie odpalono 5 listopada 1943 r.

Szybko się jednak okazało, że i tam Niemcy nie byli w stanie utrzymać prowadzonych prac w tajemnicy. Wywiad AK zlokalizował to miejsce i prowadził ścisły rejestr startów rakiet, które kilkakrotnie lądowały poza poligonem, wzbudzając zainteresowanie okolicznych mieszkańców.

Wiosną 1944 r. podwładnym Łukasza Cieplińskiego udało się przejąć fragmenty zarówno pocisków V-1, jak i V-2. Te oraz inne części zdobyte przez AK trafiły później do Warszawy i po dokładnej analizie zostały przetransportowane przez Włochy do Wielkiej Brytanii. To pozwoliło Brytyjczykom zrozumieć możliwości i zasady działania nowej broni. Rozpracowanie V-2 było jednym z największych sukcesów wywiadu Armii Krajowej.

Na tym jednak nie koniec dokonań Łukasza Cieplińskiego z okresu II wojny światowej. Zorganizowane przez niego lokalne struktury wywiadu i kontrwywiadu zlikwidowały ok. 300 konfidentów Gestapo i kolaborantów. Jego podwładnym udało się wykryć tajną kwaterę Adolfa Hitlera w tunelu kolejowym w Stępinie koło Strzyżowa. Ciepliński zorganizował na swoim terenie również konspiracyjną fabrykę broni. W 1944 r. prowadził akcję eliminacji lub zastraszania najbardziej niebezpiecznych niemieckich zbrodniarzy oraz polskich kolaborantów i renegatów.

Osobiście brał udział w wielu działaniach zbrojnych na terenie powiatów Rzeszów, Dębica czy Kolbuszowa. W ramach akcji „Burza" 2 sierpnia 1944 r. dowodził 39. pułkiem piechoty Strzelców Lwowskich AK w operacji wyzwolenia Rzeszowa.

NIEZDOBYTY ZAMEK

„Pług" od początku nie miał złudzeń co do komunistycznej władzy. Stan jego ducha oddają słowa Jana Łopuskiego „Mariusza", żołnierza Inspektoratu Rzeszów AK: „Na Staromieściu spotkałem niespodziewanie inspektora [Łukasza Cieplińskiego – przyp. red.] [...]. Podszedł do mnie z twarzą posępną i powiedział: »Mariusz«, niech pan zaraz zdejmie tę opaskę, konspiracja obowiązuje nadal, a najgorsze jest jeszcze przed nami. Proszę czekać na polecenia".

W październiku 1944 r., zaledwie dwa miesiące po wejściu wojsk sowieckich do miasta, w dawnym niemieckim więzieniu na rzeszowskim zamku przebywało już ok. 200 żołnierzy AK aresztowanych przez NKWD lub UB. Przesłuchiwani i torturowani oczekiwali na wywózkę do sowieckich łagrów. Łukasz Ciepliński w porozumieniu z dowódcą Podokręgu Rzeszów AK Kazimierzem Putkiem „Zwornym" postanowił rozbić więzienie i uwolnić przetrzymywanych tam ludzi. Atak nastąpił nocą 7 października 1944 r.

W akcji wzięło udział ok. 80 żołnierzy AK. Kilkuosobowe patrole uzbrojone w broń maszynową miały ubezpieczać podejścia do zamku, a kilkunastoosobowa grupa uderzeniowa przy użyciu drabin miała sforsować wysoki mur od strony południowo-wschodniej, opanować budynek i uwolnić więźniów. Następnie planowano ewakuację za pomocą promu na drugi brzeg Wisłoka. Już na początku akcji jedna z ubezpieczających grup została dostrzeżona przez sowieckich żołnierzy. Rozpoczęła się strzelanina. Kolejne patrole weszły do walki z milicjantami i Sowietami, zniknął więc element zaskoczenia. Mimo iż grupa uderzeniowa rozpoczęła forsowanie muru więziennego, dowództwo uznało, że opanowanie zamku jest już niemożliwe. Łukasz Ciepliński osobiście wydał rozkaz odwrotu, poszczególne oddziały wycofywały się na własną rękę. W raporcie na temat akcji „Pług" pisał, że w walce zginęło dwóch żołnierzy sowieckich i dwóch milicjantów, natomiast 12 funkcjonariuszy zostało rannych. Po stronie AK poległo dwóch żołnierzy, trzeci zmarł w wyniku ran. Jeden z rannych AK-owców został schwytany przez milicję i umieszczony w szpitalu. Tydzień później, 14 października, odbił go jednak Wiktor Błażewski „Orlik".

BRYGADY WYWIADOWCZE

W powstałym we wrześniu 1945 r. Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość Ciepliński działał od samego początku. Najpierw był prezesem Wydziału WiN Kraków. Później, po objęciu prezesury II Zarządu WiN przez Franciszka Niepokólczyckiego, „Pług" został prezesem całego Obszaru Południowego. Odpowiadał za zbieranie informacji o sytuacji w Polsce przez Brygady Wywiadowcze.

W połowie 1946 r. zrzeszenie dysponowało dużą siecią organizacyjną, utrzymując kontakty z partiami opozycyjnymi działającymi zarówno jawnie, jak i w ukryciu. Informacje były dostarczane także prymasowi Augustowi Hlondowi i kard. Adamowi Sapiesze. Na przełomie września i października 1946 r. Ciepliński osobiście spotkał się z Hlondem. Na początku września 1946 r. do Londynu wyjechali emisariusze, Józef Maciołek i Stefan Rostworowski, w celu zorganizowania Delegatury Zagranicznej WiN o kryptonimie „Dardanele". Decyzję o ich wysłaniu podjął Niepokólczycki, lecz skład i instrukcje dla nich opracowywał Ciepliński.

IV ZARZĄD

Sytuacja w Polsce stawała się coraz trudniejsza, a działanie w podziemiu ekstremalnie niebezpieczne. Komunistyczny terror przybierał na sile, bezpieka coraz intensywniej infiltrowała całe polskie społeczeństwo. Nadzieje na wybuch ogólnoświatowego konfliktu, który mógłby przynieść zmianę w kraju, coraz bardziej malały. Do stycznia 1947 r. komunistom udało się rozbić trzy zarządy WiN. Zbliżały się wybory do Sejmu, które komuniści przygotowywali, stosując bezprawie i terror. W takich okolicznościach na zebraniu w Krakowie 10 stycznia Łukasz Ciepliński podjął się misji sformowania IV Zarządu WiN.

Postanowił przede wszystkim skonsolidować rozbitą organizację. Zrekonstruował zrzeszenie, czyniąc zeń organizacją

eprasa.pl 9f5052c56e

kadrową. Nowy zarząd oparł na współpracownikach i podkomendnych znanych mu z rzeszowskiego inspektoratu AK. Odtworzył strukturę organizacji, rozwinął działalność wywiadowczą, kontrwywiadowczą i propagandową. Oprócz tego stworzył nowe sieci łączności, uruchamiając kolejne szlaki przerzutowe na Zachód. Cały czas utrzymywał kontakt z Delegaturą Zagraniczną WiN. Dzięki niemu zrzeszenie utworzyło ekspozytury zagraniczne, m.in. w Moskwie, Berlinie, Rzymie i Londynie. Historycy są zgodni, że Łukasz Ciepliński wprowadził Zrzeszenie WiN, czyli spadkobiercę AK, na najwyższy poziom zarówno pod względem organizacyjnym, jak i ideowym.

MEMORANDUM

Łukasz Ciepliński wykonał tytaniczną pracę, by mimo dramatycznych warunków postawić organizację na nogi. Udało mu się, choć po sfałszowanych wyborach komuniści ogłosili amnestię, która była kolejnym dużym ciosem dla podziemia. Ujawniło się tysiące żołnierzy konspiracji, a ci, którzy kontynuowali działalność, byli po kolei wyłapywani przez bezpiekę. Ciepliński trwał na stanowisku, chociaż jako wytrawny konspirator doskonale wiedział, że prędzej czy później zostanie złapany.

Przez cały czas funkcjonowania Zrzeszenia WiN jego działacze starali się informować polską i światową opinię publiczną o tym, jak wygląda rzeczywistość w opanowanym przez komunistów kraju nad Wisłą. Zbierano zarówno dowody na zbrodnie dokonywane na narodzie polskim, jak i fałszerstwa referendalne oraz wyborcze.

Za najważniejsze świadectwo tamtych czasów uznaje się „Memoriał Zrzeszenia WiN do Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych". Przygotował go utworzony z inicjatywy WiN Komitet Porozumiewawczy Organizacji Polski Podziemnej. Dokument z wieloma załącznikami został przekazany do ONZ w połowie 1946 r.

Działalność zrzeszenia zakończyła się wkrótce po aresztowaniu członków IV Zarządu w listopadzie i grudniu 1947 r. Łukasz Cieplińskiego zatrzymano 28 listopada 1947 r. w Zabrzu. Komuniści przewieźli go przez Katowice i Kraków do Warszawy, gdzie przez niemal trzy lata prowadzili śledztwo, które nie bez przesady można nazwać piekłem na ziemi.

> Był uważany za najlepszego dowódcę terenowego w okręgu krakowskim. To jego ludzie na początku 1941 r. zdobyli niemieckie mapy wojskowe z planami przygotowań do wojny ze Związkiem Sowieckim, a wiosną 1944 r. fragmenty pocisków V-1 i V-2, które zostały przemycone do Wielkiej Brytanii

ROZSTRZELANY ZARZĄD

W pokazowych procesach sądzono członków wszystkich zarządów WiN. Pierwszy z prezesów, Jan Rzepecki, otrzymał najłagodniejszy wyrok – 3 lutego 1947 r. został skazany na osiem lat więzienia. Pozostała trójka otrzymała kary śmierci, jednak zarówno w wypadku Franciszka Niepokólczyckiego, jak i Wincentego Kwiecińskiego wyroki zostały ostatecznie złagodzone. Komuniści zdecydowali się zamordować jedynie Łukasza Cieplińskiego. Wyrok na „Pługu" wykonano 1 marca 1951 r. W piwnicy mokotowskiego więzienia kat, st. sierż. UB Aleksander Drej, zamordował metodą katyńską prezesa Cieplińskiego oraz jego sześciu współpracowników z IV Zarządu Głównego Zrzeszenia WiN – Józefa Batorego, Franciszka Błażeja, Karola Chmiela, Adama Lazarowicza, Józefa Rzepkę i Mieczysława Kawalca. Zwłoki zostały wrzucone do bezimiennego grobu, najprawdopodobniej na warszawskiej Łączce. Jednak ich szczątków do dziś nie udało się odnaleźć. W chwili śmierci „Pług" miał 38 lat.

Rozbicie IV Zarządu oznaczało faktyczny koniec WiN, a zatem ogólnopolskiego oporu przeciw komunistom. Co prawda istniały jeszcze podziemne organizacje, a w lesie nadal walczyli partyzanci, jednak były to odseparowane od siebie struktury. Oczywiście nie można zapomnieć, że powstała V Komenda WiN, jednak była to ubecka prowokacja pod kryptonimem „Cezary". Dzięki niej bezpiece udało się rozbić resztki antykomunistycznego podziemia i doprowadzić do kompromitacji zachodnich służb wywiadowczych.

Od 2011 r. dzięki inicjatywie prezydenta Lecha Kaczyńskiego i prezesa IPN Janusza Kurtyki obchodzimy 1 marca jako Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych, upamiętniając tych, którzy w ekstremalnych warunkach nie zaprzestali walki. Nie zaakceptowali narzuconego przez Związek Sowiecki komunistycznego rządu i terroru. Niezłomnie trwali w oporze, często działając w konspiracji od września 1939 r. Tak jak polscy niezłomni niepodległościowcy z IV Zarządu Głównego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość.

eprasa.pl 9f5052c56e

Portret rodzinny we wnętrzu

Każdy jej doświadcza, choć nigdy tak samo. Rodzina. Ta realna i ta wykreowana. Czasem boleśnie rozdarta lub nieobecna. Opowiada o niej – zwyczajnie i poruszająco – film „Innego końca nie będzie", któremu udaje się jednoczyć widzów

Fot. Katarzyna Średnicka/Kino Świat

eprasa.pl 9f5052c56e

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

W weekend, w którym do kin trafia „Emilia Pérez" – budzący kontrowersje oscarowy faworyt z 13 nominacjami na koncie – inne premiery tygodnia wydają się bez szans. Ale nie film „Innego końca nie będzie".

PROSTO I NIEŁATWO

Ta prosta i zarazem niełatwa rodzinna historia nie bez powodu przyciąga widzów. Na festiwalowych seansach nieznajomi dzielą się chusteczkami, a po projekcji potrafią długo rozmawiać o tym, jakie emocje uwolnił w nich pełnometrażowy fabularny debiut Moniki Majorek.

Nie przypadkiem też skromny formalnie, intymny film o katastroficzno-ostatecznym tytule i budującym przekazie stał się jednym z wydarzeń festiwalu w Gdyni. I nie bez powodu widzowie Warszawskiego Festiwalu Filmowego przyznali mu najważniejsze wyróżnienie – nagrodę publiczności.

„Innego końca nie będzie" dołącza do polskich kameralnych filmów, które zostają w pamięci (pomimo mało komercyjnej formy i czasem karkołomnych tytułów). Staje obok takich produkcji, jak m.in. „To nie mój film" (2024) Marii Zbąskiej czy wcześniejszy o rok mikrobudżetowy obraz Piotra Biedronia „W nich cała nadzieja". Również on jest niesiony przez aktorów znakomicie budujących swoje role. Zarówno młodych, jeszcze nieopatrzonych, a niezwykle wiarygodnych (Maję Pankiewicz, Sebastiana Delę, Klementynę Karnkowską), jak i znanych oraz cenionych (Agatę Kuleszę, Bartłomieja Topę, Cezarego Łukaszewicza), którzy z tą energią młodości i autentyczności spinają swoje postaci.

KRUCHOŚĆ W OCZACH

„Innego końca nie będzie" to opowieść o rodzinie pokazana z perspektywy trójki rodzeństwa. Dzieci w różnym wieku, wciąż pozostających na pograniczu dorosłości, które muszą się mierzyć z trudnym tematem. Każde z nich bierze ten ciężar na swoje barki indywidualnie, a także pozostaje w intensywnych relacjach z pozostałymi członkami rodziny.

Oś filmu stanowi konflikt najstarszej córki z matką. Jak mówi reżyserka, obie są „tytankami" i takich też aktorek szukała do ich zagrania. – Zarówno Maja, jak i Agata mają w sobie stal na zewnątrz, a w oczach dużą kruchość – podkreśla Majorek.

Reżyserka (i zarazem scenarzystka) wspomina też świadomość wyzwania i satysfakcję, gdy tkała ekranową rodzinę z różnych osobowości i aktorskich warsztatów. Bo film, który „krzyczy szeptem", wymagał otwarcia się na „prawdę odczuć oraz granie tu i teraz". To się udało. Bohaterom się wierzy. Podobnie jak współodczuwa się ich historię, znajdując w niej własne doświadczenia.

Bartłomiej Topa, który w filmie tworzy kluczową postać, a choć nie ma dużo ekranowego czasu, jego bohater jest stale obecny w życiu bliskich (zwłaszcza dzieci noszą go w sobie), mówi o cennej „lekcji uważności dla drugiego człowieka".

POMIEŚCIĆ KONCEPT

Historia, którą postanowiła opowiedzieć Monika Majorek, niejako wymusiła większą przestrzeń dla ekranowej rodziny. Reżyserka zdradza, że

Autopromocja

projekt filmu ewoluował. Od krótkometrażowej 5-minutówki przez wersję 15- i 30-minutową do pełnego metrażu, który mógł wreszcie pomieścić scenariuszowy koncept. Te wcześniejsze założenia oraz działania związane z mniejszą formą, faktyczną i formalną oszczędnością w środkach materialnych, jak i środkach wyrazu, widać na ekranie, ale nie umniejsza to siły ich oddziaływania. Wręcz przeciwnie. Skupia i intensyfikuje emocje wyrażone w (pozornie) prostych sytuacjach i działaniach. Bo jak to w rodzinnych relacjach bywa różnorakie odczucia i emocje potrafią się w nich nawarstwiać i rosnąć przez lata. Z czasem jedne tężeją, inne, poruszone nowymi okolicznościami, zaczynają pulsować, potem buzować, prowadząc do coraz większych wybuchów, a nawet spektakularnych erupcji. W filmie Moniki Majorek nie zobaczymy fajerwerków, bo to, co najważniejsze, dzieje się w rodzinnym wnętrzu.

Fot. Katarzyna Średnicka/ Kino Świat

NACZYNIE POŁĄCZONE

Filmowe historie często zaczynają się od powrotu. Ta także. Główna bohaterka Ola, najstarsza z rodzeństwa, po dłuższej nieobecności nieoczekiwanie wraca do rodzinnego domu. Zderza się tu z różnymi sytuacjami. Również z końcem, który nie będzie inny, bo kiedyś już się zdarzył i tkwi, pozornie głęboko ukryty, w naczyniu połączonym, którym jest rodzina. W każdym z jej członków.

Gdy Ola dociera do bliskich, na pierwszy rzut oka wszystko wygląda znajomo. Potem jednak okazuje się, że matka ma nowego partnera, w garażu brakuje ulubionego samochodu ojca, a rodzinny dom pustoszeje, bo ma zostać sprzedany. Znikają z niego ślady dawnego życia.

Czy zastana sytuacja oznacza ostateczne rozerwanie i tak napiętych relacji? A może to ostatni moment, by pogodzić się z przeszłością, a wcześniej jeszcze raz – za sprawą znalezionych na strychu kaset wideo – wrócić do wspomnień i spróbować zrozumieć, co się wydarzyło przed laty? Co doprowadziło do granicznej sytuacji, wokół której zapętla się ta historia? Widzowie są wdzięczni także za tę narracyjną nieoczywistość, bo tego filmu nie ogląda się linearnie. Pierwsze i kolejne odczucia mogą mylić, a i tak liczy się finalny przekaz.

PUNKT ODNIESIENIA

„Innego końca nie będzie" to kino intymne, opowiadające o „najmniejszej grupie społecznej", doskonale wszystkim znanej i niezmiennie wywołującej emocje. Przywołującej wspomnienia i budzącej reakcje bardzo pozytywne, ale i mocno negatywne. – Rodzina jest punktem odniesienia, do którego odwołujemy się i wracamy przez całe życie – mówi reżyserka. – Zarówno do tej nowej, którą budujemy sami, jak i do korzeni, które, choćbyśmy nie chcieli, wciąż w nas przecież są.

eprasa.pl 9f5052c56e

3 MIŁOŚCI

Pierwsza klęska cywilizacji śmierci

ROBERT TEKIELI

Nie ma już Zachodu. Jest światowa lewica i są patrioci. Zachód, wolny świat, do którego aspirowaliśmy w latach 80., dziś nie istnieje. Zachodem rządzą wrogowie Zachodu. Ludzie nienawidzący chrześcijaństwa, normalnej rodziny, tradycji. Zachodem rządzi V kolumna. A właściwie rządziła do wyborów 2024 r. w USA, najsilniejszym państwie naszej cywilizacji. W Ameryce zwyciężyli patrioci, światowa rewolucja poniosła klęskę. Po raz pierwszy od sześciu dekad cywilizacja śmierci jest w odwrocie.

W Unii Europejskiej dalej rządzi liberalny establishment, który od trzech dekad głosi skrajnie lewicowe hasła. J.D. Vance powiedział eurokratom w twarz: to idee Zachodu zbudowały jego siłę. By Europa odzyskała wielkość, musi odbudować swe duchowe fundamenty. Przywrócić bojowego ducha wśród żołnierzy. Ożywić umarły etos, przywrócić wiarę w wartość demokracji, a nie unieważniać demokratyczne wybory, gdy ich wynik jest nie na rękę, jak w Rumunii. Odrzucić autokratyczne zapędy. Zastopować migrację, będącą bronią, której wróg wewnętrzny używa do zniszczenia chrześcijańskich fundamentów Zachodu. Wróg wewnętrzny! O otwarciu drzwi na agresywnych i niechcących się asymilować mężczyzn zadecydowali przecież lewicowi europejscy oraz amerykańscy politycy, a nie kosmici.

Ekipa Trumpa rzuciła europejskiej liberalnej plutokracji wyzwanie. Ale król nie chce wiedzieć, że jest nagi. Leniwy, zdemoralizowany, skorumpowany, ospały. Usłyszeliśmy: co wygaduje ten amerykański chłystek! To cytat. Usłyszeliśmy członków unijnej elity syczących w kierunku Amerykanów: „Spokorniejecie. Rosja was przeczołga". Powtórzę: ROSJA was przeczołga.

Obnażona, spoliczkowana, spłakana Europa zasłania się Rosją. Odgraża się, bo sama nic nie może. Nic nie chce. Wstydzi się siebie samej. Nie potrafi się odwinąć.

Rosja jest cichym sojusznikiem Niemiec i Francji w antyamerykanizmie. Dla nas ten sojusz to śmiertelne zagrożenie. Putin chce powrotu strefy wpływów ZSRR, wycofania wojsk NATO za linię Odry, redukcji polskiej armii i demilitaryzacji Polski na wschód od linii Wieprza i Wisły. Przez osiem lat swoich poprzednich rządów Donald Tusk zwijał państwo polskie, zmniejszał armię, likwidował garnizony i rozpuszczał dywizje stacjonujące w Polsce wschodniej. Dziś robi to samo. Czy ogołoci z wojska połowę naszego kraju?

Duchowe wielkie szachy, globalne małe szachy i polskie warcaby. Europa potrzebuje modlitwy, świat potrzebuje modlitwy, Polska potrzebuje modlitwy.

Nowożytne areopagi – świat polityki, nauki, kultury, środków przekazu, środowiska elit intelektualnych, środowiska pisarzy i artystów, nie są już, jak chciał tego Jan Paweł II, miejscami zażartego konfliktu kultury śmierci i cywilizacji miłości. Zostały przejęte przez rewolucyjną lewicę.

By przeprowadzić swą rebelię normalności, Trump stworzył ryzykowną koalicję amerykańskich patriotów i lordów cyfrowej arystokracji. Realizuje politykę wykorzenienia antychrześcijańskiej dyskryminacji w amerykańskiej administracji. Odcina pieniądze przemysłowi aborcyjnemu. Tylko swoją wygraną spowodował zniesienie cenzury na najważniejszych platformach społecznościowych.

W ub.r., w wydawałoby się oszalałej na punkcie wolności słowa Ameryce, 67 proc. obywateli obawiało się powiedzieć, co naprawdę myślą, bo będą dyskryminowani w pracy, wyrzuceni poza swój obszar społeczny, zdegradowani życiowo. A aż 85 proc. martwiło się o wolność słowa w swoim kraju.

Celem rewolucji zdrowego rozsądku jest zwycięstwo w cywilizacyjnej wojnie domowej Zachodu, a na naszym kontynencie kreacja nowych europejskich elit.

Trwają wielkie szachy. Kosmiczne starcie. Stawką jest duchowe odrodzenie Zachodu. Rozprawa z kulturą śmierci. Starcie duchowe z wrogiem wewnętrznym.

Trwają małe szachy: geopolityka. Starcie z wrogiem zewnętrznym – cywilizacją Państwa Środka oraz z cywilizacjami stepu i islamu.

No i mamy polskie warcaby: zwycięstwo w wyborach prezydenckich oraz rząd patriotów.

Unia to dinozaur z odrąbaną głową, ale gnić może i 100 lat, a my możemy umrzeć od trupich wyziewów. Polską rządzi partia rozbiorowa. Zagrożona jest egzystencja państwa.

W dodatku w geopolitycznych małych szachach być może przypadła nam rola pionka wystawionego do bicia, a wtedy akt stanowiący NATO–Rosja z 1997 r. będzie dla Trumpa łatwą wymówką. USA bez europejskiego alianta, a Unia w antyamerykańskim sojuszu z Rosją? Jako wasal Chin? Jeśli nowa Jałta, to na życzenie starej Europy!

Potrzebna jest wielka modlitwa za ojczyznę, post w jej intencji, umartwienia. Wynagradzające krucjaty. Polska pod krzyżem, różaniec do granic. Wyzbycie się nienawiści do tych po drugiej stronie, pogrążających naszą ojczyznę, planujących, jak w szkołach deprawować dzieci, wprowadzić aborcję na życzenie. A wreszcie niezbędna jest nam wiara. Wiara w cud, wiara w cud nawrócenia.

eprasa.pl 9f5052c56e

WOJNA CYWILIZACJI

Warte „Przez lata odprawiania egzorcyzmów byłem wielokrotnie opluwany i powalany na ziemię, doznałem wstrząsu mózgu, duszono mnie kilka razy do tego stopnia, że zemdlałem (demony mają zaskakująco silny uścisk), gryziono mnie do krwi, przeklinano mnie niezliczoną ilość razy, często mi grożono, uderzano mnie i kopano. Moje książki z rytuałami były targane, a święte przedmioty rozrzucane po pokoju. Jeśli sesja idzie dobrze, opętani krzyczą, rzucają się w niekontrolowany sposób i wymiotują dużą ilością białej piany. Chociaż wchodzę w każdą sesję z ufnością pokładaną w Bogu i wiem, że jestem zasadniczo chroniony, nadal jest to walka". Ks. Stephen J. Rossetti to racjonalny, pogodny egzorcysta. Skoncentrowany na Jezusie, choć pisze głównie o demonach. Jego książka ***„Dziennik amerykańskiego egzorcysty"*** jest bezcennym zapisem codziennych doświadczeń kapłana przy posłudze uwalniania. Autor nie szuka sensacji, ale przesłanie książki szokuje.

Mówienie o opętaniu to dla wielu osób wchodzenie w przestrzeń fantazji, przesądów albo resztek przednaukowego myślenia. Dla ich ontologicznego redukcjonizmu medycyna jest jednak bezlitosna. Czy empiryczna nauka umieściłaby opętanie oraz zaburzenia transowe w swej obowiązującej na całym świecie klasyfikacji chorób, gdyby były to wiejskie zabobony?

Czasami, gdy nauki medyczne i psychologiczne okazują się bezsilne, modlitwy Kościoła dość szybko rozwiązują problemy. Nauki psychologiczne i duchowa posługa egzorcystów dobrze ze sobą współgrają i uzupełniają się.

Znałem egzorcystę, który nie wierzył w istnienie Szatana. Bardzo źle się to dla niego skończyło. Wiedział o moich ekscentrycznych doświadczeniach duchowych, przyciągały go i odpychały. Chciał je poznać i przed nim uciekał. Niezwykłe jest dla mnie, że istnieją chrześcijanie zanurzeni w Piśmie Św., którzy psychologicznie zaprzeczają istnieniu Szatana i jego bezpośredniemu działaniu w życiu ludzi. To mentalne blokowanie rzeczywistości zadziwia.

„Demony nie mają zasadniczo zdolności jasnowidzenia, ale mają dostęp do spraw ukrytych przed ludźmi". W świecie materialnym ich duchowa moc i energia nie są nieskończone, słabną w trakcie egzorcyzmów. Nie mogą zabijać ludzi. Anioły i demony podróżują z prędkością myśli. Nawet najmniejszy z demonów jest znacznie silniejszy niż jakikolwiek człowiek. „Ale Najświętsza Maryja Panna z łatwością wypędza księcia ciemności".

„Życie w osamotnieniu karmi demony". „Są chwile, kiedy emocje ludzi nie pochodzą z psychiki, pochodzą z wnętrzności piekła". „Pierwszym krokiem w procesie uzdrowienia jest pójście do spowiedzi". „Chociaż wszystkie grzechy są przebaczone w sakramencie, nie oznacza to, że związane z nimi demony natychmiast odchodzą". Jeśli dana osoba jest już opętana, ludzkie słabości mogą karmić demony i utrudniać ich egzorcyzmowanie. „W miarę, jak osoba opętana jest uzdrawiana z głębokich wewnętrznych ran psychicznych, demony powoli tracą nad nią kontrolę".

Na całym świecie powszechnie wiadomo, że jeśli masz problemy z demonami, dzwonisz do katolickiego księdza. Ludzie przychodzą do nich po uwolnienie, ale nie zastanawiają się, skąd mają tę moc. „Kiedy kapłan zaczyna się modlić starożytnymi modlitwami kościoła, demony krzyczą w agonii. Nienawidzą nas, ponieważ kiedy się modlimy, to sam Chrystus modli się w swoim Kościele". Do katolickich kapłanów przychodzą niekatolicy, w tym żydzi i muzułmanie. Dostają to, po co przyszli, ale nie wyciągają wniosków, nie chcą poznać prawdy. Ocierają się o nią, korzystają i tyle.

Ks. Rossetti nie ukrywa, że intelekt nie jest w stanie ogarnąć Bożych tajemnic. „Nie potrafię ogarnąć intelektualnie wieczności w piekle, ale Jezus mówi, że jest ona prawdziwa. Trudno jest mi też zaakceptować ideę istot duchowych całkowicie oddanych złu, a jednak Szatan i jego demony istnieją".

I jeszcze dwie trudne kwestie. U ilu osób, również tych niewierzących, demoniczne zawładniecie jest ukryte? Nie mają pojęcia o swym opętaniu, bo zły duch manifestuje się dopiero wtedy, gdy człowiek zaczyna się nawracać, zbliżać do Boga. I wreszcie: ilu ludzi będzie zbawionych? Mniejszość.

Czytając książkę o demonach, należy cały czas pamiętać, że w obliczu nieskończonej mocy Boga Szatan jest zaledwie „kłaczkiem kurzu". I choć „egzorcyzmowanie demonów jest dobre, jednak najważniejsze jest nasze zbawienie w Chrystusie".

Bóg jest promieniującą, nieskończoną i przemieniającą miłością. Ks. Rossetti pisze o sobie i swoich współpracownikach oraz o spajającym ich duchu: „Jesteśmy szczęśliwą grupą. Cieszymy się wspólnymi obiadami, razem żartujemy, przepełni nas wszechobecna radość życia duchowego i pełnej łaski posługi. Pod koniec dnia kropię wodą święconą mój pokój, polecam się opiece Najświętszej Maryi Panny i śpię spokojnie w ramionach naszej Matki".

Robert Tekieli,
Polskie Radio

eprasa.pl 9150526c56e

Maciej Walaszczyk

Twarde serce ludowej władzy

Kolejny film duetu Piotr Zarębski i Tomasz Plaskota został poświęcony żołnierzom południowo-wschodnich struktur ostatniego, IV Zarządu Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość", poszerzony o relacje i przeżycia członków ich rodzin, m.in. Heleny Skwary, kuzynki Jana Totha, dowódcy poakowskiego oddziału partyzanckiego działającego po wojnie na Rzeszowszczyźnie. Prosta wiara w dobroć ludzi i przyrodzona dziecięca naiwność czasem śmieszą, ale w pewnych okolicznościach potrafią poruszyć dorosłego.

Tak jest w przypadku listów dzieci członków struktur tzw. drugiej konspiracji skazanych na śmierć przez stalinowskie sądy. Dzieci w nich błagały sprawującego wtedy funkcję prezydenta RP Bolesława Bieruta, „Najjaśniejszego Pana Marszałka", „kochanego obywatela prezydenta", który „kocha dzieci, otacza je opieką i nie odmawia nigdy ich prośbom", o ocalenie życia ich ojców. Ten gest był bowiem ostatnią szansą na uratowanie ukochanego taty. „Gdybyśmy stracili Ojca, zostalibyśmy zupełni sami na świecie" – pisał w październiku 1950 r. do Bieruta 14-letni Jerzy Chmiel, syn Karola Chmiela. Z taką dziecięcą wiarą i naiwnością starały się wzruszyć sowieckiego namiestnika, odwołując się do jego ludzkich uczuć. Bezskutecznie. „Błagam, Panie Prezydencie, nie pozwól naszego tatusia zabijać. A ja z Wojtusiem będziemy ci wdzięczni zawsze" – pisała Marta, córka kpt Władysława Koby, przedwojennego oficera żołnierza AK, a potem WiN, którego szczątki w 2015 r. odnalazł zespół archeologów pod kierunkiem prof. Krzysztofa Szwagrzyka. Wówczas Wojciech zobaczył swojego ojca po raz pierwszy w życiu. Wyrok śmierci wykonano w 1949 r., oddając dwa strzały w głowę. Ręce i nogi ofiary były związane kablami.

Swoją relację zdążył złożyć twórcom filmu również żyjący jeszcze ppor. Franciszek Batory, brat Józefa Batorego, szefa łączności zewnętrznej IV Zarządu Zrzeszenia WiN. Organizacja zbierająca informacje oraz organizująca cywilny opór wobec totalitarnego państwa m.in. przez zwalczanie jego propagandy stała się celem komunistycznych służb. W jednym z archiwalnych nagrań Bierut mówi: „Władza ludowa zwalczać będzie z całą stanowczością oszustów i wsteczników żerujących na ciemnocie, która jest skutkiem wielowiekowego upośledzenia". To język liberalnych mediów i lewicowych reformatorów edukacji.

„Listy nadziei", Fundacja Humble 90, 2024

Śpiew Maryi

Na przestrzeni epok bardzo wielu kompozytorów mierzyło się z tekstem hymnu Magnificat. Był oczywiście obecny w chorale gregoriańskim, a potem podejmowali go m.in.: Palestrina, Monteverdi, Mozart, a w czasach współczesnych chociażby Wojciech Kilar. Oczywiście najsłynniejszy jest ten skomponowany przez Jana Sebastiana Bacha, który stał się jednym z jego największych arcydzieł.

Yves Castagnet jest z zawodu organistą liturgicznym, w tym akompaniatorem katedralnego chóru Maîtrise Notre-Dame de Paris, choć przedstawia się go również jako reprezentanta „wielkiej francuskiej szkoły gry na organach". I to on skomponował Magnificat na okoliczność ponownej inauguracji paryskiej katedry, odnowionej po pożarze z 2019 r. Okazuje się, że od dawna chciał napisać własną aranżację maryjnego kantyku zapisanego w Ewangelii św. Łukasza, ale czuł, że Bach zrobił to lepiej. Szczyt osiągnięty przez poprzednika sparaliżował go na wiele lat, ale wiosną 2020 r. pod wpływem traumy spowodowanej pożarem w czasie lockdownu postanowił wytyczyć własny kurs ku temu poetyckiemu i psalmodycznemu tekstowi uwielbienia, którym każdego dnia przy organach kończył obrzęd nieszporów. Bo, jak mówi: „Magnificat to tekst, który towarzyszy mi w życiu muzyka i chrześcijanina od ponad 35 lat".

Utwór powstał w jego mieszkaniu, na cyfrowym sprzęcie i „instrumentach zastępczych". Słychać, że ta muzyka może powstała pod wpływem Bacha, ale Castagnet nie jest ani jego epigonem, ani nie naśladuje wzorców barokowych, lecz w bardzo przemyślany sposób stworzył pozbawiony wystawności własny subtelny język barw i harmonii. To zupełnie nowy Magnificat, którego korzenie tkwią raczej w XX-wiecznej muzyce kościelnej, a do tego z rozmachem wykonany przez dorosły chór Maîtrise i czterech solistów: sopranistkę Thaïs Raï-Westphal, mezzosopranistkę Anouk Defontenay, tenora Jordana Mouaïssię i basa Carlosa Builesa Veleza z odpowiednim akompaniamentem organowym kompozytora. Na płycie dodatkowo umieszczono także aranżacje trzech psalmów autorstwa Castagneta.

Z oczywistych względów nagranie zarejestrowano na organach bazyliki św. Klotyldy. By usłyszeć je na żywo w katedrze Notre Dame, trzeba poczekać do 30 września br., gdy zabrzmi na słynnym instrumencie z 8 tys. piszczałek, odnowionym i uroczyście wybudzonym podczas grudniowych uroczystości.

Yves Castagnet, Maîtrise Notre-Dame de Paris, Henri Chalet „Magnificat", Werner Music 2024

eprasa.pl 9f5052c56e

„Glaukopis” płynie pod prąd

„Pogrom wielkanocny” czyli niemiecka prowokacja, której zorganizowanie i udział przypisuje się polskim kolaborantom

W najnowszym numerze tego pisma naukowego pod pieczołowitą opieką dr. Wojciecha Muszyńskiego, równocześnie pracownika warszawskiego oddziału IPN, poznać możemy okoliczności tzw. pogromu wielkanocnego, a więc zajść antyżydowskich, które miały miejsce w marcu 1940 r. na ulicach okupowanej stolicy. Wypadki te, będące klasyczną niemiecką prowokacją z udziałem elementu kryminalnego i wyrostków, do końca lat 90. były niebadane, choć znaczenie zdążyła im nadać żydowska historiografia obciążająca Polaków o jego współorganizację.

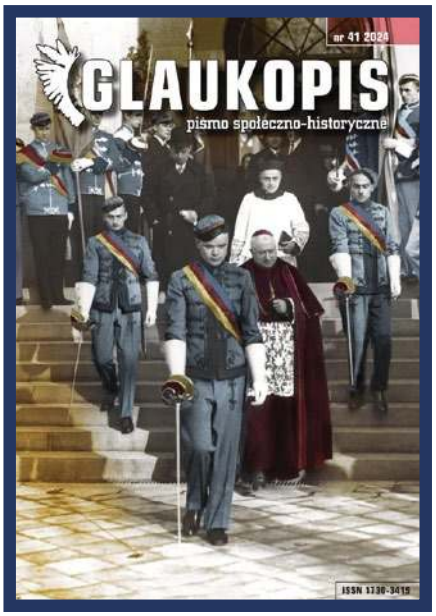

Tę tezę wzmacniała praca prof. Tomasza Szaroty, na którego ustalenia w ostatnich latach powołała się Katarzyna Person. Według badacza współorganizatorem zajść była kolaboracyjna Narodowa Organizacja Radykalna. Muszyński podjął się trudu sprawdzenia i sprostowania powielanych w ten sposób kłamstw. Okazuje się, że nie istniała żadna NOR, ale Narodowa Partia Radykalna. Nie była ona kontynuacją Falangi, a jej założycielami byli oficer rezerwy WP oraz twórca przedwojennej narodowo-socjalistycznej organizacji „Błyskawica”. Co jednak najważniejsze, NPR została rozwiązana przez okupanta kilka tygodni przed pogromem wielkanocnym i nie ma żadnego dowodu wskazującego na to, by jej działacze stali za jego organizacją, a nawet brali w nim udział.

Świetnym uzupełnieniem tej tematyki jest tekst Michała Domińczaka („»Faszyści« i »żydo-demokraci«”) na temat konfliktu politycznego, który pod koniec lat 30. XX w. rozegrał się w Stowarzyszeniu Architektów RP. W jego wyniku organizacja zinfiltrowana przez lewicę, wolnomularzy i agenturę KPP przeszła pod kontrolę środowisk prawicy.

W numerze „Glaukopisu” znaleźć można również tekst będący próbą podsumowania wojennych losów prof. Wiesława Chrzanowskiego („Wszechpolak z książką i karabinem”). Dr hab. Krzysztof Kosiński zebrał całą dostępną wiedzę na ten temat, rysując biograficzny szkic o chłopcu, który w ciągu kilku lat z ucznia przeobraził się w studenta, konspiratora i działacza politycznego. Bo wybuch wojny zmienił całe jego życie. Ciekawym epizodem dokumentującym ten czas jest „Dziennik lektury”, który młody Chrzanowski prowadził między 14. a 22. rokiem życia. Odnotowywał w nim książki, które przeczytał, wskazując, kto wpłynął na jego formację duchową i intelektualną. Z zapisków wynika, że w tym czasie przeczytał 329 książek i o ile do matury, a więc połowy 1941 r., skupiał się na literaturze pięknej, potem pochłonęła go tematyka polityczna i filozofia. Sięgał po Platona, prace Lutosławskiego i Kotarbińskiego czy zdobywającego wówczas popularność Karla Jaspersa. Rzecz jasna zdążył się zapoznać z całym elementarzem endeckich autorów, takich jak Dmowski, Rybarski, Stojanowski (który był jego profesorem na tajnym Uniwersytecie Ziem Zachodnich) i wszystkimi najważniejszymi publikacjami programowymi tego czasu. Sięgał też do Studnickiego, Piłsudskiego czy znakomitego przedwojennego debiutu Aleksandra Trzaski-Chrząszczewskiego.

Co ciekawe, pod koniec częściej czytał poezję, m.in. Leśmiana i Bąka, a już jako dorosły człowiek poznał „Nowe Średniowiecze” Bierdiajewa. Utożsamiał się z diagnozą o materializmie i postępującej sekularyzacji nowoczesnej kultury oraz konieczności nieuchronnego powrotu do jej religijnych źródeł. W tym czasie wpływ wywarli na niego także profesorowie, z którymi bezpośrednio stykał się na zajęciach tajnego uniwersytetu. Byli to m.in. wspomniany już antropolog prof. Stojanowski, prof. Stanisław Kasznica, prywatnie ojciec ostatniego komendanta NSZ, a przede wszystkim ks. Jan Salamucha. Jednym z pierwszych wojennych doświadczeń Chrzanowskiego było przypadkowe spotkanie jego ojca, przed wojną znanego również Niemcom profesora Politechniki Warszawskiej i ministra przemysłu i handlu w pierwszym rządzie Grabskiego, z gen. Willim Moserem. Stało się to we wrześniu 1939 r. Chrzanowski senior miał go przekonywać, że Niemcy nie mają szans na wygranie wojny, a Moser tłumaczył mu, że tym razem idą razem z Rosją, a więc nie istnieje groźba walki na dwa fronty jak poprzednim razem. Finał świetnie znamy, a w 1945 r. Moser trafił do sowieckiej niewoli, gdzie po roku zmarł.

„Glaukopis. Pismo społeczno-historyczne”, nr 41, 2024

eprasa.pl 9f5052c56e

DOMINIKA REICH AMBASADORKA SMAKÓW, SOMMELIERKA

Sery w karnawale

Doświadczenie zawodowe zdobywała we Włoszech, Francji, Niemczech i Szwajcarii. W Polsce propaguje fondue („kulinarną zabawę wokół jednego garnka") i raclette (danie z topionego sera z dodatkami). Organizuje też wydarzenia i warsztaty winiarskie.

– Karnawał ma w naszym kraju długą tradycję. Ciekawą propozycją na przyjęcie w tym okresie jest przygotowanie deski serów z różnych gatunków mleka.

Weźmy dwa, trzy sery krowie o różnej strukturze, jeden ser owczy (może być pleśniowy roquefort), jeden ser kozi, jeden ser miękki, np. brie lub camembert. Dobrym pomysłem będzie też wybranie sera z dodatkami: płatkami chili, truflą lub migdałami. Zabawmy się kolorem: pomarańczowy cheddar na pewno wniesie trochę radości do wyglądu naszej deski.

A z czym łączymy sery? Przede wszystkim z różnego rodzaju marmoladami (można wykorzystać te własnej produkcji) i różnymi gatunkami miodu. Oczywiście także z owocami (nie tylko winogronami) dostępnymi sezonowo, również tropikalnymi, np. kaki. Wypróbujmy też owoce suszone i bakalie – tak lubiane przez nas pistacje czy różnego rodzaju orzechy.

Podczas przyjęć chętnie pijemy wina. W karnawale szczególnie polecam te musujące. Kojarzą się z celebracją, bardziej lub mniej wytwornymi okazjami do świętowania, więc jak najbardziej są odpowiednie.

Jeżeli organizujemy przyjęcie dla większej liczby osób, dobrze jest sięgnąć po wina mniej wytrawne. Sprawdzi się np. musujące półwytrawne prosecco czy hiszpańska cava.

Pamiętajmy, że w karnawale tradycją jest spożywanie pączków i faworków. Wina półwytrawne będą się z nimi doskonale komponować.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Raclette

Raclette to zarazem nazwa sera, jak i potrawy. Ser (produkowany z krowiego mleka) jest półtwardy, pełnotłusty, dojrzewający. Choć wywodzi się z górzystych regionów Szwajcarii, stał się również bardzo popularny we Francji (nazwa „raclette" wzięła się od francuskiego słowa „racler", co oznacza „zdrapywać, skrobać").

W podstawowym przepisie na raclette ser o tej nazwie jest topiony w specjalnym naczyniu i serwowany z pieczonymi ziemniakami (zwykle w mundurkach), kiszoną cebulą, ogórkami kiszonymi i niekiedy wędzonym mięsem. Danie można również podawać z konserwowanymi warzywami (cebulką, korniszonami czy marynowanymi pieczarkami). Jest też wersja przygotowana w piekarniku. Na wcześniej ugotowane i pokrojone ziemniaki kładziemy grubą warstwę sera. Całość zapiekamy przez kilka minut w temperaturze 180 st. C. Podajemy na gorąco z ulubioną sałatką lub dodatkami. Do raclette dobrze pasują szparagi, bakłażan i inne warzywa, a nawet owoce. I białe wytrawne wino.

eprasa.pl 9f5052c56e

SŁODKO-SŁONY

Zielono od groszku

ANNA MONICKA

Bardzo lubię zielony groszek, często jemy go po prostu z masłem, koperkiem i ziemniakami albo makaronem lub marchewką, solidnie doprawiony czosnkiem i majerankiem, bo to warzywo świetnie uzupełnia białko w wegetariańskiej diecie. Gdy wyciągniemy wszystkie zamrożone latem zapasy (bo jednak zielony groszek jest znacznie smaczniejszy i zdecydowanie lżejszy do strawienia niż suszony), ratujemy się mrożonkami. Groszek dodaję też do omletów i ryżu – żeby ładniej wyglądał i był bardziej pożywny. Przygotowuję go na patelni. Najpierw delikatnie podsmażam na klarowanym maśle, potem zalewam albo warzywnym bulionem, albo wodą z curry i solą, mieszam, przykrywam pokrywką i pozwalam mu dojść na niewielkim ogniu. Gdy ziarenka się najeżą, wysypuję na nie groszek i znów nakrywam na kilka minut – robi się bardzo szybko i nie traci koloru. Do tego jajko w koszulce, mnóstwo szczypioru i obiad gotowy.

Gdy ścisnął mróz, zapragnęłyśmy jednak sycących i rozgrzewających zup. M.in. właśnie z groszku, bo jego wiosenny kolor od razu poprawia humor. Przepis na naszą ulubioną zieloną polewkę znalazłam kiedyś przypadkowo na targach wnętrzarskich, gdzie wystawiała się firma Le Creuset. Zachwycałam się ich żeliwnymi emaliowanymi garnkami w przepięknych kolorach, wzięłam nawet kilka broszur, a w nich znalazłam bardzo apetycznie brzmiące receptury. Jedna na stałe weszła do naszego rodzinnego jadłospisu. Robi się ją raptem w pół godziny – co jest kolejną zaletą.

Rozgrzewam w garnku olej kokosowy, wrzucam pęczek pokrojonej drobno dymki, gotuję 3–4 minuty, na to wsypuję rozmrożony groszek (ok. 1 kg), podgotowuję, wlewam puszkę mleczka kokosowego i trzy czwarte litra bulionu warzywnego. Zupa musi się pogotować kilka minut, żeby groszek zmiękł. Gdy jest gotowy, zdejmuję z ognia garnek, zawartość miksuję na bardzo gładki krem, dorzucając kilka gałązek bazylii i dolewając do smaku sok limonkowy. Gdy krem jest już przelany do miseczek, dekoruję dodatkowymi listkami bazylii, skrapiam mleczkiem kokosowym i oprószam pieprzem.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Junko i orlik

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

16 lutego na jednej ze stron, na których zgłasza się obserwacje ornitologiczne, pojawiła się wiadomość o niewielkim ptaku z gatunku junko. Informacja została szybko podchwycona przez wiele mediów, w tym ogólnopolskich, i przedstawiona jako sensacja.

Junko to mały ptak śpiewający z rodziny pasówek, rzędu wróblowe. Ciemnoszary, z różowym dziobem, białym brzuchem i białymi zewnętrznymi sterówkami jest ubarwiony dyskretnie, ale elegancko. W kontekście jego pojawienia się w okolicach Hajnówki na Podlasiu najciekawsza jest jego ojczyzna: Ameryka Północna. Dotychczas w Polsce został zaobserwowany tylko raz – w maju 1963 r. na Helu podczas obrączkowania ptaków.

To, w jaki sposób ptaszek wielkości wróbla dostał się z Ameryki na Podlasie, pozostaje zagadką. Czy pokonał Cieśninę Beringa, a następnie całą Azję? Czy przeleciał nad Atlantykiem, a potem, wiedziony niewyjaśnionym instynktem, leciał coraz dalej w głąb naszego kontynentu? A może zaplątał się na statek, odpłynął wraz z nim, opuszczając pokład dopiero wtedy, gdy zobaczył ląd? W Europie rzadko pojawiają się ptaki z Ameryki Północnej, z reguły są to jednak gatunki przystosowane do dalekich podróży, często morskie, np. takie, które zostały porwane przez wichury. Dla gatunków lądowych ocean jest przeszkodą niemal niemożliwą do pokonania. W przypadku tak drobnego ptaka przebycie Azji byłoby również wyczynem niewiarygodnym – większość takich podróżników, zagłębiając się w obcy, nieznany teren, szybko pada ofiarą drapieżników. Nie mówiąc o innych niebezpieczeństwach sprawiających, że taka podróż kończy się na ogół na samym początku.

Junko jest więc sensacją, a jednocześnie zagadką, która być może nigdy nie zostanie rozwiązana. Tego samego dnia na tej samej stronie pojawiła się inna informacja, która nie wzbudziła już takiego zainteresowania, choć powinna. W województwie lubelskim zaobserwowano orlika grubodziobego. O ile junko intryguje z powodu sposobu, w jaki dostał się do Polski (w Ameryce jest licznym gatunkiem), o tyle orlik grubodzioby stanowi sensację innego rodzaju. W Polsce gnieździ się tylko kilkanaście par tych ptaków, niemal wszystkie nad Biebrzą. Na całym świecie jest ich ledwie kilka tysięcy, orlik grubodzioby należy więc do grupy najrzadszych ptaków drapieżnych, w dodatku jego liczebność ciągle spada.

eprasa.pl 9f5052c56e

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Chaos i ortodoksja

Aleksander Nalaskowski

Wydaje się, że świat zaczyna mieć dość letniości, ambiwalencji, niejasności i niezdecydowania. Wprawdzie Europa wciąż udaje, że tak nie jest, ale to tylko gra, bo tak naprawdę jej stan jest jak nabrzmiały wrzód, jak ropień wypełniony paskudną mazią chorych z nienawiści ideologii, dewiacji, idiotycznych pomysłów i ateizmu. Państwa, które się temu słabo poddają albo niechętnie wysłuchują brukselskich bredni, są na celowniku europejskich „elit". Jeśli w Europie coś pęknie, to na całego.

Kwintesencją europejskiej choroby są zabiegi o wepchnięcie do Polski emigranckiej zarazy. Jak raz ich przyjmiemy, to się rozplenią i będą nie do wyrzucenia. Zapłacimy za to wysoką cenę w tym i następnych pokoleniach. Wzięcie na utrzymanie kolorowych szumowin jest kosztowne i nie przynosi żadnych korzyści. Ponadto nikt nie będzie nam za to wdzięczny. Tak jak Ukraińcy nie potrafią być wdzięczni, że gościmy ich tu 1,5 mln albo więcej. A przecież dostali od nas wszystko, co było do dania, łącznie z numerem PESEL, zasiłkami, przedszkolami, szkołami, uczelniami, nauką języka, opieką zdrowotną i bezpieczeństwem. W zamian za to nie dostaliśmy ani braterstwa, ani ekshumacji na Wołyniu. Tamte kości wciąż wołają o sprawiedliwość i prawdę, których od dekad nie możemy im dać. Ukraińców nie da się zrozumieć bez ich konsekwentnej walki o niezależność, ale i bez ich zbrodni ludobójstwa.

To nie najeźdźcy, ale światopoglądowi sabotażyści niszczą kulturowy dorobek Starego Kontynentu

Szukający łatwego chleba i dobrego socjalu mieszkańcy Azji i Afryki napłyną do nas szerokim strumieniem, co zagwarantował im Tusk. Ów szkodnik grasujący w polskiej polityce, premier ulepiony z własnych kłamstw i oszustw wyrządza tym szkodę własnemu krajowi nie tylko w perspektywie kilku lat, lecz także kilku pokoleń. To całkowite przedefiniowanie naszego tożsamościowego *status quo* i tego, co czerpiemy z własnej historii.

Jak słusznie zauważył wiceprezydent Stanów Zjednoczonych J.D. Vance, Europa sama wyhodowała swoich śmiertelnych wrogów. To nie najeźdźcy, ale światopoglądowi sabotażyści niszczą kulturowy dorobek Starego Kontynentu.

Widzą i wiedzą to wszystko, co normalniejsi obywatele swoich krajów. A mówiąc wprost – mają tego serdecznie dość. Na tym gruncie wyrosła partia AfD, na tym gruncie niesłabnącym i stabilnym poparciem cieszy się w Polsce prawica (chociaż do zwycięskiej większości jeszcze trochę brakuje), z tego pnia wyrosła prezydentura Trumpa. Dożyliśmy czasów, gdy stwierdzenie, że mamy tylko dwie płcie, zabrzmiało jak spiżowy dzwon albo organowy akord. Absurd goni absurd i nikt nie panuje nad tą gonitwą. Coraz trudniej nam się rozmawia o sprawach oczywistych. Dlatego nie komunikujemy się, milczymy i wewnątrz stajemy się coraz bardziej radykalni. Poprawność polityczna jest dla nas jak kiełzno, którego nie można ani wypluć, ani połknąć. Można mu się jedynie podporządkować. Cała ta sytuacja uczy nas cichej nienawiści, żądzy zemsty i odwetu. To skutki uboczne rządów gangu Koalicji Obywatelskiej. Uczą nas znoszenia kłamstwa, niewiary w obietnice, nieufności do władzy. Tego uczą Tusk, Bodnar, Sienkiewicz, Leszczyna. Tylko anormalny system mógł wykreować i postawić na świeczniku takie indywidua, jak Scheuring-Wielgus, Kołodziejczak, Józefaciuk, Hennig-Kloska, Rutnicki, Myrcha, Hartwich i wielu innych. Ludzi, których IQ jest na poziomie niemal szympansim. Dlaczego więc mamy znosić ich brak zwojów mózgowych i fatalną polszczyznę? Za jakie winy pokarało nas Jagodnem czy Miasteczkiem Wilanów?

W tak skonstruowanym społeczeństwie, w rzeczywistości plemiennych walk, nie ma najmniejszego powodu czy przesłanki, aby edukacja była normalna. Zwłaszcza pod rządami „ministry" Nowackiej, która nie poraża ani kompetencjami, ani błyskotliwym myśleniem w tym zakresie. Pozostaje tajemnica, dlaczego na niedorzeczne zmiany w szkolnictwie nie reagują wyraźnie i mocno związki zawodowe, dlaczego milczą akademiccy pedagodzy, dlaczego nabrały wody w usta wydziały uniwersyteckie? Wszak to do nich trafią niedouczeni w szkole kandydaci na studentów. Z tego, a nie innego grona będziemy mieli kiedyś lekarzy, prawników, dyplomatów, menedżerów, artystów czy ekonomistów. Ta zapaść wróci do nas po latach ze zdwojoną siłą. Tusk obsadził resort edukacji osobą najmniej kompetentną, aby rzesze zbieraczy niemieckich szparagów były możliwie liczne. To nie przypadek, ale świadoma gra.

W tym chaosie świadomie rozmywanych wartości słabo słyszalny jest głos Kościoła. Trwa natomiast „opiłowywanie" katolików. Na razie „opiłowano" dwóch kapłanów, dodajmy, że śmiertelnie. Czy to zbyt mało, aby wrócić do aksjologicznej i mentalnej ortodoksji? Aby zło nazwać złem, a dobro dobrem? Czego jeszcze trzeba?

eprasa.pl 9f5052c56e

Michał Korsun prezentuje:
Ból głowy ministra Kosiniaka-Kamysza

Wycinki z przeszłości

Wydany zimą 1916 r. „Zeszyt Pamiątkowy Ilustracji Polskiej" zawiera wiele wiadomości z frontów Wielkiej Wojny, w tym wysiłku Legionów Polskich, czuć było nadzieję na odrodzenie państwa polskiego, odnotowywano trudne warunki codziennego życia. Nie zapominano także o polskich jeńcach. „Dziesiątki tysięcy naszych rodaków wziętych do niewoli, nieraz już na początku wojny, przebywa w obozach zarówno państw koalicji, jak i mocarstw centralnych. W tęsknocie za krajem i rodziną największą ulgą, najlepszym towarzyszem i doradcą jest im polska książka" – stwierdzano.

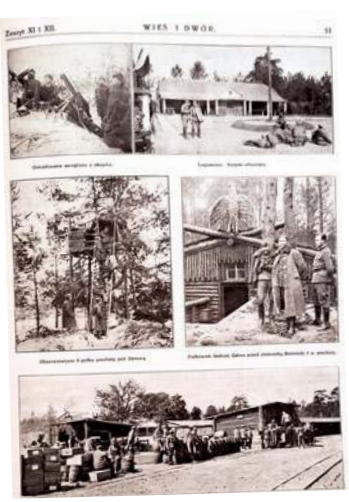

Zachęcano do wsparcia wysiłków Polskiego Komitetu Opieki nad Jeńcami, który w Warszawie codziennie oczekiwał na książki, w razie potrzeby jego przedstawiciele gotowi byli sami się po nie zgłosić. „Pożądane są dzieła historyczne, popularno-naukowe, beletrystyka, wydawnictwa dla ludu oraz książki do nabożeństwa".

Na zdjęciu fragment fotoreportażu z walk Legionów Polskich na Polesiu.

(mk)

Z WOLEJA

Sędzia Tofik, trener Santos i polski papież

Ryszard Czarnecki

Jestem w Baku. Sportowy Azerbejdżan jest znany przede wszystkim z dwóch rzeczy. Po pierwsze: są silni w sportach walki. Po drugie: prowadzą mądrą politykę, przyznając obywatelstwo sportowcom pochodzącym z dawnego ZSRR, co przynosi medalowe efekty na IO, MŚ i ME. Sportowcy z Rosji, Ukrainy czy Białorusi – bo głównie o nich chodzi – mówią po rosyjsku, a więc w używanym tu języku.

Byłem w Baku podczas I Igrzysk Europejskich w 2015 r. To właśnie w Azerbejdżanie wystartowała ta młoda inicjatywa zorganizowana 121 lat po pierwszych igrzyskach nowożytnych. Po Baku euroigrzyska odbyły się na Białorusi (2019) i w Polsce (2023).

Z azerbejdżańskich IE zapamiętam srebrny medal naszych siatkarek (w finale uległy Turczynkom 0:3), a także barwne, zorganizowane z przepychem ceremonie otwarcia i zamknięcia igrzysk. W otwarciu uczestniczył... Putin, od którego stałem niedaleko – i niestety bez spluwy – w loży honorowej (byłem wówczas wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego). Inauguracji dokonała żona prezydenta Ilhama Alijewa oraz Irlandczyk, szef europejskiego komitetu olimpijskiego. Jego kariera trwała krótko, bo już po roku podczas igrzysk w Brazylii zabawił się w „konika" i aresztowano go na gorącym uczynku na sprzedaży biletów, które dostał za darmo. Zaraz potem wyleciał z fotela szefa eurokomitetu.

Do igrzysk europejskich największą areną sportową kraju był znajdujący się w Baku stadion piłkarski noszący imię Tofika Bachramowa. Ten najsłynniejszy arbiter piłkarski w dziejach nie tylko Azerbejdżanu i Kaukazu Południowego, lecz także dawnego ZSRR, sędziował legendarny finał futbolowego mundialu na Wembley (1966), w którym Anglia po dogrywce wygrała z NRF 4:2.

Jestem człowiekiem grzesznym, ale pobożnym. Na niedzielnej mszy odprawianej po angielsku w jedynym katolickim kościele w Baku spotkałem Fernanda Santosa, byłego trenera piłkarskiej reprezentacji Polski, który niegdyś zdobył tytuł mistrza Europy z Portugalią (2016), a teraz selekcjonera reprezentacji Azerbejdżanu. Zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcie przed pomnikiem polskiego papieża Jana Pawła II. W tym momencie wybaczyłem Santosowi brak sukcesów z Biało-Czerwonymi. Może niebywałe, ale są sprawy ważniejsze niż futbol...

eprasa.pl 9f5052c56e

OD A DO ZYBERTOWICZ

Klocki z betonu

Magia kina to dostarczanie przeżyć. Czasem potrzebujemy kina, żeby znaleźć metafory i sposoby artykulacji czegoś, co można nazwać bólem istnienia

Gdybym jeszcze raz mogła wybrać studia i ścieżkę zawodową, nie byłaby to socjologia. Poszłabym raczej na fizykę, a może architekturę. Przy moich niedużych zdolnościach matematycznych ten pierwszy kierunek byłby prawdziwym wyzwaniem. Architektura też wymaga umysłu ścisłego, ale chyba kusiłaby mnie jeszcze bardziej. Samo projektowanie, szukanie odpowiedniego budulca, próby sprostania wyzwaniom stawianym zarówno przez przyrodę, jak i ludzi – to fascynujące.

Na razie jedyne doświadczenia architektoniczne, jakie posiadam, pochodzą z okresu, gdy syn był jeszcze mały i wspólnie tworzyliśmy budowle z klocków albo piasku. Uwielbiam aranżować wnętrza, w zasadzie każdą przestrzeń. Ku rozpaczy domowników mam dużą słabość do częstego przemeblowywania mieszkań.

Nic dziwnego, że gdy do polskich kin wszedł najnowszy film Brady'ego Corbeta „Brutalista", bez wahania przeznaczyłam ponad 3,5 godziny, by go zobaczyć. Film składa się z dwóch części i jest wyświetlany z przerwą.

CZŁOWIEK I BETON

Od kiedy zamknięto moje ulubione warszawskie kino Luna (wprawdzie powiesili plakaty, że wróci po remoncie, ale już w to nie wierzę, bo od miesięcy nic się nie dzieje), chodzę do Atlantica.

Wybrałam seans przedpołudniowy („seans seniora"), licząc na to, że będzie mniej ludzi. Zdziwiłam się. Mimo że o tej samej godzinie jednocześnie wyświetlano dwie projekcje „Brutalisty", obie sale były prawie pełne. Średnia wiekowa – niczego sobie i moją pierwszą myślą było: „Czy na inne filmy seniorzy też przychodzą tak licznie?".

„Brutalistę" okrzyknięto najlepszym filmem 2024 r. Zdobył wiele nagród, otrzymał kilkanaście nominacji do Oscara. Liczba opublikowanych recenzji tego dzieła imponuje, podobnie jak mnogość użycia w nich słów „monumentalny" i „epicki". Przy okazji część komentatorów chętnie podejmuje wątek brutalizmu w architekturze. Nurtu, który narodził się po II wojnie światowej m.in. jako odpowiedź na niedobór szlachetnych materiałów budowlanych oraz potrzebę szybkiego i taniego odbudowywania wykorzystującego jako surowiec głównie beton.

Jednak nie sądzę, że jedynie zjawiskowe kadry budowli z betonu tak przyciągają publiczność. Fabuła to historia utalentowanego architekta László Tótha, węgierskiego Żyda ocalałego z Zagłady, który przybywa do Ameryki, by spełnić swój sen.

PIETA Z BETONU

Na czym polega fenomen zainteresowania filmem „Brutalista"? Nurtuje mnie to, odkąd wyszłam z kina.

Jak to jest, że ludzie w różnym wieku, o różnych osobowościach chcą oglądać długi film opowiadający przejmującą historię, która jednak nie jest prawdziwa? Filmowy bohater został wymyślony. Architekt László Tóth nigdy nie istniał. Takie samo imię i nazwisko nosi za to szaleniec, który w 1972 r. w bazylice św. Piotra w Rzymie rzucił się na „Pietę" Michała Anioła, kalecząc młotkiem arcydzieło. Miał wtedy krzyczeć: „To ja jestem Chrystusem!".

Reżyser wysłał swego László do Carrary po marmur na ołtarz. Z kamieniołomu uczynił scenę, na której archetyp ofiary został pokazany w sposób, moim zdaniem, perwersyjny. Czy bez takiej ofiary gigantyczna budowla z betonu nie mogłaby powstać? Centrum kulturalne z kaplicą zamówione przez milionera chcącego w ten sposób upamiętnić zmarłą matkę.

ZAGADKOWA ARCHITEKTURA

Magia kina to dostarczanie przeżyć. Czasem potrzebujemy kina, żeby znaleźć metafory i sposoby artykulacji czegoś, co można nazwać bólem istnienia. Film Corbeta, pełen symboli, jest przebogaty w fundamentalne pytania. Niektórzy recenzenci mówią, że jest antychrześcijański.

Dla mnie jest pełen betonowych bloków, które trzeba poukładać. Czasem dzieci, budując z klocków, porządkują swoje doświadczenia, oswajają świat. Z klockami Corbeta mam pewien kłopot – nie sklejają się w prawdę emocjonalną. Ale jestem prawie pewna, że w końcowych scenach udających dokument z Biennale Architektury w Wenecji pojawia się transparent z napisem: „Architecture as utopia" („Architektura jako utopia"). I tu widzę właściwy trop. Człowiek nie jest Bogiem.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | Reklama KS/0225/F

eprasa.pl 9f5052c56e

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci", abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci"!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci"

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
118 zł	207 zł	375 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:
Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.
Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
Tytuł wpłaty: .....
.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)
Kwota: .....
(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)

eprasa.pl-9150520560

Rozliczasz PIT?

Przekaż 1,5% podatku
na rozwój patriotycznych mediów!

KRS0000053057 Cel szczegółowy: rozwój mediów
Stowarzyszenie Krzewienia Edukacji Finansowej

WESPRZYJ wPolsce24

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	192	32	825	196	65	459
telewizja naziemna	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY dawniej UPC	inea

eprasa.pl 9f5052c56e